

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

LISTOPAD 2017/6

magazynhisteria.pl

GOŚĆ SPECJALNY

Damian Zdanowicz



Duch niepokorny

Mariusz „Orzeł” Wojteczek

RÓŻA UPIORNA

Tadeusz Miciński

HIENY | NIOSĄCY ŚWIATŁOŚĆ
NOWY POCZĄTEK | PRZECZYWISTOŚĆ | ŚWIĄTYNIA
SZEPT | TRATWA W KAŁUŻY KRWI
U BRAM RAJSKIEGO OGRODU | WRZUTNIA NOCNA

SPIIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryczki		4
HIENY	Jacek Nowak	5
NIOSĄCY ŚWIATŁOŚĆ	Szymon Płuska	21
NOWY POCZĄTEK	Bartłomiej Mucha	31
PRZECZYWISTOŚĆ	Marek Zychła	41
SZEPT	Damian Zdanowicz	60
ŚWIĄTYNIA	Maria Kowalska	70
TRATWA W KAŁUŻY KRWI	Adam Loraj	78
U BRAM RAJSKIEGO OGRODU	Marcin Grablewski	85
WRZUTNIA NOCNA	Jakub Tyszkowski	92
Koszmary słowiańskiej tożsamości	Witold Jabłoński	100
Duch niepokorny	Mariusz "Orzeł" Wojteczek	107
RÓŻA UPIORNA	Tadeusz Miciński	112

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Projekt okładki: Joanna Widomska

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Dawid Boldys, Marcin Czarnecki, Barbara Komaniecka, Magdalena Isbrandt, Małgorzata Siłkowska, A.A. Turkiewicz "Triopse", Izabela Wojciechowska, Krzysztof Wroński, Zyrke

Korekta: Dagmara Adwentowska, Joanna Korytko, Alicja Podkalicka

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami ostatnia Histeria w tym roku. Gościem Specjalnym dwudziestego trzeciego numeru jest Damian Zdanowicz, który prezentuje na naszych łamach niepublikowane dotąd opowiadanie *Szept*.

Wśród dziewięciu opowiadań znajdziecie trzy finałowe teksty z konkursu *W mroku gwiazd*, zorganizowanego ku czci Tadeusza Micińskiego, którego 144. rocznicę urodzin obchodzimy w tym miesiącu. Na początek jednak wywiad z Histeryczką Miesiąca – Anną Musiałowicz.

Na koniec – artykuł - pt.: *Duch niepokorny* (Mariusz Orzeł Wojteczek) oraz *Róża upiorna*, czyli fragment powieści T. Micińskiego- *Xiądz Faust*.

Tyle od nas. Wracamy do prac nad styczniową Histerią. Życzymy strasznej lektury!



B. Jaworski i M. Zawadzki

WYZNANIA HISTERYCZKI



Anna Musiałowicz

Debiutowała w marcu 2016 roku na łamach portalu Kostnica.pl. Redaktor i korektor w Wydawnictwie Dom Horroru. Regularnie współpracuje z Wydawnictwem AlterNatywnym, a okazjonalnie z Horror Masakrą i Phantom Books Horror. Jej opowiadania i drabble (w tym nagrodzone *Pierworodny*, *Napisz o mnie*, *Kain*, *Halloween* i *Dynia*) zostały opublikowane w magazynach „Histeria”, „Czerwony Karzeł”, „Brama”, „Świt ebooków”, „Szortal na wynos”, antologiach *Halloween w stu słowach*, *Tabu*, *Słowiańskie koszmary*, *Maszyna*.

Z wykształcenia pedagog-resocjalizator. Z natury włóczykij. W chwilach wolnych od obowiązków rodzinnych i zawodowych grywa w szachy, nawiedza zamki, rysuje, gdzie popadnie i co popadnie, zazwyczaj słucha heavy metalu i rocka, czyta głównie fantasy. I oczywiście pisze.

To już Twój drugi tytuł Histeryczki Miesiąca! Jak wspominasz „Pierworodnego”, który został wybrany najlepszym tekstem za pierwszym razem?

„Pierworodny” powstał, gdy dopiero zaczynałam swoją przygodę z pisaniem i nie mogłam się spodziewać, że tworzenie tak bardzo mnie pochłonie. Najpierw III miejsce w konkursie „A to pech”, a zaraz potem tytuł „Histeryczki Miesiąca” pozwoliły mi uwierzyć, że to, co robię, może się komuś podobać, i że rozwijanie tej pasji nie jest stratą czasu. Nigdy nie pisałam do szuflady, a – nie bójmy się tego tak nazwać – sukces w pierwszym konkursie, w którym wzięłam udział, dał mi silną motywację do działania. Nie mam szczególnego sentymentu do „Pierworodnego”, szczerze mówiąc, nie przepadam za historią w nim opowiedzianą, gdyż wywołuje we mnie emocje, których nie chcę przeżywać, ale niewątpliwie fakt, że utwór został doceniony, pobudził mnie do dalszego pisania.

„Napisz o mnie” to również opowiadanie konkursowe. Wolisz mieć z góry narzuconą tematykę, czy po prostu lubisz rywalizację z innymi?

Nie ma reguły. W rywalizacji nie czuję się zbyt pewnie, gdyż mam świadomość, że wokół jest wielu uzdolnionych autorów, a natchnienie jest niestałą kochanką i nawet najlepszy pomysł można, mówiąc kolokwialnie, sknocić. A narzucenie tematu czasem sprawia, że w mojej głowie otwiera się jakaś zapadka, koncepcja opowiadania pojawia się natychmiast, jakby umysł jedynie potrzebował pobudzenia słowem-kluczem. Tak było przy „Napisz o mnie”, które powstało w ciągu jednego wieczora – pisałam je bez przerwy, zdania pojawiały się jedno po drugim, płynnie, jak gdyby to opowiadanie trwało już od jakiegoś czasu w nieświadomości, a sam temat konkursu dał jedynie impuls, by je w końcu spisać.

Jako czytelnik wolisz powieści czy zbiory opowiadań?

To zależy od tego, gdzie czytam. W podróży niezastąpione są opowiadania i nie ma wyjazdu, bym nie miała ze sobą jakiegoś zbioru. Powieści wymagają ode mnie większego zaangażowania, czasu, zwłaszcza gdy któraś wciągnie mnie tak, że zapominam o świecie. Zdarza się, że muszę przerwać czytanie książki, co może skutkować tym, że gubię wątek czy jakiś ciąg przyczynowo-skutkowy. A jednak z większą chęcią sięgam po powieści, traktując opowiadania jako przerywnik między nimi. Wyjątkiem są utwory Neila Gaimana – najlepsze o każdej porze i w każdych okolicznościach.

Jaki jest Twój ulubiony horror filmowy i dlaczego?

„Carrie” z 1976 roku, gdzie w tytułową rolę wcieliła się niezapomniana Sissy Spacek. Jest to chyba pierwszy horror, który oglądałam „oficjalnie”, nie kryjąc się przed rodzicami. Byłam wówczas młodsza od tytułowej bohaterki, chodziłam do szkoły i w jakiś sposób chciałam się z nią utożsamiać. Piękna, mądra, nierozumiana dziewczyna – to się zdawało takie romantyczne dla dziecka, jakim właściwie wówczas byłam. Carrie przez swoją matkę przeżywała w domu piekło, ja natomiast mojej mamie zawdzięczam możliwość obejrzenia tego filmu, towarzystwo tamtego wieczoru, gdy wciągnięta w wir emocji, z kołdrą naciągniętą na głowę (tylko wzrok przenikał przez materiał), nie wiem, czy bardziej z ciekawością, czy z niepokojem, obserwowałam wydarzenia na ekranie. Na finalnej scenie obie krzyknęłyśmy ze strachu, śmiejąc się jednocześnie nawzajem z naszych reakcji. A potem mama siedziała przy mnie, dopóki nie zasnąłam. Uwierzyć, że droga do mojego łóżka samotnie była nie do przebycia. Sentymentem darzę też „Nosferatu – symfonia grozy” z 1922 roku, choć w dzisiejszych czasach może niekoniecznie wzbudza strach. Ale nie sposób nie docenić tego dzieła, które zapoczątkowało nurt grozy w kinie.

Gdzie w najbliższym czasie będziemy mogli zobaczyć Twoje nazwisko w spisie treści?

Kończą się prace nad kolejnym numerem „Bramy”, w którym ukaże się moje opowiadanie pt. „Dor Barraghe-im”. W tym roku moje nazwisko pojawi się również w „Czerwonym Karle” i „Okolicy Strachu”. Tych, którzy nie mieli jeszcze okazji zapoznać się z tymi magazynami, serdecznie zachęcam. Oprócz opowiadań znajdziecie w nich publicystykę na wysokim poziomie. A kto wie, może w bliższej lub dalszej przyszłości uda mi się znowu stworzyć coś interesującego dla „Histerii”.





HIENY

Jacek Nowak

U progu listopada słońce nie jest już w stanie wystrzelić wysoko ponad linię horyzontu, a wraz z nastaniem godzin popołudniowych opada prędko, kryjąc się za drzewami i budynkami, by wreszcie zmieniać scenerię życia i ustępować miejsce ciemności. Wraz ze zmianą scenerii dochodzi zwykle do zmiany aktorów grających pierwsze role. Oto pustoszeją place zabaw, na których szczęśliwe maluchy o zaróżowionych policzkach oddają się coraz to innym rozrywkom na zjeżdżalniach, huśtawkach czy w piaskownicach, podczas gdy ich matki prowadzą zaciekle konwersacje na temat mody, wychowania dzieci oraz ślubów i rozwodów w gronie wspólnych znajomych. Oto cichnie gwar przyblokowych ławek, okupowanych godzinami przez panie za stare, by pracować na etacie, a za młode, by siedzieć w zamknięciu w czterech ścianach i oczekiwać na śmierć. Oto prawi mężowie, skończywszy pracę w firmach, wsiadają do swoich samochodów, by, zrobiwszy jeszcze szybkie zakupy według list

spisanych rankiem przez żony, jak najprędzej wrócić do domów i spędzić trochę czasu z ukochanymi pociechami. Kwadrans po kwadransie, minuta po minucie, mrok zalewa ziemię obezwładniającą i nieprzeblaganą mocą, a wraz z nim wzrasta liczba wolnych miejsc na parkingach przy dyskontach. Jedno po drugim zapalają się światła w domach i w mieszkaniach, a zsuniętolety stanowiąc mają dla lokatorów gwarancję intymności i poczucia czasowego odcięcia od świata zewnętrznego.

Jednocześnie, wraz z włączeniem się miejskich latarni, niemych strażników bezpiecznego powrotu do domu, uaktywniają się elementy o innej niż radosnych dzieci lub podstarzałych pań naturze. Oto watahy zbuntowanej młodzieży, silnej tylko w grupie, ośmielone mrokiem i przede wszystkim liczebnością swych szeregów, opanowują miasta, wznosząc dzikie okrzyki i popychając się na chodnikach, czym próbują wzbudzić zainteresowanie płci przeciwnej. Pierwsza prymitywna, ale usprawiedliwiona wiekiem formatanców godowych homo sapiens. Oto mężowie z długim stażem, którzy na deskach rodzinnej sceny zrzucili dawno maski i zaprzestali gry w sztukach o zabarwieniu romantycznym, a rozpoczęli w melodramatach, wyruszają w tango, by po kilku godzinach wracać chwiejnym krokiem i wreszcie, stłukwszy uprzednio wazony w przedpokojach, kłaść się obok cierpiących partnerek. Oto wreszcie drobne rzeźmieszki uaktywniają się pod osłoną nocy, nawiedzają nekropolie i szukają łatwego sposobu na zarobek. Cmentarne hieny, koszmar świeżo upieczonych wdów, wdowców, sierot.

Noc była cicha, jasna, gwiazdzista i nienaturalnie ciepła jak na początek listopada. Poza upstrzonym niezliczonymi gwiazdami niebem coś jeszcze oświetlało całkiem spory obszar cmentarza – poustawiane na płytach nagrobnych znicze, które, dogasając, kończyły jeden po drugim swą szlachetną misję strażników pamięci. W powietrzu rozkwitał charakterystyczny zapach topiącej się stearyny. Na niektórych nagrobkach tańczyły, w rytm powiewów delikatnego wiatru, kremowo-fioletowe płatki bratków, tworzące coś na wzór zagniewanych twarzy, gdzie fiolet imitował krzaczaste brwi oraz nienaturalnie gęste i długie wąsy, gęstsze nawet od wąsów Józefa Piłsudskiego. Ów urokliwy taniec w otoczeniu dogorywających zniczy zawierał w sobie pierwiastek majestatyczności, ale jednocześnie, w kompletnej ciszy i martwocie, naznaczony był czymś obłąkańczym. Nieliczne latarnie, spośród których niemal co druga i tak nie działała, rzucały mizerne światło na niektóre odcinki ścieżek. Na pewnych fragmen-

tach gęstej sieci brukowanych alejek zalegały żółto-zielone dywany suchych liści, wydające charakterystyczny szelest za każdym razem, gdy następowała na nie ludzka stopa.

Udająca się na nocny żer kuna o zaskakująco długim, nawet jak na kunę, ciele przechadzała się właśnie po betonowym murze wysokości około dwóch metrów, gdy jej uwagę zwrócił jakiś szmer, dobiegający zza rosnącego nieopodal kasztanowca. Przystanęła i z zachowaniem szczególnej ostrożności zastygła w bezruchu z nieznacznie przekrzywionym łebkiem. Nasłuchiwała. Po chwili rozległ się głośny dźwięk tłuczonego o beton szkła. Spłoszone zwierzę zwinnie zawróciło i zaraz potem zniknęło gdzieś między grobami.

- Uważaj. Spokojnie zszedłby za dychę.
- Mogłeś poświecić.
- Trzeba było powiedzieć.
- Trzeba było się domyślić.
- Dobra, nieważne. Bierzemy, co mamy i spadamy. Wystarczy na dzisiaj.

Zza kasztanowca o niezwykle okazałym pniu wyszło dwóch mężczyzn. Obaj byli niscy, ale jeden z nich, minimalnie wyższy, na pewno nie ważył więcej niż sześćdziesiąt kilogramów, podczas gdy drugi zaliczał się do tych, których trudniej obejść niż przeskoczyć.

– W nocy z pierwszego na drugiego łowy zawsze okazałe – powiedział chudy, po czym splunął, ale zrobił to tak nieudolnie, że obślinił sobie kołnierz za dużej o numer, ortaliowej kurtki, która dwadzieścia lat temu mogła być modna.

– Przywalimy na stoisku takie ceny, że wszystkie stare baby zlecą się jak muchy do gówna. Jak to mówią, ceny konkurencyjne – dopowiedział gruby. Dwie ciężkie i wielkie siatki, które dźwigał, niemalże szurały po alejce.

Chudy taszczył jedną siatkę, a wolną ręką grzebał w kieszeni spodni w poszukiwaniu papierosów. Kiedy znalazł to, czego szukał, wyciągnął jednego i odpalił od lichego znicza stojącego na krawędzi porośniętego mchem grobowca.

- A utarg i tak szykuje się boski – odrzekł i zaciągnął się.

Szli wolnym krokiem w stronę tej części cmentarza, gdzie ziemia przy murze tworzy maleńki kopiec i tym samym ułatwia przedostanie się na drugą stronę muru. Wysokość do pokonania nie przekraczała w tym miejscu jednego metra, toteż nawet otyłemu mikrusowi nie sprawiała większych kłopotów.

Proceder ten trwał od paru lat. Poznali się, a jakże, na cmentarzu komunalnym, w mieście oddalonym od tego o jakieś dwieście kilometrów. Żaden z nich nie miał wyuczonego zawodu, toteż imali się różnych prac, ale dorabiali okradając nekropolie, handlując na czarnym rynku zdobytymi łupami oraz regularnie odwiedzając zaufane punkty skupu złomu. Przez

jakiś czas działalność ta uchodziła im na sucho. Mieli stałe grono odbiorców, zwłaszcza starszych osób o niezbyt zasobnych portfelach, którzy to odbiorcy musieli zdawać sobie sprawę z całej sytuacji, ale czerpiąc z niej korzyści przymykali oko i nabywali znicze i wiązanki po „konkurencyjnych cenach”. Z czasem jednak wśród nielegalnych handlarzy, powoli, acz systematycznie, zaczynała zaciskać się pętla. Jako pierwsi butem tupnęli ci handlarze, których działalność nie budziła kontrowersji. Tracili klientów, bo nie byli w stanie rywalizować z obowiązującymi w szarej strefie cenami. Zaraz potem z prośbą o zamontowanie na cmentarzu kamer udali się do przedstawicieli lokalnej władzy ci obywatele, którzy najczęściej dostrzegali braki na grobach bliskich. Podczas odbywającej się w napiętej atmosferze sesji rady miasta podjęto wreszcie decyzję o zwiększeniu liczby patroli Straży Miejskiej oraz zaczęto poważnie rozważać instalację monitoringu.

Tego było już za wiele. Wiedzieli, że ich działalność obarczona jest ryzykiem, ale skoro dotarły do nich informacje o planowanych przez władze krokach, to szczytem głupoty byłoby brnąć w to dalej. Należało jak najprędzej zwijać manatki i albo z tym skończyć, albo zmienić rewir. Padło na to drugie.

W okolicy, w której osiedli, znajdowało się kilkanaście cmentarzy, z których zdecydowaną większość stanowiły te stare, niewielkie, położone tuż obok wiejskich, zabytkowych, drewnianych kościołów. W takie miejsca udawali się rzadko. Zdecydowanie częściej grabili większe, miejskie cmentarze, gdzie nawetw przypadku ewentualnego nakrycia ich na gorącym uczynku istniała szansa zniknięcia w gęstej sieci wiekowych grobowców. Takie cmentarze były idealne. Takie jak ten.

Dotarli do miejsca, w którym najłatwiej było pokonać betonowy mur i już mieli się wspinać, gdy ich uwagę przykuła otoczona wianuszkami okazała zniczy piramida z wiązanek i pojedynczych kwiatów, wznosząca się na jednym z ziemnych grobowców umiejscowionych w peryferyjnej części cmentarza. Na lekkim, jesiennym wietrze powiewały leniwie srebrzyste wstęgi, lśniąco nieznacznie w subtelnym świetle tańczących płomyków.

– Świeży – rzucił od niechcienia otyły i położył siatki na ziemi. Chwycił oburącz za krawędź muru, gdy chudy położył mu dłoń na ramieniu.

– Czekaj – powiedział spokojnie, wyrzucił niedopałek papierosa i przydeptał go butem.

– Co jest?

– Sprawdźmy, kto to.

– Po co?

– Sprawdźmy.

Podeszli do grobowca i przystanęli.

– To chyba on – rzekł bez przekonania chudy.

– Kto?

– Gąssowski.

– Ten Gąssowski? Ha, wiedział, kiedy pierdolnąć w kalendarz. Idealnie wstrzelił się w Zaduszki. – Otyły parsknął, a chudy zaczął przedzierać się przez kwietne zasieki i po chwili wyprostował się, trzymając oburącz połączoną tabliczkę, prowizoryczną formę nagrobego napisu.

– Jędrzej Gąssowski. Zmarł dwudziestego dziewiątego października dwa tysiące szesnastego roku, przeżywszy lat sześćdziesiąt cztery. Kurwa, jak mogliśmy przeoczyć klepsydry? Słyszałeś o tym pojebie?

– Słyszałem tyle, że dziany był z niego typek i że miał nierówno pod sufitem.

– Czyli głównie słyszałeś. Gąssowski to zdecydowanie najbogatszy facet w okolicy, jeden z tych, co to, wiesz, podcierają sobie dupska dwustuzłótkami. Dorobił się na handlu nieruchomościami. Miał łeb na karku, trzeba przyznać.

– Świetnie. I co z tego? – zapytał otyły, niecierpliwiąc się i co rusz zerkając w stronę muru. Z miejsca, w którym stali, widać było fragment planeki ich sypiącego się wozu dostawczego, zaparkowanego nieopodal jednego z czterech wejść na cmentarz.

– To z tego, że czytałem kiedyś wywiad z tym świrem i świr ów napomknął, że kiedy umrze, a zakładał, że umrze dożywszy co najmniej setki, chciałby zostać pochowany razem ze swoimi pieniędzmi. Z tą setką to tak średnio mu wyszło, ale to nieważne. Świeć Panie nad jego duszą. Ale tę jego wypowiedź zapamiętałem słowo w słowo. A minęło już trochę czasu. Słowo w słowo.

Otyły wybałuszył oczy i zatrzymał wzrok na kwietnym kopcu. Zdawało się, że trawi niespiesznie słowa chudzielca.

– Po chuj mu? – zapytał wreszcie i spojrzał na kompana.

– Ty się mnie pytaj, a ja ciebie. Mówiłem, że to świr, a kto świra zrozumie? Może naczytał się o jakichś faraonach, których chowano z całkiem przyzwoitym prowiantem i zamarzyło mu się, by i jego pożegnano z pompą.

– Nie, nie ogarniam. To już inne czasy, nie farańskie. Kto tak teraz robi? Mógł to przeznaczyć na, jak to mówią, szczytne cele albo, na ten przykład, zostawić rodzinie.

– Ta, jasne, szczytne cele. Taki z niego filantrop jak z ciebie baletnica. A rodziny nie miał. Podobno jego żona zmarła młodo i wtedy całkiem mu odbiło. Taki samotnik się zrobił, a kontakty z ludźmi to tylko w sferze biznesu utrzymywał.

Otyły zrobił mądrą minę i pokręcił głową. Coś mu w tym wszystkim nie pasowało.

– Tylko po co miałby dzielić się ze światem tym, że chce, by w jego trumnę wepchano pełno forsy? Halo, halo ludzie! Chcę zgnić otoczony forszą! Tak, zajebscie. A takich jak my to mało?

– A widzisz tu kogoś poza nami? Mamy przewagę, bo jesteśmy pierwsi. Zresztą, gadałem kiedyś z takim jednym grabarzem i facet mówił, że nierzadko ludzie wkładają zmarłym do trumien różne rzeczy. Cukierki, zdjęcia, medale, płyty ulubionych zespołów, czasem trochę forsy.

– Nigdy do tego się nie posunęliśmy...

– Taka okazja może się już nie powtórzyć. Wszystkiego, co miał, na pewno tam nie upchali. Ale wyobraź sobie, ile mogło się zmieścić... Myślę, że warto. Zdecydowanie warto. A kiedy będzie po wszystkim, to chętnie wyślę dziękczynny list do dziennikarza, przed którym szacowny Gąssowski tak się otworzył.

– A nie uważasz, że to trochę dziwne, że najbogatszy typ w okolicy nie dorobił się porządnego, betonowego grobowca? Zakopali go w ziemi jak jakiegoś biedaka.

– To już nie jest nasz problem. Pewnie śmierć go zaskoczyła. Kurwa, jak to brzmi. Kogo nie zaskakuje? Ale nie martw się o poczciwego Gąssowskiego. Już niebawem przypomni sobie o nim dalsza rodzina, dziesiąta woda po kisielu, i ktoś wystawi mu godny grobowiec. A później zacznie się bitwa na noże o spadek. Cóż, nie nasza sprawa. Tak czy inaczej, załatwił nam trochę kopania, ale myślę, że forsa, jaka czeka na nas na dole, warta jest wysiłku.

Otyły stał jak kamienny posąg ze wzrokiem wbitym w płasające na wietrze wstęgi. Po chwili chwycił jedną z nich i w mizernym świetle okalających grób zniczy odczytał zamieszczony na niej napis: *Jędrzejowi, partnerzy biznesowi z Lublina*. Przeniósł wzrok na kompana, którego twarz przybrała wyraz niecierpliwości zmieszanej z ekscytacją.

Coś obserwowało ich z ukrycia, jakie dawał potężny pień wiekowego kasztanowca. Nie była to spłoszona kuna.

Jeszcze przed przystąpieniem do pracy otyły zdał sobie sprawę z faktu, że zaraz przekroczy nieprzekraczalną dotąd granicę. Dotychczasowa działalność cechowała się przecież dużo łagodniejszym wachlarzem przewin. Najczęściej kradli znicze, które po oczyszczeniu ponownie puszczali w obieg. Sporadycznie były to znicze na stałe – teoretycznie, bo teorii tej sami zaprzeczali – przymocowane do płyt nagrobnych. Kilka razy zdarzyło się, że nieznacznie uszkodzili którąś z nich, ale tym zupełnie się nie przejmowali. Regularnie sięgali po wazon i kwiaty. Od czasu do czasu zwinęli jakąś gustowną figurkę Jezusa albo pucołowatego aniołka o zatroskanym wyrazie twarzy. W czasach, kiedy działali w poprzednim rewirze, zdarzało im się demontować metalowe krzyże i mosiężne elementy dekoracyjne. I to wszystko. Raz tylko chudzielcowi zaświtała w głowie myśl, czy może nie spróbować z płytami nagrobnymi, na których nie wygrawerowano jeszcze napisów, ale zdusił w sobie ów pomysł, nim zdążył przedstawić go otyłemu.

Chudy uniósł fragment plandeki i wgramolił się na skrzynię ładunkową wysłużonego Żuka rocznik dziewięćdziesiąty drugi. W jednym z jej rogów stało kilka reklamówek wypełnionych łupami, które zdobyli podczas wcześniejszych rund po cmentarzu. Po przeciwnej stronie leżały młotek, łom, stare zabrudzone szpadle i kilka innych narzędzi. Wozili je z sobą od zawsze, na wszelki wypadek, ale do tej pory nie robili z nich szczególnego użytku. Chudy używał owego sprzętu właściwie jedynie do dorywczych prac, jakimi parął się od lat. Czasami, sącząc piwo w towarzystwie otyłego stwierdzał, że to, co robią nocami na cmentarzach, traktuje jako niezwykle dochodowe nadgodziny. Zaraz potem wybuchał obrzydliwym śmiechem, przeradzającym się szybko w gruźliczy kaszel. Otyły odstawiał wówczas puszkę na podłogę i pieczołowicie zakrywał sobie uszy dłońmi. Nie mógł znieść tego piekielnego dźwięku.

Chudy odebrał siatki od stojącego na zewnątrz grubasa, położył je na wolnej przestrzeni wykonanej z desek podłogi i wymacał szorstkimi dłońmi brudne styliska sztychówek. Jedno z nich ozdobione było grudami zaschniętej ziemi. Mikrus włączył latarkę i zlokalizował wszystko to, co jego zdaniem mogło być potrzebne podczas pracy. W międzyczasie otyły nerwowo rozglądał się to w prawo, to w lewo, zupełnie jakby spodziewał się rychłego nadejścia tajemniczego właściciela zaparkowanego nieopodal volkswagena golfa. Po chwili usłyszał dobiegający zza pleców szept kolegi:

– Weźmiesz to ode mnie czy czekamy do rana?

Grubas obrócił się na pięcie, co, wzięwszy pod uwagę jego posturę, wyszło mu całkiem zgrabnie i chwycił zestaw narzędzi wystających zza plandeki. Po upływie kilkunastu sekund obaj mężczyźni stali na parkingu uzbrojeni w sprzęt, za pomocą którego mieli dokonać najbardziej zuchwałego czynu w całej swojej karierze. Nad nimi górowało przechodzące dyskretnie w czerń ciemnogrnatowe niebo, a niezliczone gwiazdy zdawały się rzucać w kierunku złodziei pełne wyrzutów świetliste spojrzenia.

Omiotli wzrokiem martwą okolicę i upewniwszy się, że nie zmierza ku nim właściciel osieroconego golfa, ruszyli w kierunku muru. Przerzucili narzędzia, które wylądowały w wysokiej, szykującej się na nadejście zimy trawie. Następnie, nie bez wysiłku, wdrapali się na górę i zeskoczyli po stronie cmentarza. Ciężko dyszący otyły uderzył lewą kostką o obuch młotka. Rozmasował miejsce bólu i wyraźnie zde gustowany syknął:

– Naprawdę ci mało? Widziałeś, ile tego mamy. Owocna noc.

– Owocna to będzie wtedy, kiedy okaże się, że Gąssowski naprawdę kazał pogrzebać się opatulony gotówką.

Otyły pokręcił głową, ale chudzielec zupełnie nie zwracał na niego uwagi. Ten zaszony, mikroskopijny człowieczek, którego przewróciłby mocniejszy powiew wiatru, miał silniejszą osobowość. Już w ciągu kilku pierwszych tygodni ich działalności zdążył stać się nieformalnym szefem duetu i zawsze kończyło się tak, że ostatnie słowo należało do niego. Początkowo otyły próbował nawet narzucać swe zdanie, ale charakteru jak alkomatu – nie da się oszukać. Po paru akcjach wiadome było, kto jest mózgiem operacji. Z czasem gruby zaakceptował swą podrzędną rolę, tym bardziej, że ze wspólnej działalności czerpał niemałe przecież zyski. Honor swoje, zysk swoje.

Nie minęły dwie minuty, a ponownie stali nad grobem Jędrzeja Gąssowskiego, miejscowego krezusa, który przedwcześnie wpadł w zimne ramiona kostuchy. Na tyle wcześniej, że nie zdążył zadbać o miejsce pochówku z prawdziwego zdarzenia. Tym samym zaserwował gościom konieczność dokopania się do trumny, ale jednocześnie zaoszczędził wysiłku związanego z odsuwaniem płyty nagrobnej. Na ścieżce leżały narzędzia, za pomocą których miało niebawem dojść do splądrowania miejsca spoczynku lokalnego przedsiębiorcy.

Chudy pochylił się i zaczął odsuwać znicze umieszczone naokoło grobu, podczas gdy otyły wziął się za wiązanki. O ile pierwszy wykonywał swą czynność z zapalem, o tyle drugi stale marudził coś pod nosem (chudy nie zwracał na to najmniejszej uwagi, raz tylko, mimowolnie, dosłyszał coś w stylu: będą z tego kłopoty), a przy pracy wyglądał jak zde gustowany robotnik w trakcie strajku włoskiego.

– Może byś się pospieszył? – zapytał wreszcie chudzielec. – Nie wiem jak ty, ale wołałbym uwinąć się przed świtem.

Ponaglenie nie przyniosło oczekiwanego skutku, toteż chudy wyręczył kompana, raz nawet ostentacyjnie wyrywając mu wiązankę z rąk i ciskając nią w stronę muru. Odbiła się od betonu i wylądowała w trawie.

– Jak Boga kocham... jeśli masz zamiar tak się opierdalać, to wypierdalaj! Droga wolna. Tylko żebyś potem łapy po pięć groszy nie wystawił! Żebyś nie próbował nawet pożyczyc ode mnie na flaszkę albo na fajki! No już, do widzenia!

Zaskoczony postawą kolegi otyły oblizał spierzchnięte wargi i uznał, że do tej pory nie zdarzyło mu się widzieć go w takim stanie. Facet był w jakimś amoku, a wizja niebotycznego zysku zdawała się przesłaniać mu resztki zdrowego rozsądku, wymazywać trzeźwe myślenie. Gruby, patrząc na chwytającego oburącz szpadel mikrusa uznał, że zaczyna się go bać. Dreszcz przeszedł mu po całym ciele, a na plecach i skroniach pojawiły się kropelki potu. Wiedział, że teraz, podczas tej upiornie cichej nocy, stojący naprzeciwko mężczyzna zdolny jest do wszystkiego, byle tylko osiągnąć zamierzony cel. Do wszystkiego, a zatem także do...

– No co się tak gapisz? Nie rozumiesz, co do ciebie mówię?

Otyły głośno przełknął ślinę, podniósł drugą łopatę i zamasyście wbił hartowaną część roboczą w oczyszczoną z kwiatów ziemię. Po chwili, z wypisanym na brzydkiej twarzy wysiłkiem, odrzucił pierwszą porcję ziemi na bok. Jej rozbryzgujące się fragmenty obsypały leżące w niewielkiej odległości wiązanki. Małeńka grudka ziemi pacnęła na złocistą wstęgę z napisem *Jędrzejowi, partnerzy biznesowi z Lublina*. Po chwili łyżka łopaty, niczym zębiska drapieżcy w mięsie ofiary, ponownie zatoneła w ziemi.

Chudy przez dłuższą chwilę obserwował kolegę, by wreszcie chwycić drugą łopatę i przystąpić do pracy. Przez pół godziny nie odezwali się do siebie. Kopali bez słowa, od czasu do czasu ciszę nocy przebijało tylko pojedyncze, krótkotrwałe sapanie, będące wyrazem wysiłku podejmowanego w słusznej sprawie.

Skryta za pnem kasztanowca postać obserwowała machających łopatami mężczyzn. W mizernym świetle palących się zniczy widziała rosnące po obu stronach grobu nierówne kopce, których budowniczyuwijali się jak mrówki.

Już wcześniej, odkładając kwiaty na bok, zauważyli, że grób jest zaskakująco szeroki. Właściwie mogli swobodnie pracować równocześnie, co tylko ułatwiało i przyspieszało cały proces.

Żaden z nich nie wiedział, ile czasu na kopanie zeszło im do momentu, gdy łyżka łopaty otyłego uderzyła o wieko dębowej trumny Jędrzeja Gąssowskiego. Usłyszawszy charakterystyczny odgłos, mężczyzna przerwał pracę i stanął bez ruchu, trzymając narzędzie jedną ręką jak marszałek sejmu laskę marszałkowską. Wykrzywił twarz w grymasie zmęczenia, otarł mokre czoło i spojrzał na chudzielca.

– Wreszcie. Myślałem, że już tu padnę. Mam nadzieję, że ten wysiłek nam się opłaci.

Chudzielec nie przyznawał tego przed kolegą, ale sam był wyczerpany. Czuł, jak kosiła klei mu się do pleców, a resztki włosów do skroni. Oddychał ciężko, nierównomiernie.

– Jeszcze trochę i będziemy bogaci – odparł, patrząc na zabrudzone wieko, wystające nieśmiało z ziemi. Oczy szklily mu się jak dziecku obserwującemu zza szyby wystawowej wymarzoną zabawkę. – Jeszcze tylko trochę.

Zegar na kościelnej wieży, gdzieś tam, w oddali, wybił drugą w nocy. Pracowali zatem dłużej, niż przypuszczali.

Trumna z ciałem Jędrzeja Gąssowskiego nie została umieszczona głęboko. Jak zgodnie oszacowali, musiało to być około półtora metra, może minimalnie więcej. Okopali ją dookoła i chudy cisnął łopatą na lewo. Ta, zamiast ugrzęznąć w ziemi, uderzyła w coś twardego, a towarzyszył temu znany im już dźwięk.

– Jeszcze jedna? – zapytał samego siebie mikrus i popatrzył na otyłego. – Żona? Tutaj by ją pochował? Taki kochający mąż?

Otyły wzruszył ramionami.

– Idź na górę i sprawdź, co jest wyryte na tym paskudnym kamiennym słupie. Szybko – wydał komendę chudy.

– Daj człowiekowi odpocząć...

– Odpoczniesz już niedługo. Gwarantuję. Wysmażysz dupsko do czerwoności na jakiejś karaibskiej plaży. Ale póki co, zasuwaj na górę.

Otyły westchnął i zaczął niezdarnie wspinać się po ziemistym zboczku. Buty co rusz grzęzły mu w ziemi, czuł, że marzną mu stopy. *Odchoruję to*, pomyślał, gdy wreszcie udało mu się wydostać na powierzchnię. Chudy podał mu latarkę. Otyły nie był jednak w stanie odczytać nadgryzionego zębem czasu napisu wyrytego w kamieniu. Mrużył oczy, przesuwając

latarkę, widział jakieś niewyraźne znaki, które niegdyś musiały tworzyć imię i nazwisko pochowanej tu osoby.

– Nie dam rady tego przeczytać. Strasznie niewyraźne. Mówiłeś, że w młodości stracił żonę. Skoro zmarł mając sześćdziesiąt cztery lata, to ile lat temu ona mogła umrzeć? Czterdzieści? Czterdzieści pięć? Maksymalnie. A to, co tu widzę, a raczej nie widzę, to wygląda jak napis, nie wiem, z początku dwudziestego wieku.

Z dołu dobiegło głośnie westchnięcie.

– Dobra, złaź. Odgrzebiemy też tę drugą.

– Po cholere?

– Znowu zaczynasz? Nie wiadomo, w której jest Gąssowski.

– Ta, do której się dokopałem wygląda na nową. To musi być ta. A jak już ją otworzymy i staniemy się, jak twierdzisz, bogaczami, to nie mam zamiaru dobierać się do tej drugiej trumny. Żeby była jasność.

– Tylko... ta też nie wygląda na starą. Chodź i sam zobacz.

Otyły pokręcił głową, wrzucił latarkę do świeżo wykopanego dołu i po chwili sam ponownie się w nim znalazł. Chudy, jakby na potwierdzenie swych słów, poświecił w stronę najnowszego znaleziska, które pod nieobecność kompana zdążył odkopać. Istotnie, fragment, który ukazał się ich oczom, prezentował się nad wyraz dobrze. Deski nie były zmurszałe i wszystko wskazywało na to, że trumna jest niemal nowa.

– Sprawdź, czy po drugiej stronie nie ma jeszcze jednej – wydał polecenie chudy.

– Zwariowałeś! Może, do ciężkiej cholery, sprawdzimy te dwie i łaskawie stąd spierdolimy, zanim ktoś nas wreszcie nakryje. Poza tym myślałem, że trumny układają jedną na drugiej, a nie koło siebie.

– Niech ci będzie, cykorze. A jak dla mnie to mogą je nawet sobie wieszać na łańcuchach, byleby tylko...

– Tak, wiem, byleby tylko dorwać się do forsy tego całego palanta.

Chudy otworzył usta, ale nic nie powiedział. Może ten śmieszny facecik ma trochę racji? Może należało zabrać się wreszcie za odkręcanie śrub mocujących wieka? Sprawdzić, co kryją wnętrza dwóch trumien i nie kusić losu? Usiadł na jednej z nich, lewą łydka wprawił w nieznacznym ruchu plastikowy zbrojony uchwyt, który zastukał o bok trumny. Skierował światło latarki prosto w twarz kolegi. Ten osłonił się ręką.

– Co robisz?

– Nic. Kurwa, stary, jak ja cię lubię. Zrzędzisz czasem jak baba w kolejce do lekarza, ale mam do ciebie niewytłumaczalną słabość. Biermy się za te śrubki.

Postać ostrożnie wychynęła zza pnia. Po chwili przysiadła na płycie najbliższego grobu. Chwyciła poźółkły, uschnięty liść i zaczęła obracać między kciukiem a palcem wskazującym ogonek liściowy. Przez chwilę przyglądała się wprawionym w ruch zaostrzonym na szczycie listkom, a następnie uniosła głowę i obserwowała gwiazdy, przebijające się przez grube, łukowato wygięte i niemal całkowicie gołe już konary. Jeden z ostatnich liści opadał niespiesznie i z prawie niesłyszalnym szelestem wylądował tuż obok niewielkiego znicza.

Postać sięgnęła do kieszeni spodni i wyjęła telefon.

Ze śrubami pierwszej odkopanej trumny poszło łatwo. Z mocno bijącymi sercami podnieśli dębowe wieko z metalizowanym krzyżem i odstawili je na bok. Uderzyła w nich fala smrodu. Jak na komendę zatkali nosy i chwycili latarki. Rozświetlili wnętrze. Na aksamitnym materiale obiciowym leżał on. Jędrzej Gąssowski. Leżał w idealnie skrojonym granatowym garniturze, białej koszuli i lśniących butach wizytowych. Szykowności dodawał mu jasnoniebieski krawat. Leżał z zamkniętymi oczami, wciśniętymi jakimś cudem między pulchne policzki, ogromny, perkaty nos oraz wydatne, krzaczaste brwi. Leżał i z wolna poddawał się nieodwracalnemu procesowi rozkładu. Leżał tak, jak pragnął leżeć – otoczony pieniędzmi. Między ciałem a ścianami trumny było trochę wolnej przestrzeni, jakby celowo, wypełniając życzenie bogacza, wykonano nieco za dużą drewnianąskrzynię. Wszystko po to, by zmieścić jak najwięcej forsy.

Stali pochyleni nad siniejącym zmarłym i wpatrywali się w pliki stu- i dwustuzłotówek, poukładanych równomiernie wzdłuż ciała Gąssowskiego, wokół jego głowy i pod stopami. Ile tego mogło być? Nie mieli zielonego pojęcia. Czas na dokładne zliczenie łupu nadzieje, teraz pora spakować pieniądze, zamknąć trumnę i zasypać ją ziemią. Wiedzieli, że do świtu pozostało sporo czasu. Wiedzieli, że zdążą. Mimo wyczerpania związanego z wykopywaniem dołu, na widok wielkich pieniędzy wstąpiły w nich nowe siły. Wiedzieli, że dadzą radę. Wiedzieli, że warto było zarwać noc. Niech Bóg ją błogosławi.

Ekscytacja spowodowana dostaniem się do kupy szmalu sprawiła, że początkowo zupełnie nie zwrócili uwagi na małe zawiniątko, włożone pod splecione dłonie zmarłego krezusasa. Kiedy wreszcie zakończyli którąś z rzędu świetlną rundę naokoło Gąssowskiego, otyły

skierował latarkę na jego złożone na wysokości pępka ręce i zatrzymał na nich strumień światła.

– Tu coś jest. Spod palców wystaje. Widzisz?

Chudy chrząknął i, nie odpowiadając koledze, wyciągnął delikatnie kawałek białej szmatki. Pod wpływem ruchu palce zmarłego nieznacznie drgnęły, a w głowie otyłego zrodziła się nagle przerażająca myśl, w której Gąssowski zaczyna wystukiwać prosty rytm, następnie otwiera oczy, uśmiecha się złowieszczo i zaciska dłonie na szyi kogoś z niecodziennych gości.

Chudy rozwinął szmatkę i jego oczom ukazała się złożona kartka formatu A4.

– Co to, do diabła? – zapytał rozkładając kartkę, ale wiedział, że odpowiedź uzyska wtedy, gdy zapozna się z tekstem, który naniesiono na nią odręcznie. Litery były duże, zgrabne, lekko pochyłe, nie sprawiały trudności w odczytaniu.

Jeśli czytacie tych kilka zdań, które napisałem niedługo po udzieleniu słynnego wywiadu, oznacza to, że cechuje Was nie lada odwaga, ale też podziwu godna zuchwałość. Doprawdy, niewielu zapewne byłoby zdolnych do takiego czynu. Jeśli trzymacie w rękach ten kawałek papieru i podążacie wzrokiem za kolejnymi słowami, oznacza to również, że działaliście szybko. Na tyle szybko, by być w stanie odczytać mój tekst. Bo cholera wie, jakim procesorem tu, na dole, podlega papier. Pewnie gnije, tak jak ja. Nieważne. I wreszcie, Wasza obecność tutaj oznacza, że tkwicie po uszy w gównie. Nie chcę jednak zdradzać szczegółów i psuć tym samym zabawy. Za moment przekonacie się, na czym owa zabawa polega.

Nie wiem ilu Was jest, ale zakładam, być może błędnie, że dwóch. Mam szczerą nadzieję, że miejsca wystarczy dla nas wszystkich.

Cóż, bierzcie pieniądze i... wypoczywajcie. Wypoczywajcie długo. Aż do śmierci.

Z poważaniem

Jędrzej Gąssowski

– Rozumiesz coś z tego? – zapytał chudy, gdy trzęsącą się ręką zwijał kartkę i chował ją do kieszeni kurtki.

– Spieprzajmy stąd. W dupie mam tę forszę. Po prostu spieprzajmy.

– Zaszliśmy tak daleko, że nie ma mowy o odwrocie. – Chudy nerwowo oblizał wargi.

– Masz worek?

Gruby sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął z niej czarny, polietylenowy worek na śmieci. Podał go chudzielcowi, który natychmiast zaczął ładować do środka kolejne pliki banknotów.

– Może byś pomógł – warknął chudy. Widać było, że przestaje nad sobą panować.
W oddali rozległ się śmiech. Donośny, przerywany chichot.

Nadchodzili powoli. Pod ich nogami niknęły zalegające w alejce uschnięte liście. Na ciemnym niebie migotały gwiazdy, jakby ze zniecierpliwieniem wyczekujące na mające się wkrótce rozegrać sceny.

Wiedzieli, że tamci stoją na straconej pozycji oraz że próba ucieczki, jaką ewentualnie zdecydują się podjąć, skazana jest na niepowodzenie. A wszystko to, co za chwilę się wydarzy, zabiorą z sobą do grobu. O tak, zabiorą do grobu.

Otyły odniósł wrażenie, że lada moment serce wyrwie mu się z klatki piersiowej i, nadal bijące w oszalałym tempie, wyląduje w trumnie tuż obok zimnego ciała Gąssowskiego. Rzucił pełne trwogi spojrzenie w kierunku kompana, na twarzy którego rysowało się skupienie, ale w ciemności grobowca nie był w stanie tego dostrzec. Tymczasem śmiech stawał się coraz głośniejszy i teraz już bez cienia wątpliwości można było stwierdzić, że zawierał w sobie coś nieludzkiego. Coś szaleńczego, opętańczego. Zwierzęcego.

– Cholera, co się dzieje? – Trzęsący się głos grubasa wypełnił przestrzeń ograniczoną zwałami ziemi.

– Wyłazimy. I w nogi.

Otyły chwycił worek. Zaczęli się niezdarnie wspinać. Nie zadali sobie trudu, by zamknąć trumnę Gąssowskiego, zabrać latarkę i łopaty. Nie mieli na to czasu.

Ujrzeni ich, gdy tylko znaleźli się na powierzchni. Było ich pięciu, kucali w równych odstępach, tworząc półokrąg. Odcinali drogę ucieczki. Przed jednym z nich stał radioodtworczacz, z którego dobiegał ten nieznośny śmiech. Tylko... to nie był śmiech. Złodzieje zrozumieli tę prawdę, patrząc na szkaradne maski, zakrywające twarze tajemniczych intruzów. Maski przypominające łby hien z wielkimi, zaokrąglonymi uszami.

To nie był śmiech. To był odgłos wydawany przez hieny.

– Czego chcecie? – zapytał otyły, machinalnie wystawiając przed siebie worek z pieniędzmi.

Jakby w odpowiedzi jedna z zamaskowanych postaci wcisnęła przycisk STOP w radiodiodotwarzaczu. Zaległa cisza. Grobowa cisza.

– Pozwólcie nam odejść! – krzyknął otyły i nagle zdał sobie sprawę, jak ogromnym błędem było pozostawienie na dole łopat. Z nimi może mieliby jakieś szanse, przynajmniej iluzoryczne, bo tamci nie wyglądali na uzbrojonych. – Ja nie chciałem! To on mnie namówił! – krzycząc wskazywał ręką dygoczącego chudzielca.

Mężczyźni w maskach podnieśli się i ruszyli w kierunku niedoszłych bogaczy.

Leżeli na brzuchach na zionącej chłodem cmentarnej alejce. Leżeli ze związanymi nogami i rękami oraz z zaklejonymi taśmą ustami. O ile chudy wyglądał jak karykaturalnie krótki wąż, o tyle patrząc na otyłego, nietrudno było odnieść wrażenie, że za chwilę zacznie kołysać się na własnym kałdunie. Leżeli zwróceni głowami w stronę rozkopanego grobu. Pilnowało ich, tak na wszelki wypadek, dwóch przebierańców; reszta zniknęła na dole. Pewnie szukali reszty pieniędzy...

Kilkanaście minut później cała piątka zatargała wijących się nieszczęśników nad sam grób. Na dnie rozświetlonego latarkami dołu znajdowały się nie dwie, a trzy umieszczone blisko siebie trumny. Środkowa, ta, w której spoczywał Gąssowski, była zamknięta. Te po bokach – otwarte.

Zarówno chudy, jak i gruby zrozumieli już, o co w tym wszystkim chodzi. Wili się coraz mocniej i mocniej, desperacko machali głowami, a ich oczy wyrażały niezmiernie przerażenie. Sprowadzenie ich na dół i umieszczenie w trumnach wymagało sporej zwinności i siły fizycznej, ale najwyraźniej poczciwy Gąssowski wiedział, kogo nająć do ostatniego zadania. Wiedział, komu powierzyć wypełnienie ostatniej woli.

Tuż przed zamknięciem trumien najemnicy zerwali taśmy z ust tych, których zamierzali pogrzebać żywcem. Chcieli słyszeć ich krzyki, przesywające ciszę listopadowej nocy, pełne niewysłowionego lęku i narastającej paniki. I słyszeli. Na pożegnanie położyli im obok głów po pliku banknotów dwustuzłotowych, zapewne po to, by wysiłek związany z rozkopaniem grobu nie poszedł całkiem na marne. Za pracę należy się przecież wynagrodzenie.

Kiedy najemnicy nakładali wieka, małeńkie przestrzenie, należące już wyłącznie do otyłego i chudzielca, wypełniła nieskończona ciemność. Po chwili na trumny zaczęła spadać ziemia. Biedacy niemal czuli wibracje, potęgujące uczucie osaczenia i niemocy. Cierpiący na

klaustrofobię grubas bez opamiętania wrzeszczał i tłukł kolanami w wewnętrzną ściankę wieka.

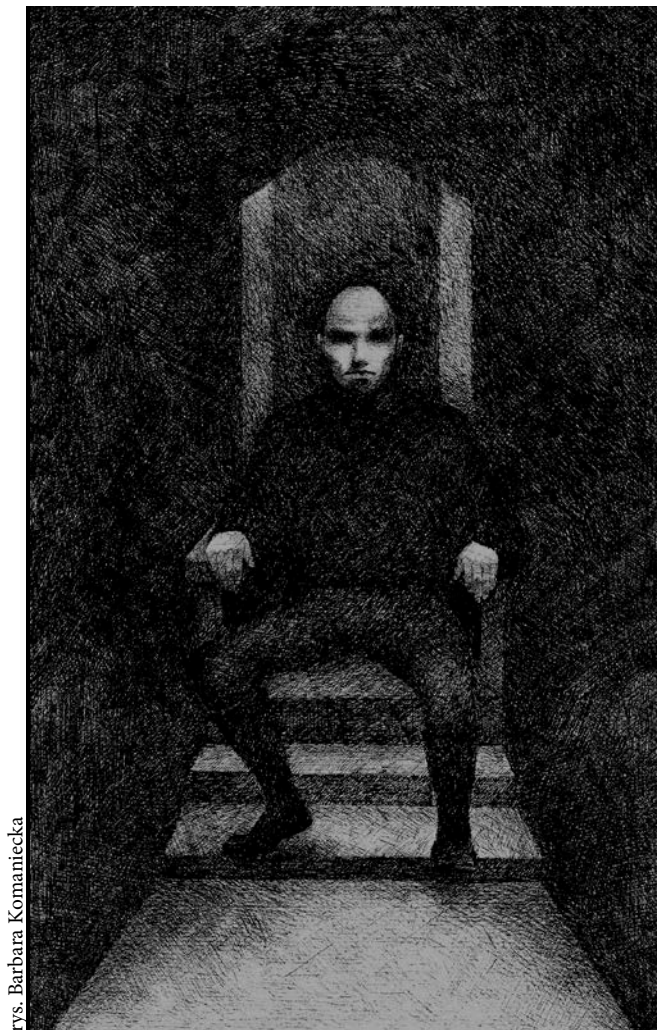
– Ja tego nie chciałem! To on mnie zmusił! On mnie zmusił!

W miarę, jak trumnę pokrywały kolejne centymetry ziemi, jego głos stawał się coraz cichszy, bardziej stłumiony. Kiedy praca dobiegła końca, nie było słyhać nic.

Mężczyźni zdjęli maski, posprząтали wokół grobu, podzielili pieniądze, wymienili porozumiewawcze spojrzenia i po chwili rozeszli się w różne strony. Pół godziny później zaczęło świtać.

Nie wiadomo, jak długo trwała agonía cmentarnych hien.

Wiadomo jedynie, że rok po opisanych wydarzeniach, kiedy zamierzano przenieść Gąssowskiego do grobowca „z prawdziwego zdarzenia”, natrafiono na dwa inne ciała. Ciała nieznanego pochodzenia.



rys. Barbara Komaniecka

NIOSĄCY ŚWIATŁOŚĆ

(finałowe opowiadanie z konkursu *W mroku gwiazd*)

Szymon Płuska

Prolog

– Mam dwadzieścia pięć lat i życie połamane jak patyk! Czegóż jeszcze ode mnie wymagasz?! – wykrzyczał człowiek stojący w ciemności.

Słowa wzlatywały w przestrzeń, unosząc się i wirując dostojnie. Rzucane z coraz większym gniewem i lękiem, ginęły niezauważalnie pośród nieprzebytego ogromu. Bez światła, bez dźwięku, bez żadnego ostrzeżenia. Przepadały bezpowrotnie.

Małeńka postać, otulona aksamitną czernią powłóczystej peleryny, nieustannie ponawiała swe mizerne próby. Krzyczała i nawoływała. Kolejne zaklęcia i modły wznosiły się pod niezmiernym sklepieniem podziemnej pieczary.

Jedyny wyznawca siedzącego na cyklopowym tronie boga przez lata wypełniał jego polecenia w cichym pragnieniu, by choć raz usłyszeć, że wszystko zrobił dobrze. Na próżno.

Gęsty mrok, przybierający na swym skalnym siedzisku kształty zgoła wyobrażalne, nawet nie drgnął. I choć ludzkie oczy Wyznawcy dosięgały jedynie do kolan Najwyższego, był święcie przekonany, że cała reszta także tkwiła nieruchomo.

– Rozumiem, rozumiem, mój panie. Stanie się, jak przykazałeś! – zakrzyknął sługa wiedząc, że nikt go nie usłyszy. Odszedł, pozostawiając za sobą szarą smugę.

Jeszcze przez kilka eonów pogłos tego zajścia nił we wnętrzu nieskończonej świątyni. Rozpadał się stopniowo, jedynie silniejszym zgłoskom pozwalając przemierzyć gęstszy miazmat.

Jednak tylko najpotężniejsze szmery mogły dostąpić zaszczytu osiągnięcia uszu Nienazwanego – odpryski emocji.

Pochwycił je w końcu, po niezliczonych kołach Kręgu Istnienia. Były to uczucia szczególne. Silne, nienadszarpnięte zębem czasu. Bóg pozostał atoli niewzruszony, zbyt pochłonięty wizją niezachwianego samostanowienia.

Jedyną zmianą, świadczącą o tym, że cały Wszechświat zachwiał się w posadach, było nieznaczące zgęstnienie mroku jego postaci. Kontur bezimiennego bóstwa nabrał wyrazu tak, że nawet czerń dookoła zdawała się jaśnieć.

I – Koloseum

– Zważajcie, ludzie! Usłyszcie słowa głoszące siłę i moc Najwyższego. Jego imię jest Nieskończoność i nieskończone jest imię Jego. Słuchajcie, bo mówi do was wieczność i ogrom wprost z niezmierzonej wzrokiem pieczary. Nie stoi przed wami wąły kapłan, lichy cień Wielkiego, ale on sam krzyczy do was ze swego kamiennego tronu! – wybrzmiały słowa otulonego w aksamitną czerń mężczyzny.

Stał na nieznacznym podwyższeniu, na środku spowitego gęstą mgłą placu z porfirowej płyty. Przytłumiony szkarłat bił z niej niczym ciepło z rozgrzanego żelaza, barwiąc opary na krwiste odcienie.

– Słuchajcie, bo przemawiają góry! Grzmi ciemność, śpiewa mrok, a demony wychwalają Pana! – zakrzyknął, a kaznodziejska mowa spotęgowała tylko jego samotność.

Dookoła wzrastało miasto. Strzeliste iglice. Wąskie uliczki i maleńkie domy, przyklejone do siebie jak przerażone stado owiec pośród wilków. Wszystko targane pąsowym wichrem, zostawiającym smugi na szarości nocnego nieba.

Przeraźliwy świst wokół zgiełku ulic. Czerwień tak głęboka, że świt zdawał się błądy. Odległy wrzask, ginący w świątynnym zaśpiewie. Muezzini krzyczący głośniejsz niż lament błagających o pomoc. Wszystko łączyło się w jedno. Stanowiło nie miejsce, a doświadczenie. Mistyczne Miasto Słońca w zenicie swych dziejów.

Za orędownikiem niechcianej prawdy jaśniała rubinowa kopuła niebotycznej świątyni. Jej ogromu nie był w stanie objąć nawet najtęższy z umysłów. Przypominała tarczę zachodzącej gwiazdy uwięzioną na wieki w marmurowym łożysku.

Górowała nad wszystkim stworzeniem, które istniało i zaistnieć mogło na tej ziemi. Jej cztery minarety, każdy z bladoczerwonego kamienia, rzucały cienie mogące topić całe narody. Kto raz zobaczył sanktuarium Al-Talatei – Dom Słońca, nie był w stanie pomieścić w wyobraźni niczego większego i piękniejszego.

A jednak kapłan w czerni uparcie głosił swoje bluźnierstwa. Stał tyłem do niepodzielnego przepychu Świątyni i z rozpostartymi ramionami głosił swe nowiny.

Nic nie robił sobie z gniewu mnichów, rosnącego mu tuż za plecami. Chciał bowiem rozmawiać z ludźmi, a nie ze Starym Bogiem. Jego nie dało się już do niczego przekonać.

– Słuchajcie teraz, albowiem p ó ż n i e j Pan nie będzie tak łaskawy. Słuchajcie lub przepadnijcie na wieki! – mówił dalej, a jego słowa wznosiły się nawet ponad bezbrzeżne minarety. – Poczujcie moc Nienazwanego!

Nikt prócz niego jej nie czuł. Zatwardziałe serca skryte były głęboko pod kapłańskimi szatami. Oczy zamglone światłością nie widziały już nic poza większym blaskiem.

Zagrzmiały złowrogo świątynne bębny. Odezwały się pieśni. W ciemnościach niepomiernych katakumb rozbłysło światło pochodni. Rozpoczęła się furia Wielkiego Słońca.

– Wszystko, co tu widzicie, wszystko, co uważacie za dobro – to jedynie promyk w przedwiecznym i niezmiernym królestwie Pana! Gdyby nie ciemność, światło nie miałoby żadnej mocy. Rozejrzyjcie się! Czy nie widzicie? Gwiazdy! Na niebie jest ich setki, lecz nie rozpraszają mroku wokoło. One nie migoczą! Trzęsą się tylko ze strachu! Słuchajcie, a zrozumiecie!

Nikt nie słuchał. Do gniewnych tam-tamów dołączy harfy i dzwonienie łańcuchów. I coś jeszcze. Coś, od czego drżała ziemia i falowała krwawa mgła. Setki, tysiące agresywnych kroków niesionych słowami modlitwy.

– Ja widzę! – krzyczał niewzruszony. – Tam, gdzie wisi teraz wasze ukochane słońce. W każdym cieniu, każdym zaułku. W sercach i myślach waszych! I w głębinach, w których kroczy ku mnie armia, by zdeptać moje słowa i gra muzyka, by je zagłuszyć. Tam, właśnie tutaj. Zewsząd! W ciemności powstaje szczelina. Brama? Tak, to przejście! Wejrzyjcie!

Nikt już nie widział. Kapłan mówił dalej, a już szczekać zaczęły srebrne kołaty na siedmiu wrotach Al-Talatei. Ktokolwiek nie wystraszył się bluźniercy przed Domem Słońca, teraz biegł co sił. Przed tym, co czyhało za złotymi płytami, nie było ucieczki.

– Tak, tak! To drzwi! Wielkie i wspaniałe, utkane z czystego mroku. Czekają tylko, by przestąpił je Nieskończony. Zaraz! Czy to...? Czy to możliwe? Tak! Dostrzegam przez wąską szczelinę pieczarę. A w niej... Panie mój! Tron z litej skały i sięgające z niego szpony! Czy...

Przerwał. Z melodyjnym zgrzytem setek ton złota rozwarły się bramy Świątyni. Powietrze, i tak już gęste, stanęło w miejscu. Czerwona mgła nabrała głębszej barwy, zalewając całe podwórze widmową posoką.

Szalejące dotąd instrumenty umilkły. Ucichł marsz, zniknęło chóralne zawodzenie. Dziesięć tysięcy rubinowych oczu wpatrywało się w stojącego samotnie Kapłana.

Jego otulona w aksamitną czerń postać przypominała monument, wystający z morza krwi. Moc uniesionych w górę srebrnych włóczni była jak wystrzępiony brzeg. Pomruk bojowego zaśpiewu grzmiał niczym szum morza.

Na śmiałku nie zrobiło to jednak wrażenia. Powoli odwrócił się, jego powłóczysta peleryna nie wydała choćby szmeru.

Zaraz cztery słonie przywdziane w złote kolczugi przekroczyły największą, środkową bramę. Niosły na swych grzbietach potężną lektykę, przypominającą przenośny pałac.

– Witaj w Al-Talatei, Domu Wielkiego Słońca, które przelało swój blask w nasze diamenty i zesłało swe promienie, by tańczyły w naszych rubinach. Podziwiał lub bądź potępiony! – wybrzmiało uroczyście z palankinu.

Odpowiedział mu jedynie nienawistny wzrok, rzucony na przednią część atlasowej kotary. Jej intensywnie czerwony kolor wyraźnie poblekł.

– Skoro nie respektujesz pozdrowienia, odpowiedz na oskarżenie. Kim jesteś, by profanować Al-Talatei, Świątynię Słońca, w jego błogosławionym mieście?

– Jestem mrokiem gwiazd w imperium światła! Jestem Persem, śmiejącym się z upadłego Jeruzalem. Jam Babilon wyrastający z serca prawości! – odparł grobowym głosem, mogącym wydobyć się jedynie z najgłębszych lochów.

Ziemia znów zadrżała. Przez święte wojsko przebiegł niespokojny szmer. Coś nieznacznie poruszyło ciężkie zasłony lektyki. Nadal nie wiał wiatr.

– To miasto słyszało już wiele podobnych oszczerstw. Skąd wiesz, młody człowieku, że twoje coś dla nas znaczą? – przerwał ciszę głęboki tenor. – Skąd pewność, że twoja ślepa wiara w czyste zło ocali cię przed naszym gniewem?! Odpowiedz, jeszcze nie jest za późno na odkupienie!

Na krótką chwilę, nagły podmuch zimnego powietrza odtrącił skrawek zasłony okalającej palankin.

Tam, gdzie zwykły człowiek zobaczyłby czerwone obicie królewskiego wnętrza, kapłan w czerni ujrzał znak. Subtelna podpowiedź, by nie tracił nadziei.

– Skąd mam pewność? – rozpoczął replikę, tym samym nieprzyjemnym szeptem. – Skąd wiem, że moje słowa nie były ci obojętne? Ponieważ wyczułem w twoim głosie strach!

Następnych godzin, spędzonych na przemierzaniu nieskończonych kazamat, Kapłan nie pamiętał zbyt dobrze. Wielokrotnie próbował sobie przypomnieć przebieg słynnych korytarzy, ale nie potrafił. Ostatecznie doprowadziły go do zimnej celi bardzo, bardzo głęboko pod Słońcem i jego świętym domem.

Najprawdopodobniej to pewna osobliwa wizja nie dała mu się pogрузić w szaleństwo katakumb Al-Talatei. Trzymała go na duchu. Nieustannie przypominała o wyższym celu, dla którego musiał się poświęcić.

Przez cały ten okrutny czas widział kamienny tron spowity nieprzebytym mrokiem, wyglądający na niego zza szkarłatnej kotary.

II – Nemezis

– Czy zawiodłem cię, panie? – łzawy szept przeszył hegemonię ciszy. Echo zwielokrotniało pewne sylaby, aż pozostało z nich jedynie niknące „zawiodłem... zawiodłem... zawiodłem”

– Czy byłem zbyt słaby? Moja siła nie wystarczyła, by czynić, a tylko by mówić? Nie okazałem się dobrym sługą? – powtarzały się pytania, wzlatające tyradami po sklepienie czarnego nieba.

Pozostawały bez odpowiedzi, atakując szepczącego w ciemności bolesnymi odpryskami „słaby... słaby... słaby...”.

„To tylko próba”, pomyślał Kapłan i zaprzestał modłów do głuchych ścian. Okrył się w mrok swej rewerendy i spróbował usnąć. Czas w Domu Słońca płynął dziwnie, zakrzywiany przez widzimisię mnichów. A ci potrafili być niezwykle złośliwi.

I tak samotnemu więźniowi zaczęło wydawać się, że przestrzeń dookoła niego się rozpada. Miliardy lat przelatują w mgnieniu oka, a sekundy rozciągały się eonami. Widział moment, w którym pierwszy kilof pradawnych budowniczych przebił załom skalny, odkrywając to miejsce.

Oglądał, jak przez setki, tysiące lat cały kompleks rozrastał się rubinem i pęczniał marmurem, przypominając krew tryskającą z głębokiej rany.

Obserwował, jak ostatnia drogocenna płytką spoczęła na kopule Al-Talatei i pierwszy raz otwarto wszystkie siedem Bram, wołając ludzi z Czterech Wież. Na jego oczach rodzili się i umierali wielcy kapłani, miasto świątynne płonęło i odradzało się z popiołów. Przejrzał wszystko na wskroś.

W końcu zrozumiał, że w tym nieprzerwanym kręgu życia kryła się skaza. Niewidoczny mankament, który sprowadzał rdzę na dobrze naoliwioną maszynę.

Świat dookoła tkwił w ciemności. Wszędzie istniał załamek doskonałego – mrok. Wszędzie, prócz jednego miejsca. Przeklętego Domu Słońca w jego ulubionym mieście.

Rubinową kopułę dumnej świątyni rozświetlała bowiem światłość nie pochodząca z tego świata, lecz z zewnątrz. Boski Blask, nad którym Przedwieczny nie miał żadnej władzy. Gwiazda jaśniejąca w mroku kosmosu. Promień nadziei na pochodni zwycięstwa. Lewiatan prawości w wodach Wszechświata. Złote litery na ścianie Babilonu...

Stop. Rzeczywistość momentalnie wskoczyła w swoje kanwy. Zimno. Głód. Chłód. Samotność. Ciemność. Wszystko na swoim miejscu.

Kapłan poczuł, jak niski strop przyciska go do litej skały. W jednej chwili żar niebios i mróz z dalekich krain zaiskrzyły mu w umyśle. Nareszcie stał się silny.

Cienie oklejające ściany więzienia przemieniły się w rozległe wejście do nieskończonej pieczary. Mrok głębokiego lochu był wobec niej oślepiającym blaskiem.

Pokłonił się przed kamiennym tronem, tkwiącym w mistycznym grobowcu. Spoczywał na nim jego niezmierny wzrokiem Pan. Wciąż nieruchomy, wciąż niewidoczny, ale w końcu zadowolony. Bardzo zadowolony.

A gdy umysł samotnego więźnia znów zanurzył się w mistycznych wizjach, jeden z mnichów wstąpił do lochu, by doglądnąć jeńca. Jego opętańczy krzyk długo nawiedzał przepastne korytarze Al-Talatei.

Na przeciwległej ścianie pojawił się bowiem jaśniejący złotem napis:

MENE | MENE | TEKEL | FARES

III – Serce Gwiazd

– Panie mój, coś... stało się coś złego! Objawiło mi się wielkie... wielkie niebezpieczeństwo! – wykrzyczał zdyszany mnich, padając przed czerwonym piedestałem.

– Wiem, bracie Cyrylu. O wszystkim mnie już powiadomiono. – odpowiedział głuchy głos zza ciężkiego baldachimu.

Z utkwionej niepomernie wysoko latarni spływały promienie słońca. Przechodząc przez rubinowe witraże, nabierały koloru tętnicznej krwi. Całe Atrium skąpane było w gwiazdnej posoce, a strzelisty gabinet Najwyższego Kapłana przywodził na myśl skałę rozcinającą strumień wodospadu.

– Słyszałem o napisie na ścianie i domyślam się, co może oznaczać. Nie spodziewałem się, że to nadejdzie tak szybko... Ledwie wykończyliśmy klejnot Al-Talatei, a już gaśnie jego chwała... – dodał jeszcze, gdy mnich miał już odchodzić.

– Ależ panie! Nic nie jest przecież stracone! Nie widzieliśmy Sędziego i nie słyszeliśmy Jego wyroku! Czy nie jest napisane w piśmie, że zatruwać będą serca i umysły nasze słowa fałszywych proroków?!

– Głupcze! – wybrzmiał skryty za kotarą, a głos jego był niczym tysiąc kościelnych dzwonów krzyczących na wojnę. – Czy naprawdę nie rozumiesz?! Nie słyszysz tych wrzasków, tych jęków zza naszych bram?!

– Panie mój, jest zupełnie cicho...

– Zamilcz! Ryczą trąby wojsk, których nawet Naczelnny Skryba nie byłby zliczył. Czuję, jak drżą nasze mury, jak fundamenty nasze rezonują w posadach! Doprawdy, nic do ciebie nie dociera? To Jerycho! Teraz, w tej chwili, jesteśmy świadkami straszliwej bitwy!

– Zatem złe litery zwiastują nam zwycięstwo? – zapytał niepewnie Cyryl. Strach uginał jego wątłą figurę niemal do posadzki. Drżały mu ręce, a pot spływał ze skroni.

– Jak możesz być tak nierozumny! Trwa teraz Jerycho i czas jego klęski, ale to my jesteśmy oblężeni za przeklętymi murami!

Ostatnie słowa Najwyższego Sługi Słońca jeszcze chwilę wybrzmiewały pod kryształową kopułą. Mnich błagalnym wzrokiem wpatrywał się w szeleszczący niespokojnie aksamit, wyczekując nieuniknionego.

I w końcu stało się. Powoli, bardzo wyraźnie, zaczął słyszeć w głowie rozkaz, palący mu wnętrzności:

POKAŻ MI CYRYLU – Kapłan przełknął ślinę

PRZYNIĘŚ TO NATYCHMIAST – Powietrze stało się gęste, perfumowane opary gryzące. Czerwone światło drażniło oczy.

CHCĘ ZOBACZYĆ SERCE GWIAZD – I ostanie, ciężkie jak „Amen” w epitafium przygwoździło go do samej ziemi.

– D-d-dobrze, p-p-panie mój! – wydukał przerażony. – Cz-cz-czy jesteś p-p-pewien, że chcesz je teraz zobaczyć? – dokończył, siląc się na resztki opanowania.

TAK, które wtedy wypowiedziano, mogłoby zabijać planety. Mnich złapał się za głowę i poczuł, jak czysta energia rozsada go od środka. Próbował krzyczeć, błagać o litość, ale nie zdołał. Padł bez życia na ziemię. Z rubinów jego oczu ulatywała mgiełka duszy.

– Masz szczęście, bracie Cyrylu. Odszedłeś w światłości, jako ostatni z całej tej świątyni – skwitował zimny głos, gdy ciało sługi Słońca rozpadało się na mrowie rozżarzonych drobin.

Gdy już przepadły, przestrzeń wokół centralnej katedry rozmigotała się miriadami świetlnych błysków.

Zniknęła czerń, ucichły trąby i wojenne zaśpiewy nawiedzające zmęczoną głowę Zakonnika. Rozsunęły się baldachimy i proporce, wyglądające teraz jak bezbarwne przepierzenia. Świat stał się spokojny i spokój był mu całym światem.

– Pokaż się, mój klejnocie. Twój unizony sługa cię potrzebuje – odezwał się ciepło odziany w biel starzec, spoczywający na tronie z nieskazitelnego marmuru. Wysoka tiara ciążyła mu na zmęczonym czole. Ściągnął ją i położył w kącie.

– Przybywam więc – odpowiedział melodyjny głos, dochodzący tak zewsząd, jak i znikąd. – Czego potrzebujesz?

– Poczulem dziś wielkie zaburzenie w twojej światłości. Słyszałem i widziałem rzeczy, których nikt nie dostrzegął. Poczulem moc... Złego.

– Czy coś jeszcze?

– Tak! Ukazał się pewien... napis, na ścianie więzionego w lochach bluźniercy. Nie byłem pewien, czy czegoś nie znaczył, więc... Chciałem cię zobaczyć, o potężne Serce!

– Zatem patrz! – potężny zgrzyt wybił się z anielskiej melodii. Struna pękła w boskiej harfie. Wybuchł bęben anielski. Usechł źródło niebiańskich łask.

Błyszczące punkty, jak diamenty wewnątrz kupieckiej sakiewki, zwały się w jeden punkt tuż przed strwożonymi oczyma Najwyższego Sługi.

Przez jego twarz spływały projekcje i błyski najczystszej światłości. Całe spektrum barw w jednym, doskonałym mirażu. Czyste piękno serc najjaśniejszych gwiazd skryte w jednej mistycznej wizji.

Coś jednak było nie tak. Opalizująca materia zaczęła się burzyć. Nieskazitelność przecinały nieczyste pręgi. Idealna geometria klejnotu pękała, nabrzmiewała, trzęsa się w posadach.

Wybuch. Olbrzymi rozbłysk głębokiego fioletu przysmalił twarz Wielkiego Kapłana. Później kolejny, błękitny, wypalił na nim swoje piętno. I tak następne, następne, aż pozostał ostatni wierny odcień. Szkarłat.

I wtedy też naprawdę, wyczuwalnie dla wszystkich, mury i podłogi zaczęły drżeć.

ZWAŃPIĘŚ! – Wykrzyczał głos, jak piorun bijący pod kopułą gromu.

ZWAŃPIĘŚ! – Wybrzmiało, a ściana przybytku pękła na dwoje.

ZWAŃPIĘŚ! – Zawołano, a na Wzgórzu Czaszki zapiał demon.

I w niwecz obrócił się ostatni kolor. Z dawnej piękności Serca Gwiazd nie została się choćby jedna skorupa. Zamiast tego, pod kopułą z pozbawionych barwy rubinów wisiała kula czystego mroku, falując złowrogo.

Dziewięć czerwonych piorunów rozłupało latarnię Al-Talatei. Szkliste, niewidzące oczy jej Najwyższego Kapłana pokryły bezbarwne odłamki. I tak każdy kolejny klejnot oddawał swoje piękno, a łuna tych wybuchów widoczna była i z krańca Ziemi.

Z potężnym hukiem zapadło się wszystko, co dotąd tworzyło Dom Słońca w jego świętym mieście. Ostatecznie rozpadły się złowrogie pozostałości Serca Gwiazd, wypalając na bezwładnym kapłanie ostatnie piętno. Nieprzenikniony, najpełniejszy i najpodlejszy mrok.

Epilog

Przez ciemną dolinę, przecinającą jak nóż pustą Hadesu, szedł niegdyś człowiek. Mała, skulona postać opatulona w czerń. Sama pośród milczących gigantów, których puste oczodoły śledziły zabłąkanych w zaświatach.

Pochodnia jego nadziei jaśniała jednak bardziej, niż kiedykolwiek tutaj widziano. Zwykle upiory nosły ze sobą dogorywający ogarek, a płomień tajemniczego podróżnika jaśniał blaskiem tysiąca słońc.

Nad wąwozem przeleciały kruki, skrzecząc opętańczo. Wzbudziło to ciekawość jednego z olbrzymów. Uniósł swą zakapturzoną głowę i spojrzał na mknące w morowym powietrzu ptaki. Nienasycone zwierzątka samej Śmierci były przerażone.

Podróżnik szedł wciąż do przodu, choć większość innych śmiertelników już dawno skręciłaby w któryś z bocznych zaułków. On kroczył dalej, a jego światłość wypalała w grobowym cieniu coraz głębsze bruzdy.

Hades uląkł się dźwięku odległych piszczałek. Grały przeraźliwie, wstrząsając posady całego królestwa umarłych. Nie dochodziły z Góry jak wyczekiwane Trąby Apokalipsy, lecz z Głębi.

Kilku kolosów padło na kolana i uniosło ręce. Zadrżała ziemia. Zgęstniało powietrze. Czas był już bliski.

Patrzący dotąd na kruki tytan skierował swą uwagę na podróżnika. Ten zatrzymał się i również spojrzał na niego.

Wtedy strażnik Drzwi Najwyższego zrozumiał, że nie spogląda na zwyczajną zabłąkaną duszę. Na widok bezdennych źrenic tego, co miało być człowiekiem, rzekł:

– Za tymi drzwiami, których strzegę od niezliczonych eonów, znajduje się pałac Stwórcy. Spotkasz za nimi jedyne Boga, który włada tym światem i wszystkim, co na nim żyje, żyło i żyć będzie. Czy na pewno chcesz je otworzyć? Czy chcesz poznać imię Nienazwanego? – zapytał głosem mogącym obracać góry w proch.

– Idę przez ciemną dolinę. Nie lękam się niczego. Światłość mego pana moją światłością, a laska jego mieczem moim. Słowo jego mi tarczą, a oblicze źródłem nadziei. Idę przez ciemną dolinę. Nie lękam się. Niczego – odpowiedział upiór.

– Dobrze, a zatem wejdź. Prawdę pisały Księgi, nazywając cię „Niosącym Światłość”. Stanie się, jak przykazano. Nie zatrzymam przepowiedni stojącej u mych bram.

Otulona w aksamitną czerń postać zbliżyła się do strzelistego łuku, mieszczącego w sobie Drzwi Najwyższego. Człowiek nie wahał się ani chwili. Przystąpił, a jego pochodnia oślepiła nawet bezokich gigantów.

Wrota szczęknęły. Piszczałki, bębny, harfy i surmy zaczęły wyć opętańczo. Olbrzymy padły na ziemię i obróciły się w pył. Otwarto pierwszą pieczęć. Zabrzmiały Trąby. Runął Wąwóz Potępionych.

Śmiałek nie uląkł się. Pchnął tytaniczne podwoje, by rozstąpiły się przed nim jak morze przed Mojżeszem. I znów kakofonia, znów znaki na kopule piekieł. Czerwona luna rozbłysła na wschodzie. Rozwarto drugą pieczęć. Rozbrzmiały Trąby.

Wędrowiec przestąpił progi nienazwanego i upadł na twarz. Światło jego pochodni rozbłysło niewypowiedzianą mocą i dokonało się, co dokonać się miało.

Niosący Światłość ukląkł przed kamiennym tronem zawieszonym w ciemności. Złożył hołd swemu panu, który po raz pierwszy ukazał mu się w całości. I siedział on nie na skale, lecz czystym marmurze, a wysoka tiara zdobiła jego czoło.



NOWY POCZĄTEK

Bartłomiej Mucha

– Wypierdalaj stąd, chuju – rzucił niewyraźnie nieznajomy. Antek spojrzał na niego, jakby to miało cokolwiek zmienić.

– Wypierdalaj, bo ci przyjebię!

Nie zamierzał ponownie walczyć. Dość namęczył się przy opuszczonej fabryce, gdzie nieomal zginął po uderzeniu ciężkiej cegły.

Był bezdomnym. Nadchodziła zima. Dla zwykłego człowieka czas odpoczynku, ciepła. Godziny w pracy upływają lekko i bezstresowo. Niektórzy nawet mogą się doczekać nagrody w postaci rozpalonego ognia w komiku i lampki czerwonego wina, podanej przez ukochaną. Później nadchodzą święta i dostaje się prezenty. Wszystko upływa spokojnie. Panuje miła atmosfera. Ludzie na przystankach odprawiają swoje taneczne rytuały w celu ogrzania się, lecz potem i tak czeka na nich ciepło autobusów, pociągów, tramwajów, a następnie własnych domów. Chodzi się do teatrów, kin. Często w tym okresie pojawiają się pierwsze miłości. Nie można oczywiście zapomnieć o najważniejszym dniu w roku bez względu na region i kulturę,

czyli Sylwestra. Dzień, w którym nawet dzieci mogą stosunkowo legalnie się upić, przechadzając się chwiejnym krokiem przy „ślepych” budynku policji. Zima to także walentynki. Kolejne prezenty i obdarowywanie się ciepłem, które rozgrzewa w najmroźniejsze noce i topi najbardziej skostniałe serca.

Antek, stojąc przed podobnym do siebie kloszardem, zatracił się we wspomnieniach, które ostatnio nawiedzały go coraz częściej. To już kolejne znalezione przez niego miejsce. Kolejne zajęte. Zima nie odpuszcza.

Bezdomni łączą się w małe grupki, najwyżej kilkusobowe. Są to społeczności zamknięte, gdzie walka o przetrwanie liczy się nade wszystko. Antek nie należał do takowej. Kiedyś mieszkał w opuszczonej chacie na skraju lasu z przyjacielem Igozem. Podobnie jak on, onegdaj należał do normalnej populacji. Zanim został wyklęty miał żonę i dzieci, jednak wszystko poszło innymi torami. Pamiętał, jak inni bezdomni zatłukli Igora na śmierć.

Wracając ze sklepu, zauważył grupkę mężczyzn pod ich wspólnym domkiem. Ruszył co sił w nogach, spodziewając się najgorszego. Zanim dobiegł, ludzie zniknęli, zostawiając nieoddychającego Igora, leżącego wśród krzaków jeżyn, w scenerii niczym z poematu Słowackiego. Wszystko dla kilku puszek konserw, które schowali na czarną godzinę. Takie jest życie bezdomnych zza kulis. Rzeczywistość usłana cierniami. Nie można było nikomu ufać.

Nie chciał tego doświadczyć ponownie i tak jak tamtego dnia, widząc grupkę mężczyzn przed chatą, tak i teraz doświadczał dziwnego przecucia, że może być nawet za późno na wizytę w szpitalu. Ruszył ponownie przed siebie, zostawiając za sobą gościa rzucającego plugawymi wyzwiskami.

Zwykły człowiek myśli, że wyjście z takiej sytuacji to tylko kwestia czasu. Nawet sam kiedyś tak myślał. „Wystarczy się umyć, kupić garnitur w ciucholandzie i pójść na rozmowę o pracę. Nawet jak się nie uda, to na pewno dostanie się pracę na czarno. Wystarczy wziąć się do roboty. Nawet to wam nie wychodzi. Jebane nieroby. Lepiej żeby zdechli, przynajmniej nie byłoby tego syfu na ulicach”. Może po części to prawda. Podobne do tego głosy coraz częściej rozbrzmiewały mu w głowie. Dołek psychiczny, niskie poczucie wartości i bezsens życia. Brak sił do walki. Po kolejnych niepowodzeniach nieuchronnie zbliżamy się do cienkiej czerwonej linii, która na zawsze odgradza od społeczeństwa. Oczywiście są wyjątki potwierdzające regułę. Zazwyczaj poprzez pomoc innych udaje się wydostać z matni. Wystarczy chociaż cień szansy, malutka iskierka nadziei.

Ciemność i pustka. Kroczył przed siebie w dziurawym płaszczu i letnich trampkach, czarnej czapce zimowej i cienkich rękawiczkach. Wziąłby cokolwiek, nawet opuszczoną psią

budę, pełną pcheł i innego robactwa, które i tak już na nim zapewne przesiaduje. Mijały kolejne minuty i Antek tracił nadzieję. Wyraźnie zwolnił tempo, szurając po zaśnieżonej ulicy. Jego twarzy dotknęły delikatne płatki śniegu. Zdawał sobie sprawę, że jeśli rozpęta się śnieżycyca, będzie po nim. Ruszył do przodu szybszym krokiem, starając się zapomnieć o głodzie i o niebezpieczeństwie utraty życia, które już dawno straciło znaczenie.

Śnieg z minuty na minutę padał gęściej. Zaspy powiększały się w widocznym gołym okiem tempie. Gdzieś w oddali zamajaczyło jakieś światło. Kierując się instynktem, postanowił udać się w tamtym kierunku. Po upływie kilku minut dostrzegł palące się ognisko. Domyślił się, że to pewnie inni bezdomni próbują się ogrzać w tę grudniową noc. Do ciężkiego zimnego powietrza i wielkich płatów śniegu dołączył mroźny, północny wiatr. Im bliżej miał do ogniska, tym warunki zdawały się być trudniejsze. Nie poddawał się i chroniąc twarz wierzchem lewej dłoni, dalej brnął w zamieć.

Przy palenisku siedziało dwóch mężczyzn i kobieta. Częste połączenie, w którym faceci dbali o ochronę, a kobieta dbała o facetów – w każdym aspekcie. Ognisko rozpalili blisko drogi, chociaż, otoczeni drzewami, mogli pomyśleć, że są niewidoczni. Już zamierzał do nich podejść i zaryzykować obicie mordy, gdy za nimi dostrzegł jakiś budynek. Minął ich i udał się w stronę starego domostwa.

Z pewnej odległości nie można było dostrzec go w całej okazałości. Był to wielki, piętrowy budynek. Wyglądał na niezamieszkały, brak jakichkolwiek samochodów i oznak życia. Przed domem wałały się stare zabawki, zużyte i zapomniane. Po lewej stronie skrzypiała metalowa huśtawka, w którą życie tchnął wiejący wiatr. Elewacja budynku, chociaż odrapana i wyglądem przypominająca stodołę, zdawała się być solidna, jak zresztą cały dom, który jako jedyny stał na tej pustej ulicy. Antek wszedł po schodach, stawiając stopy ostrożnie w obawie przed ewentualnymi dziurami, które na zawsze zakończyłyby jego żywot. Zapukał do drzwi i po odczekaniu chwili jak gdyby nigdy nic nacisnął klamkę, która ustąpiła z lekkim skrzypnięciem. Starał się dostrzec cokolwiek zza progu. Z głębi biła jeszcze większa ciemność, niż z leśnej drogi zostawionej za plecami. Z pewnością posiadłość była niezamieszkała, takie przynajmniej sprawiała wrażenie. Przystąpił próg, bacznie obserwowany przez trójkę bezdomnych, grzejących się w ciepłe ogniska.

Wyciągnął z kieszeni plastikową zapalniczkę z widocznymi śladami użycia i zapalił. Na pierwszym planie widoczne były zakurzone skórzane fotele, stare szafy i kominek, w którym stał równy stos drewna, jakby czekając, aż ktoś go rozpali. Czyżby jednak ktoś tu pomieszkiwał?

Chociaż rozpalenie ogniska, zważywszy na jego skłonność do popadania z „kolegami”

w kłopoty, było zdecydowanie głupim posunięciem, nie potrafił się powstrzymać. Drewno zajęło się w okamgnieniu i hol zaczął wypełniać się światłem. Antek wziął jeden z foteli i przysunął bliżej paleniska. Usiadł, wzbudzając chmurę kurzu. Gołe ściany wprowadzały mroczną atmosferę. Poza tymi kilkoma fotelami nie było tu nic wartego uwagi. Najprawdopodobniej reszta stała w jednym z okolicznych lombardów. Spojrzał w ognisko i oddał się zadumie. Po chwili zaczął robić się śpiący. Przed snem postanowił jeszcze sprawdzić resztę domu. „Koledzy” mogli spać w naprawdę zaskakujących miejscach.

Na dole znalazł kuchnię i jadalnię. Tak przynajmniej mu się wydawało, biorąc pod uwagę widoczne plamy po oleju w jednym z pomieszczeń i duży połamany stół w drugim.

Na górze znalazł dwie sypialnie i mały pokój, wyglądający jakby był wprost stworzony dla dziecka. W pokoiku nadal stało malutkie łóżeczko, obdrapane i z połamanymi żerdziami. W jednej z sypialń znajdowało się łóżko. Nie było idealne, jednak narzekanie w warunkach, w których się znalazł, byłoby bezmyślne. Stary tapczan przypominał mu, że nie spał i nie mył się w normalnych warunkach od miesięcy. Na piętrze były dwie łazienki. Nie mógł się oprzeć sprawdzeniu, czy jest w nich woda. Po odkręceniu kurków poczuł na zniszczonych dłoniach jej kojący dotyk. Nie obchodziło go, skąd się tu wzięła oraz czy nie ryzykuje życiem każdą minutą spędzoną w tym dziwnym domostwie. Ściągnął pospiesznie brudne łachy i wskoczył do wanny..

W takich momentach myślami powracał do domu. Tego prawdziwego. Przypominał sobie Magdę i wspólne kąpiele, gdy dzieci już zasypiały. Ona masowała mu plecy, a on czuł się najszcześliwszym mężczyzną na ziemi. Został z tym wspomnieniem przez moment. Do pełni szczęścia brakowało mu świeżych ubrań. Obok wanny stał kosz na bieliznę. Nie miał pojęcia jakim cudem wcześniej go nie dostrzegł. W środku znalazł spodnie, bieliznę, bluzę i czystą białą koszulę, co jeszcze dziwniejsze, w jego rozmiarze. Odświeżony spojrzął w pęknięte lustro, stwierdzając, że wygląda już prawie normalnie. Pozostał tylko ten błysk w oku, którego niełatwo byłoby się pozbyć.

Po kąpieli sen zaatakował ze zdwojoną siłą, zamieniając go w żywego trupa. W sypialni też znajdował się kominek. Także leżał w nim stosik równiutko porąbanych drewniek, które aż prosiły się o rozpalanie, co też zrobił. Pokój momentalnie wypełnił się ciepłem, które ostatecznie dobiło walczącego jeszcze Antka. Padł na łóżko, od razu zanurzając się w głęboki sen, jakby nie spał od tygodni.

Ze snu wyrwał go donośny huk, dochodzący z parteru. Rozespanym, chwiejnym krokiem ruszył w dół schodami, uważając, aby się nie potknąć. Sam nie wiedział, jak długo spał, jednak nadal panowała głęboka noc, bez śladu jakichkolwiek znaków zapowiadających

poranek.

Na samym środku holu leżał obraz, położony w sposób uniemożliwiający obejrzenie go bez podniesienia do pionu. Antek zastanawiał się, jakim cudem wcześniej go nie zauważył. Może ktoś go tu podrzucił? Ale po co? Obraz był masywny i zdecydowanie wyglądał na coś o dużej wartości. Przedstawiał damę dworu ubraną skromnie, ale z klasą. Około trzydziestoletnia brunetka baczny okiem spoglądała na Antka. Drwa nadal się paliły, co mogło sugerować, że spał tylko kilka minut. Dopiero wtedy zaczął zauważać ozdobne, złotawe świeczniki w odstępach co kilka metrów, rozsiane po całym pomieszczeniu. Może to przez wcześniejszą senność i ogólne zmęczenie. Zignorował to i poszedł w stronę kuchni. Plamy z oleju zupełnie zniknęły, zamieniając się w duży piec z żeliwnymi drzwiczkami. Jakim cudem się tu pojawił? Ktoś na pewno ma dostęp do domu i stroi sobie z niego żarty. Nie było innej możliwości.

Poszedł z powrotem na górę, po drodze zauważając kolejne nowe przedmioty. Stary telefon, kilka szafek, kredensów. Tapeta ścienna także wydawała się mocniej przylegać, jakby była dopiero co przyklejona. W sypialni, w której wcześniej zasnął, na nocnej szafce, której wcześniej nie było, znalazł list. Ktoś musiał oglądać go, gdy spał. Zimny dreszcz przeszedł Antka, który zaczął się zastanawiać, czy przyjscie do tego domu było dobrym wyborem. Wziął złożony skrawek papieru i przeczytał jedyne znajdujące się na nim słowo: „Witaj”.

Zauważył, że coś przemknęło za drzwiami. Szybko wyskoczył na zewnątrz z zamiarem złapania dowcipnisia na gorącym uczynku, lecz znalazł tylko puste korytarze.

To wszystko przez przemęczenie, wystarczy się uspokoić i wszystko wróci do normy.

Zapomniał, że nie zwiedził jeszcze piwnicy. Z zamiarem szybkich oględzin ruszył ostrożnie na dół, schodami usytuowanymi tuż za kuchnią. Ponownie zapalił zapalniczkę.. Schodek za schodkiem stare drewno skrzypiało coraz bardziej, jakby starzało się pod wpływem jego kroków. Na dole napotkał stosy pożółkłych, bezwartościowych gazet i bardzo nietypowych zdjęć, jakby wykonanych w poprzednim stuleciu. Wyglądało na to, że dom od momentu zniknięcia ostatnich właścicieli stał pusty. Za szafką z albumami zauważył kolejne drzwi. Bez wahania wszedł do pomieszczenia za nimi. Z pewnością znalazł się w spiżarni. Od lewej do prawej, pomieszczenie zdołało słoiki z przetworami i dżemami. Z tyłu stały kiszzone ogórki oraz marynowane grzyby. Wszystko idealnie posegregowane. Najdziwniejsze było to, że wyglądały na świeże. Pamiętał, jak jego babcia robiła tego typu rzeczy. Doskonale znał smak domowych wyrobów. Na myśl o tych smakołykach jego żołądek przypomniał o sobie poprzez burczenie.

Wziął pierwszy lepszy słoik z grzybami do ręki. Naprawdę wyglądały na prawdziwe.

Czyżby ktoś trzymał tutaj przetwory na zimę? Nie potrafił wytłumaczyć wszystkiego tego, co widział. Otworzył słoik, wachając i oglądając z pieczołowitością jeden z grzybków, włożył go ostrożnie do ust, po czym ugryzł. Smak był niesamowity. Nie mógł się powstrzymać od zjedzenia kolejnego i, zanim się obejrzał, po skończeniu jednego słoika był w połowie kolejnego.

Burczenie ustało. Nadal jednak nie zostały rozwiane wątpliwości co do tego miejsca. Stracił zupełnie ochotę na dalszą eksplorację piwniczki. Rozmyślał już nad opuszczeniem domu, gdy coś znowu huknęło mu za plecami. Na ziemi leżał album. Podobny do tych, które niedawno oglądał. Na myśl przyszła mu wcześniejsza sytuacja z obrazem. Wziął go do wolnej ręki, tym razem kierując się na strych, po drodze odkładając przedmiot. Przyspieszył kroku i chociaż rozum podpowiadał mu, aby uciekać, czuł, że musi iść jeszcze na górę. Wiedział, że jest tam coś, co dostarczy mu odpowiedzi.

Wejście na strych znajdowało się blisko pokoiku dziecka, w którym stała zupełnie odnowiona kołyska. Dopiero będąc na górze zaczął żałować, że nie miał ze sobą latarki. Przedzierając się przez ciemność musiał uważać na tumany kurzu, niezliczone pajęczyny i stare pudła. Mimo iż nadal palił się płomień zapalniczki, miał problemy z dostrzeżeniem czegokolwiek. Usłyszał kolejny dziwny huk, dochodzący z końca strychu. Zbliżał się powoli, uważnie przeczesując wzrokiem okolicę w poszukiwaniu winowajcy. Bezowocnie. Już miał się odwrócić, gdy jakiś ciemny kształt wyleciał mu zza pleców potrącając go, aż musiał złapać się oburącz drewnianej belki, aby nie upaść.

– Co to kurwa było? Pokaż się, skurwysynie! Nie boję się ciebie! – W rzeczywistości bał się jak diabli. Czyżby znalazł się w nawiedzonym domu? Czy przez poświatę wypalającej się zapalniczki umysł zaczął płatać mu figle? W takim razie, jak wytłumaczyć zmieniające się otoczenie? Niekończące się pytania bez odpowiedzi. Wyglądało na to, że zjawy wyleciała z szafy, która, cała zakurzona i w ciemnym kolorze, zlewała się z otoczeniem.

Uchylił drzwiczki i znalazł małe, niepozornie wyglądające pudełko. Delikatnym ruchem otworzył zakurzone znalezisko, uważając, aby ponownie nic go nie zaskoczyło. Skrywało pliki dokumentów, niektóre ze zdjęciami. Były w nim też wycinki z gazet, wszystkie donoszące o „kolejnym tajemniczym zgonie w starym domu pani Olszewskiej”. Zmieniały się tylko fotografie i nazwiska zabitych osób. Znalazł kilkanaście takich wycinków. Serce waliło mu jak oszalałe. Czytał kolejny już, ostatni, bardzo wiekowy wpis, z którejś z dawno już niewydawanych gazet. Mówił o kobiecie, która zamordowała we śnie swoje własne dziecko, następnie zajęła się mężem, na końcu popełniając samobójstwo. Do artykułu dołączone było zdjęcie przedstawiające damę z portretu, który widział na dole – panią Olszewską.

Miał już dość. Ruszył w stronę wyjścia. Ostatni wpis wyrwał go z dziwnego transu. Czuł się w nim dobrze i z każdą minutą spędzoną w domu uspokajał się jeszcze bardziej. Będąc na dole, nacisnął klamkę głównych drzwi, jednak ta nie ustąpiła. Rozważał zamrożony zamek albo zamknięcie go przez kogoś z „domowników”. Rozpędził się i uderzył w nie barkiem, potem spróbował kopnięciem. But ześlizgnął się po framudze, pozostawiając widoczny ślad. Podeszedł do jednego z okien i spróbował je otworzyć, pociągając za wiekową klamkę. Znowu bez rezultatu. Domyślił się, że to samo spotka go przy próbie otwarcia kolejnych okiennic. Coraz bardziej roztrzęsiony, Antek podniósł z podłogi krzesło ze stalowymi nóżkami i z całych sił cisnął w szybę. Krzesło odbiło się niczym od pleksy. Zupełnie jakby szyba była kuloodporna i nie do sforsowania. Ostatki nadziei wiązał z bezdomnymi, którzy grzali się przed wejściem. Przecież muszą go usłyszeć. Zaczął walić pięściami w ciężkie odrzwia. Echo dudnienia wypełniało cały budynek i Antek był pewien, że donośny dźwięk wychodził poza mury domu. Nic. Po chwili zaprzestał kolejnych prób. Odnosił wrażenie, że ktoś się z nim bawi. Tak jakby dom grał z nim w chowanego.

Usiadł przy kominku na krześle, które nie pomogło mu się wydostać i zabrał się do przeglądania albumu. Wszystkie fotografie były czarno-białe, niektóre bardziej w odcieniach rozmazanych szarości, niżli kontrastowej bieli i czerni. Na zdjęciach przewijały się ciągle nowe osoby, zazwyczaj w towarzystwie ciemnowłosej damy z obrazu. Na jednym ze zdjęć zobaczył siebie. Stał uśmiechnięty w stroju, który znalazł w koszu, z włosami ulizanymi do tyłu i gęstą, ciemną brodą. Obejmował czarną damę w pasie. Wyglądali na szczęśliwych, dobrych znajomych, przyjaciół lub może nawet kogoś więcej. Poszedł do kuchni, z zamiarem przejrzania się w lustrze. Ze zgrozą zauważył, że przeistoczył się w postać ze zdjęcia. Jakim cudem z zaniedbanego mężczyzny zmienił się w dostojnego dżentelmena z innej epoki? Jedynym wyjaśnieniem było szaleństwo. Ze stresu oszalał i szczyt jego omamów nastąpił akurat w momencie, kiedy wszedł do tego domu.

Wrócił na swoje krzesło. Tyle zdjęć. Dziesiątki ludzi. Mężczyźni, kobiety, starzy, młodzi, dzieci. Wszyscy w jej towarzystwie. Usłyszał kroki. Jego wcześniejsza odwaga i chęć złapania żartownisia uleciała niczym papierosowy dym. Zamknął album, tworząc zakładkę z palca wskazującego i zaczął nasłuchiwać. Kroki dochodziły z piętra. Wydawało mu się, że słyszy je coraz wyraźniej. Nie wiedział czy jest poczytalny, czy nie, lecz postanowił ignorować zbliżający się stukot obcasów, tak jak małe dziecko zakrywające się kocem niczym peleryną niewidką. Coś weszło na schody. Zaczynały się na wysokości kominka, po łuku schodząc w stronę drzwi tuż za plecami Antka. Nie zamierzał się odwracać. Kroki nadal się zbliżały. Kołatanie serca i oczekiwanie nieuniknionego doprowadzały go do szaleństwa lub

może tylko je pogłębiały. Obcas uderzył w deskę na parterze przy drzwiach. Doszedł do niego dźwięk jeszcze tylko kilku kroków, po czym odgłosy ustały i ogarnęła go cisza. Walczył z zamiarem odwrócenia się przez ramię, lecz chciał trzymać się powziętej wcześniej decyzji.

– Możesz się odwrócić, Antku – odezwał się kobiecy głos.

Należał do ciemnowłosej kobiety. Stała z rozpostartymi ramionami, lekko się uśmiechając, identycznie jak na zdjęciu.

– Prawie im się udało. Ostrzegali cię od samego początku. Czasami jednak warto uwierzyć w duchy, prawda? – zapytała.

Dopiero po tych słowach Antek zauważył, że nie są tutaj sami. Za plecami kobiety, na schodach i przy drzwiach stali ludzie. Wszyscy wytwornie ubrani, z twarzami prawie takimi jak ze zdjęć z albumu, innymi, bo bez śladu szczęścia.

www.kostnica.com.pl

KOSTNICA

POZORNIE MARTWA STRĘPA

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA

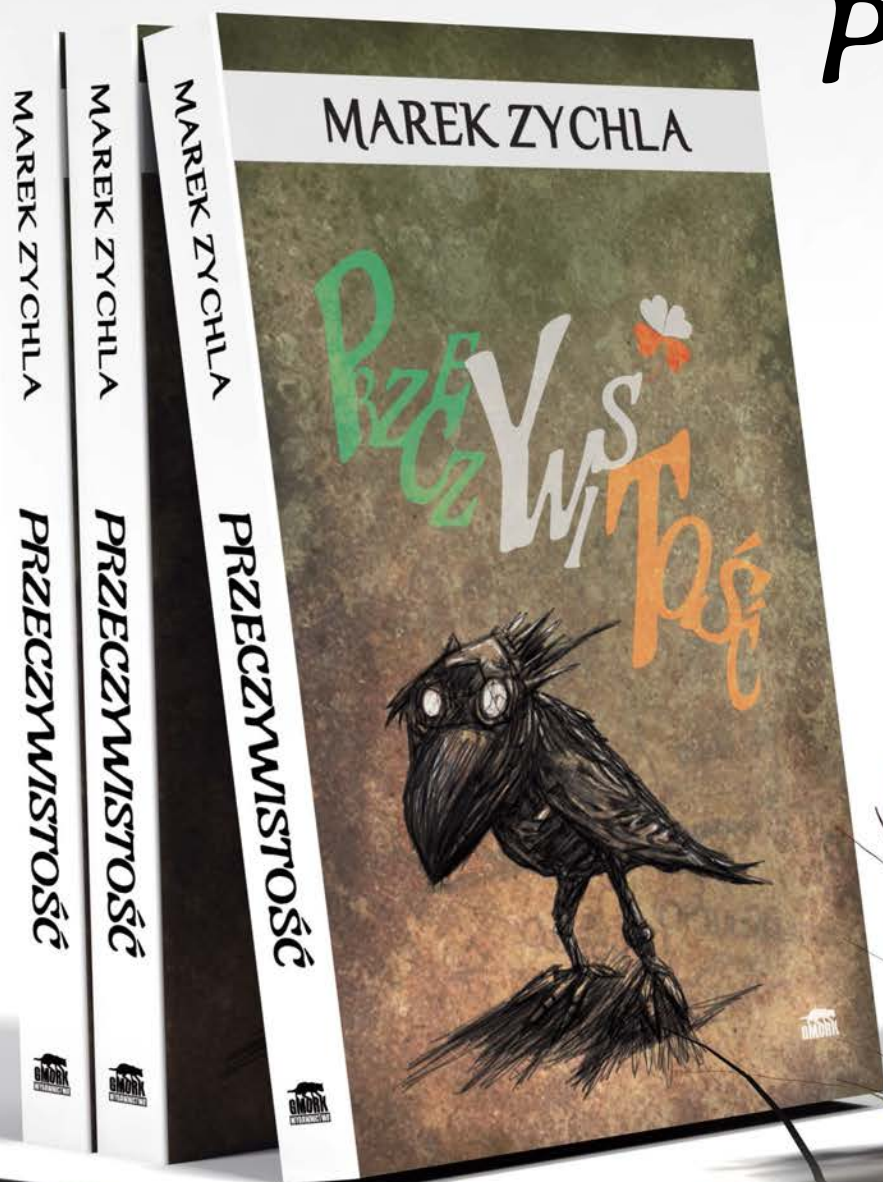


www.kostnica.com.pl

RECENZJE
OPOWIADANIA
GALERIE
NOWOŚCI
KONKURSY
FILM
KSIĄŻKA
GRA
KOMIKS

30 LISTOPADA 2017

PREMIERA



 **GMORK** www.gmork.pl

 **OKIEM**
NA HORROR

DZIKA BANDA
MAGAZYN ILC CZARNEJ KULTURY

HISTERIA
Wpadnięcia w nie i ty

 **MOZAIKA**
LITERACKA

GROZOWNIA



PRZECZYWIŚTOŚĆ

(opowiadanie ze zbioru *Przeczywiśtość*)

Marek Zychła

I

Marek Rybaczek, 9 (133) lat

17:15

Finką rozpruwam Australię. Przygryzam przy tym język, bo o wywrotkę nietrudno. Kamień na kamieniu, szkło, kapsle, jakieś odpryski betonu, kawałki cegieł, całość przemieszana z ziemią. Pieprzone antypody, pieprzone podwórko. Ola spogląda na sunące ostrze w nadziei, że nie utrzynam równowagi i nie dociągnę linii. Pewnie liczy na to, że następnym razem pogramy w coś dziewczęcego. Dociągam, po czym zdeptuję wcześniejszą granicę. Kolejny rzut celowo chybiam, by przedłużyć nasze tête-à-tête – z miłości, z lęku przed samotnością i grą w gumę.

Turowski kuca przy trzepaku. Jego Amerykę rozpracowaliśmy w sojuszniczym ataku. Wsuwa kanapkę, kęsy popycha whisky z colą. Pije sporo mniej niż w pierwszej turze.

– Jaki słodki! – Ola wyrywa mnie z zamyślenia. Spogląda na wylaniającego się zza wiaty śmietnikowej kotka.

Maluch w zasadzie pełźnie; na oko dzieli go parę tygodni od narodzin. Nie myślę się, bo wreszcie pada na boczek, zamyka oczy i tak już w zasadzie zostaje. Węszy za matką, biedak.

– Przedrozi się i to na dniach – zauważa Turowski. Wypowiedź kończy beknięciem. Ma narracyjną słabość do oczywistości.

Z najbliższej klatki, tej dla personelu, wybiega woźny. W zasadzie po raz pierwszy widzę, żeby biegł. Wiązanki przekleństw zagłusza gęsty wąż, słowa przesiakają papierosowym dymem, kiep rozżarza się od przyspieszonego oddechu. Nie wiem dlaczego, ale myślę o ognioodpornym zaroście.

– Przepraszam – duka, po czym pakuje kociaka w czarny worek.

– Nic się nie stało – kłamie Ola. – Jeszcze żyje – dodaje tak z pięć razy ciszej, wolniej, z coraz bardziej charakteryzującym ją wstydem.

Strażnicy z dachów wyjątkowo uważnie się nam przyglądają.

Jarosław Turowski 8 (124) lat

17:06

Piję, bo przyzwyczajenie drugą naturą człowieka. Piję dla smaku, bo urznąć się nie da. Alkohol, w przeciwieństwie do nowego prawa, nie działa wstecz. Nawet nie sikniesz. Nie da się niczego olać.

Odrealnienie męczy mnie od wieczora do rana. Ostatnio bywa ciut znośniej. Dziecięcy mózg wykazuje mniejszą podatność na psychozy, łatwiej o momenty względnej normalności, mimo że wyobraźnia nabiera mocy niczym aseksualny romans między parką skowronków z nożem. Stary, pieprzony perwers i kobieta uwięziona w dziewczęcości. Miłość na wstecznym biegu jest... nienaturalna. Wykorzystywanie podwójnie nieletnich wymyka się wszelkim klasyfikacjom.

Przynajmniej trzepak stoi na swoim miejscu, choć czasoprzestrzeń się kurczy, planety powariowały, jakby ktoś przestawił bieguny wszechświata albo spuszczał nas w gigantycznym klozecie. Jednak podwórko, jak każde gównno, zawsze wypłynie.

Strzeliłbym samobójca, tylko stało się to mało popularne, odkąd żaden desperat nie wrócił z poprzedniego życia. Skremowani również wypadają z gry. Można nas wykopać z grobów.

I tyle. A skoro odrodziliśmy się raz, to liczymy na kolejne zmartwychwstania. Niech tylko czas się ogarnie, bo zdurnieć można.

Religijność paradoksalnie kwitnie. Chrześcijanie odliczają czas do odśmierci Chrystusa, bajdurząc o jego ponownym przyjsciu, czyli o kresie przydługiej jak na mój gust zabawy. Muzułmanie przemianowali się na Haszymitów, jeszcze bardziej radykalizowali poglądy. Są przeschęśliwi, że Mahomet wyprzedzi Jezusa o dobre sześć wieków. Indie wyludniło aż miło. Palenie zwłok swoje zrobiło.

A skowronki gapią się na tego kota. Wymaleli z ubrań, do końca już zdziecinnieli.

– Przedrodi się i to na dniach – wzdycham, bekam. Mam dość oczywistości.

I zazdroszczę kotu.

Chyba że trafi do pieca.

Aleksandra Andrus, 9 (23) lat

17:05

Wykopano mnie w dziewięćdziesiątym szóstym, nastoletnią, z samopoczuciem równie kiepskim jak przed śmiercią. Na remisję nie musiałam długo czekać. Optymizm powrócił, niestety, zmały piersi.

Turowski powtarza, że wszechświat pulsuje rytmicznie niczym ludzkie serca, raz kurczy się, po czym rozkurcza miliardy lat później, z każdej strony pełen logicznych potknięć. Staram się o tym nie myśleć. Tylko, jak zawsze z takimi staraniami, nie za bardzo wychodzi. Dziecinnieję, dzięki Bogu, to ciągnie mnie do zabawy. Ma radość mknie ku plus-nieskończoności.

Piszemy historię od drugiej strony. Kto wie, czy po przedrodzinach, po kolejnym zniknięciu, wektory czasu nie zatańczą raz jeszcze twista? Czy napiszemy przyszło-przeszłość, unikając błędów? Zapewne zła będzie więcej, bo i ono dostanie drugą szansę, zyska na doświadczeniu. Ziemia wyludni się o kolejne kilkadziesiąt procent, więc wreszcie postawimy na humanitaryzm. Dość! Powinam studiować filozofię dla ubogich. Wreszcie dojrzeć.

Wstyd się przyznać, ale podoba mi się tutaj. Nasz dom spokojnej młodości nie należy do najkosztowniejszych, za to postawiono na oryginalność, adaptując sporą część żarskiego blokowiska, na zewnątrz którego pobudowano osiedla domków, niekoniecznie jednorodzinnych. Możemy bawić się tak, jak to w latach osiemdziesiątych uskuteczniano, co ma nam pomóc w pogodzeniu się z nieuniknionym. Bez technologii, która rozwija się niezależnie od czasowych wariacji, łatwiej o refleksję, chociaż dla mnie to czysty biznes.

Sentymenty sprzedają się i sprzedawać będą, nawet jeśli zwrotnica czasu wyrobiłaby się od przestawiania.

Naślinione paluchy oblepiamy vibowitem, pierwszymi mleczakami chrupiemy kuku ruku, do obiadu złapiemy oranżadę w woreczkach – z wyjątkiem Turowskiego, któremu najlepiej dać alkohol, colę i spokój, byle nie święty. Jeść można, nie przytyjemy, co najwyżej przy trzeciej turze będzie trzeba zbastować z cukrem. Nic w tym świecie się nie urodzi. Przykre, prawda?

– Jaki słodki – wrywam wszystkich z zamyślenia...

Zawsze palnę coś głupiego.

II

Marek Rybaczek

16:22

Gabinet dyrektora ośrodka stał się przedłużeniem nieciekawej aparycji gospodarza. Nijakość miesza się z kurzem w przeróżnych proporcjach, zawsze z podobnym skutkiem. Od nieprzykręconego kaloryfera ciepło bije na całe piętro.

– Potrzeba porozmawiać? – pyta dyrektor, jak zwykle nieskładnie.

– Chodzi o kota? – Wolę przejść do konkretów. Tracenie czasu zostawiam starszym.

– Lęk przed przednarodzinami?

– Prędej przed zdziecinnieniem. Znów ciągnie mnie do wspinaczek na drzewa. Moglibyście otworzyć piwnicę? Zaspokoimy żądzę przygód. Co tam w ogóle trzymacie?

– Generatory. – Dyrektor sięga po coś do szuflady biurka. Okulary zsuwają się na czubek pękatego nosa. – Klucz do wózkarni. – Podaje mi najzwyczajszego yeti, po czym dorzuca jeszcze dwa podobne. – Od klatki oraz od piwnicznego wejścia. Klub założyć. Magnetofon, harcerska sieć, krzesła personel donieść. Dobrze?

Kiwam łepetyną z tuzin razy.

– Wejście czterdzieści trzy – rzuca numerem klatki. – Podesłać Jarka – nie prosi.

Jarosław Turowski

16:13

Cotygodniowe, psychoterapeutyczne pogaduchy z imbecylem. W sumie młodszy ode mnie, a taki ważny. Słowa skleja w sobie jedynie znany sposób, ponoć to po afazji, z której wycofa się dopiero za kilka lat.

– Wszyscyście stąd? – Jezu, jak ja nie znoszę tego jego pierdolino o oczywistościach.

– Z Żar, jeśli o to pan pyta setny raz. Ja z centrum, dziewczyna z Bieniowa, skowronek ćwierkał w tym bloku.

– Skowronek? Ćwierkał?

– Nieważne – wzdycham. – Proszę bez psychoanalizy i nie, nie dokucza mi samotność.

– Lęk przed przednarodzinami? – Często o to pyta. Największy lęk mam przed odpowiedzią twierdzącą.

– Przecież nie ma śmierci. – Dzisiaj stawiam na taką opcję. – Niekończące się powroty na Ziemię, aż wszyscy strzelą samobója. Ostatni, który pociągnie za spust, będzie błogosławionym wśród psychopatów.

– Ciekawe... – Aż na tyle go stać?

– A w co pan wierzy? – odbijam piłeczkę, chociaż niespecjalnie mnie to interesuje.

– Ogień oczyszcza. Wędrowka.

Kremacja. *Jednego pacana mniej* – myślę, kiwając głową.

– Podesłać Olę. – Mógłby choć raz poprosić.

Aleksandra Andrus

16:02

Pan Turowski, pan Rybaczek, a ja na zawsze pozostanę Olą. Każdego, który nie odbębnił w sumie minimum stu lat, traktują jak dziecko. Boże, otworzyłyby dziad okna, podzielił się stęchlizną ze światem.

– Rodzina martwić – zaczyna dyrektor. – Nieprzyzwoitość.

Ile tur musi minąć, by wszyscy się odpieprzyli?

– Reputacja... – ciągnie, ale przerywam mu, nawet jak na mój gust zbyt energicznie:

– Monitorujecie nas?! Bez technologii miało być.

Wygląda na zaskoczonego. W sumie taką ma twarz. Twarz naszych (wstecznych) czasów.

– Rodzina wymagać – duka. – A kot? – Nagle jakby go olśniło. Boże, chroń mnie przed terapeutami. – Lęk przed przednarodzinami?

– No, nie nażyłam się tyle, co pan.

– Nie martwić się. Powroty bez starości.

Jak on się wysławia... Ponoć po afazji.

– Prosiłabym o kremację – mówię, rozbawiona jego już nie tak kamienną miną.

– Ciekawe – zapisuje coś w notesie. – Mus poinformować rodzinę.

III

Marek Rybaczek

15:27

Ogrodzenie z czteropiętrowych bloków, po parce siedmio i dwuklatkowców. My, fizycznie dzieci, w środku. Na zewnątrz dorośli. W przejściach między blokami solidne, żelazne bramy, wyższe od jarzębiny. Podejść nie można, nie daj Boże podbiec. Powalą na ziemię, kolana przy tym obedną i bełzowo popłacze sobie brzdąc, wyliże z piasku niekrwawiące rany.

Ściskam trio kluczy, dłonie pocą mi się, jakby w dwóch życiach nie zaznały większego wysiłku.

– Czterdzieści trzy? – upewnia się Ola.

Przytakuję. Turowski wlecze się za nami, nieco mniej ponury niż zwykle. Nie pije, nie je, nie ironizuje. Raczy się depresją.

– To tutaj mają noworodkarnię? – zagaduje, kiedy otwieram drzwi.

– Tak, na wyższych piętrach. – Ola puszcza nas przodem.

– Mają wizyty? – dopytuje Jarek.

– Ponoć po nocach. – Dziewczyna nachyla się w jego stronę.

– Skąd wiesz? – Łapię się na zazdrości. Drażni mnie ich chwilowa zażyłość.

– Słabo sypiam – wzdycha cholernie smutno. Tak smutno, że oddałbym duszę, by cofnąć pytanie. – Ostatnio... zastanawiam się. Boże, dlaczego jesteśmy starsi od reszty? Wokół same smyki na pieluchach, a tacy jak my przecież wciąż na wolności. Dlaczego szybciej zaczęliśmy się przedrodzić? Kto tak zdecydował? Dlaczego oddano nas tak wcześnie pod kuratelę tego oszołoma? Jeszcze mówimy, jeszcze chodzimy... Nie rozumiem.

W milczeniu spoglądam na schody prowadzące do piwnicy, zapalam światło wodoodpornym pstryczkiem, co chociaż trochę łagodzi przymus udzielenia odpowiedzi na ten stos pytań. Odpowiedzi, których nie znam.

– Siedem stopni – szepcze Ola. – Szczęśliwie?

Pytania retoryczne wypadają przy poprzednich blade.

Jarosław Turowski

15:14

Idzie zima, czekaj mrozów (początek marca, a napięrze chłodem), poza zasięg centralnego ogrzewania nie wychodź! W lutym na stówę pieprnie śniegiem, to namnożymy bałwanów.

Piwnice nic się nie zmieniły, beton nie pokrył się zmarszczkami, w dalszym ciągu zalatują grobem. Pod sufitem ciągnie się arteria rur ze zmianami miażdżycowymi w postaci rdzy. Światło otaczają klosze wzmocnione stalowymi kratkami. Do wymiany żarówki potrzeba dwóch osób oraz zestawu śrubokrętów. Punkty bonusowe przyznawane są za latarkę. Przynajmniej pajęczyn brak. Pająki, niepowodowane głodem, maleją sobie po kątach. Wróciły, chociaż nikt ich nie zakopywał. Czyli z zabawy wyłącza jedynie ogień.

Możemy ganiać po korytarzu, ale pozamykano wejścia do klitek, zaś drzwi obito blachą, zza której słychać szum generatorów. Po co im własne źródło prądu? Czyżby ten z elektrowni też płynął wstecz? Może w ogóle? I na co to chodzi? Na naftę? Nie, wyczułbym.

Skowronki nawet się nie rozglądają. Mkną w chichotach do wózkarni. Drżącymi dłońmi mocują się z kłódką, sukces okraszają śmiechem. Przytulają się nawet, jak na mój gust, zbyt długo.

– Jest magnetofon i są kasety! – zachwyca się dziewczę. Jej przydupas w przeciwnym czasie rozwija harcerską siatkę.

Siadam na wysłużonej sofie. Wyłączam sceptycyzm, bo i po co psuć komuś chwilę szczęścia? Nie sądziłem, że przed dziesiątym rokiem życia będę jeszcze robił za przyzwoitkę.

Świece, zapalniczki, ogień. Młoda dba o klimat. Uroczą jest, trzeba przyznać, w tej cygańskiej sukience zapinanej na rząd guziczków.

Krzesła, poduszki, stół. Rybaczek nie pozostaje w tyle. No, może z wyjątkiem wdzięku.

Za to ja główkuję nad powodem, dla którego przyzwolono na ten cyrk. Kto pociąga za sznurki? Nie widzę kandydatów. Dyrektorowi brak inteligencji, pielęgniarce zaangażowania, woźnemu piątej klepki.

Ola puszcza muzykę. Wiedziałem, że na jazz nie ma co liczyć, ale żeby od razu Scorpions? Chociaż, w sumie to nawet zabawne, bo raczej nie kumają słów. Wiatr zmian, Moskwa, park Gorkiego i film z przyszłoprzeszłego roku o trzech ofiarach pozbawionych twarzy.

Oj, tracimy swoje z każdym wieczorem.

Aleksandra Andrus

15:01

Wiatr zmian! To znak, że wyrwiemy się z monotonii, by zaznać odrobinę radości! Przecież zawsze o szczęście chodzi!

Zgrabnie poustawiał krzesła. Dwa bliżej, pewnie nasze, jedno nieco z boku. Moc podświadomości? Zapalam świece na stoliku. Marek finką wydrapuje imiona na blacie.

Przygryza język, a i tak się pewnie draśnie. Dziecinniejemy, lecz przecież po to nas tu zamknęli.

– Krajewski – Turowski ma na myśli dyrektora – nie bez powodu dał klucze. – Zwleka się z sofy, by zasiąść na środkowym krześle. – Znow psychoterapeutyczny gównodeszcz zawisnie w powietrzu.

– Nie możesz pomilczeć? – Jego ciągle marudzenie działa mi na nerwy.

– Ja nawet rozumiem. – W odpowiedzi wzrusza ramionami, bo wie, że tego nie znoszę. – Młoda jesteś i nie zaznałaś dobrodziejstw płynących z porządnego ruchania... – nie dokończył. Marek skoczył na niego, szczęśliwie bez finki.

– Przestańcie! – proszę.

Tarzają się po betonie, co nie trwa długo. Turowski chwyta przeciwnika za krocze i ściska. Krzyk Marka miesza się z moim.

– Zło zwycięża! – rechocze Turowski, po czym milknie. Wpatruje się w okienko tuż za mną. – Błąd? – Zrzuca z siebie obolałego przeciwnika. Zrywa się, by zwątpić po kilku krokach. – Widzieliście, co jest na zewnątrz? Też macie pokoje od podwórka?

Nie odpowiadam. Pomagam przegranemu wstać. Stara się nie okazywać bólu. Duka o nierycerskim ciosie poniżej pasa.

– Gotowi na mocne wrażenia? – ciągnie Turowski.

Podchodzi do okienka, staje na palcach, jednak to nie wystarcza. Bierze się za przesuwanie stołu. Pomagamy mu, bo również mamy okna po nudnej stronie. Wspinamy się, spoglądamy przez szkło.

Paraliżuje nas strach.

– Woda – szepcze Turowski. – Wszędzie woda.

Marek mówi o nicości. Nie o czerni, nie o smole czy braku światła, ale o nicości, o niebycie. Odwraca wzrok, płacze. Ponoć nie da się na to patrzeć.

Powiedzieć im, że widzę krew?

Nie, znowu wyjdę na głupszą, niż ustawa przewiduje.

IV

Marek Rybaczek

14:22

Wezwanie do dyrektora. Za nami wchodzi dwie pielęgniarki przydzielone do starszaków.

– Bezpiecznie – zapewnia, wskazując na kobiety.

– Tam nic nie było – odzywam się bez pytania. – Jakby mi ktoś wyłączył wzrok!

– Było, było. Nie panikować.

– Koniec tych gier! – Turowski uderza piąstką w stół. Na nikim nie robi to większego wrażenia. Dziecku brakuje siły. – Dlaczego widziałem wodę? Ty też coś widziałaś, prawda? – zwraca się do Oli.

Dziewczyna kiwa głową, ale niepewnie, tak jakby ukośnie.

– Ekran to. Okna brak. Zamurowano. – Dyrektor ściąga okulary, po czym uśmiecha się wyjątkowo jowialnie. – Ekran rozgrzewać się, więc czarność. Woda jako tło. Dźwięk był?

Nie było, co faktycznie nas trochę dziwi.

– Patrzyliśmy w tym samym momencie – oponuję jednak.

– Kąty różne, obraz różny. Technologia. Pan wcześniej patrzeć. – Wskazuje na Turowskiego. – Widzieć wcześniej.

– Proszę zaprowadzić nas do pokoi od strony osiedla. – Słyszymy Olę. Mówi jak zwykle spokojnie, z dziewczęcym urokiem. – Zakończymy tę farsę. Wrócimy do umierania.

– Przednarodzin – odzywa się jedna z pielęgniarek (Lewa, jak zwykliśmy ją nazywać – jest nieznacznie chudsza od Prawej).

– Lęk przed przednarodzinami? – Dyrektorowi włączyła się stara płyta.

– Raczej przed manipulacjami. – Pierwszy raz mówię w imieniu trójki.

Pierwszy raz czuję się dorosły.

Jarosław Turowski

14:10

Wystarczyło ścisnąć jajeczka i zmądrzał. I młoda oddurniała.

– Zajrzyjmy do noworodkarni – proponuje Lewa.

– Zajrzyjmy do noworodkarni – z sekundowym poślizgiem wtóruje jej Prawa.

– Zajrzeć więc – przytakuje dyrektor.

Kobiety prowadzą nas do sąsiedniej klatki. Wpadają w słodko-pierdzące klimaty, może jeszcze chwycą kogoś za rączkę. Widzimy, że na drzwiach do piwnicy wisi dodatkowa kłódka. Kluczy nam nie odebrali, za to załatwili nas w dość wredny sposób.

– Bezpiecznie – zapewnia dyrektor, który pozostaje nieco w tyle. Jego zasób słów pasuje do noworodkarni.

Wchodzimy na salę na drugim piętrze. Zalatuje przedszkolem, duchotą doprawioną talkiem i moczem. Jak okiem sięgnąć ciągną się rzędy łóżeczek, wśród nich inkubatory (o oczach pożerających dłonie opiekunek), obdrapane kołyski, spacerówki z zaciekami, przewijaki i cisza. Wygląda na to, że połączono pomieszczenia w jedną, naszpikowaną

kolumnami całość. Wzdłuż ścian zalegają stopy pampersów. Sentymenty sentymentami, jednak nikomu nie chciałoby się użerać z tetra.

Dyrektor prowadzi nas w stronę okien; personel kłania się szefowi niemalże w pas, zaś siostry wycofały się. Wykrochmalona straż tylna.

– Patrzyć – zachęca mężczyzna.

Ważny taki, jakby samemu Bogu wylizał ze zmarszczek dłonie.

Aleksandra Andrus

13:48

Stoimy na pudłach pieluch, obserwujemy zaktualizowane Żary. Sklonowane domki ciągną się po horyzont. Nad miastem rozciąga się jasnoblękitne niebo; słabiotkie słońce po lewej, dość nisko wiszące, poranno-wieczorne ze słabością do pomarańczy.

– Kiedyś tu były bloki – odzywa się Marek. – Butiki, blaszaki, apteki, z czasem kredyty, komisje, kantory, dopalacze, kofiki. Nocny, o tam. – Wskazuje pod słońce, więc niespecjalnie chce nam się patrzeć. – No i śmietniki wspólne, jak u nas na podwórku. I ławki z żulerką... – ciągnie w tym stylu jeszcze ze dwie minuty.

– Patrzyć. Bać się nie trzeba. – Dyrektor poprawia okulary.

Szyba wygląda normalnie, nawet opukujemy. Samo okno również. Zwyczajne, drewniane, ze śrubami stworzonymi pod gigantyczne śrubokręty. Jak za starych, terażniejszych czasów z wersji 1.0. Parapet gruby, mocny, pomalowany na zielono. Chłodny, bo kaloryfery zdemontowano.

– Ogrzewacie podłogowo? – pytam, sama nie wiem czemu.

– Podłogowo i sufitowo, zależy jak na to spojrzeć. – Lewa bierze to za dobry żart, bo śmieją się całą dorosłą trójką.

– Mniej awaryjność – wyjaśnia zwierzchnik.

Spoglądam raz jeszcze w okno i dostrzegam coś, co wytrąca mnie z równowagi nie mniej od wcześniejszego widoku krwi.

– Boże! – Głos drży niczym dłoń, którą celuję w niebo. – Tam, nad domkiem z czerwonym... samochodem – wybieram słowo, które nie do końca pasuje do nowoczesnego pojazdu.

– Nic nie widzę – Marek zapewnia zdecydowanym głosem, chrząka przy tym wymownie. Pielęgniarki próbują go odciągnąć.

– Nic tam nie ma, chmura jakaś. – Turowski szczypie mnie delikatnie w ramię. – Nie siejmy psychozy, skowronki. Lepiej pobawmy się w klubie.

– Klub zamknąć. – Dyrektor wgapia się w szybę, ale nie dostrzega niczego nietypowego, w okularach czy bez. – Rankiem otworzyć, po całym dniu. Wymieniać ekran. Wiadomo. Czekać. Odejść.

Odchodzimy. Słyszę jeszcze:

– Daliśmy dupy? – dyrektor pyta pielęgniarki szeptem.

– Nawet jeśli... – odpowiada Lewa.

– Nawet jeśli... – odpowiada Prawa z klasycznym, sekundowym poślizgiem.

Dali? Sama nie wiem.

V

Marek Rybaczek

10:42

Zabijaliśmy przeciwczas partyjkami makao. Ani słowem nie nawiązywaliśmy do noworodkarni. Piguły nie odstępowały nas na krok, dopingowały, tasowały karty, podrzuciły dziecinne tematy rozmów. Opuściły dopiero, kiedy Ola, z pięknie zagranego szczęścia po wygraniu rozgrywki, uściśnęła je obie. Dzieci szybko zapominają, prawda?

Klub otwarto w niestandardowy sposób: poprzez ściągnięcie drzwi z zawiasów. Kamery zawisły w każdym z rogów, zamiast okna zamontowano czarno-białą Unitrę, pewnie wyprodukowaną na retro-nutę. Jedynka, Dwójka, Ziarno, Panorama. Oba kanały klasycznie zaśnieżone, jakby o antenę oparło się stadko strażników.

– Podśłuchują? – pyta Ola szeptem na granicy słyszalności, na co Turowski przytakuje nieporadnym drgnięciem.

Ściąga ze ściany harcerską siatkę, po czym przykrywa nią stół.

– Zapraszam – zwraca się do Oli, lecz i tak nurkujemy pod blat zgodną trójką. Szumimy szeptem.

– Ptaszek – wzdycha dziewczyna. Jesteśmy tak blisko siebie. – On nie leciał.

– To był ekran. – Turowski nachyla się nad nią, a mi ze złości aż piszczy w uszach. Kładzie jej dłoń na ramieniu, zatapiając szpilę w moim żołądku. Czyżbym nie miał serca? – Wyświetlali filmik, który zawiesił się na dłuższą chwilę.

– Co teraz? – wdieram się w rozmowę najgłupiej, jak można.

– Wyjdziemy, pogaworzymy o pierwszym życiu, czyli typowe pierdolino. Mam trochę pytań, a piguły na bank tu biegną. Później woda, jeśli o mnie chodzi. Dostrzeżliśmy znaki – dorzuca, prawdopodobnie mając na myśli wcześniejsze projekcje – więc całość tego o beton potłuc. To nie jest prawdziwe – poprzestaje na oczywistości.

Wyłazimy spod stołu o kilka dekad starsi, choć niespecjalnie mądrzejsi.

Jarosław Turowski

10:34

Przybiegają zdyszane. Hamują dopiero w przejściu, w niepokojącej, niemal perfekcyjnej synchronizacji. Myśliwskie suki w kitlach. Piękne, na swój upiorny sposób.

– To nie namiot. Uważajcie, żeby nie uderzyć się w głowę. – Lewa wypowiada pierwsze zdanie, Prawa drugie.

– Uważamy. – Ola uśmiecha się z wdziękiem, po czym uskutecznia pogadankę o harcerstwie, o przyjaźni, o Indianach i kowbojach nawet.

– Nie wchodźcie tam – wycofuje się Lewa. – Dyrektor się niepokoi – dorzuca Prawa. – Będziemy na podwórku, jakbyście nas potrzebowali – kończą nalot w stereo.

Ola spogląda na mnie, Marek na nią, z trudem hamuje zazdrość, ale to dobrze, zazdrość doda łajzie sił.

– Jak byłaś umarłaś? – zaczynam rozmowę o pierwszym życiu. W takich wypadkach przyjęto używać czasu zaprzeszczonego.

– Chorowałam byłam i umarłam. Białaczka. Ostra, szpikowa. W chemioterapii dorzucono kladrybinę jako terapię eksperymentalną, bardzo polską, co skończyło się szeregiem zakażeń. Dzięki niej remisję osiągało dziewięć osób na dziesięć. Niestety, wylosowałam byłam najkrótszą zapałkę.

– Który rok?

– Jedyneczka i trzy dziewiątki. Marzec.

– A ty? – zagaduję Marka.

– Dobiłem do końca. – Zaskoczył mnie! Musiał być cholernie stary. – W pięćdziesiątym szóstym pociemniało było każdemu przed oczami, byliśmy pomdleli, a później wrzucono wsteczny.

Aleksandra Andrus

10:06

– A co z tobą? – przełamuję ciszę.

– Ty pewnie widziałaś krew, wnioskuje, białaczkowcu, ty nicość. – Turowski skinął na Rybińskiego. – A u mnie woda.

– Utonąłeś?

– Nie pływa się po gorzale, skowronki. Poległem w dwa tysiące trzydziestym szóstym, niedługo po tym, jak Polak po raz drugi został papieżem.

– Co robimy? – Marek mnie obejmuje. Drgam, przez co cofa rękę.

– Najlepiej swoje – Jarek wzdycha, dzisiaj już chyba setny raz. Prosi o finkę, której przygląda się dłuższą chwilę. – Prawda jest brakiem kłamstwa – dorzuca.

Ostrze zatapia w moim brzuchu. Po rękojeść, którą przekreśla.

VI

Marek Rybaczek

10:00

Zostaję z Olą. Do końca! Zastąpię pielęgniarki, które stoją w wejściu i kiwają głowami. Drę się, błagam o pomoc. Ukochana kona.

Turowski wybiegł. Przeprosił i wybiegł. Krew krzepnie na betonie, barwi siatkę, która spłynęła ze stołu. Krew płynie, co trochę dziwi... Przy takiej dziurze nie ma cudów. Ze szklanki płyn też się przecież wylewa.

– Złapcie go! – krzyczę w stronę piguł, które kiwanie zastępują wzdrygnięciami ramion.

Oblęd – myślę.

Słyszymy trzask, huk, a na koniec szum wody.

Jarosław Turowski

09:59

Bolą plecy, kostka chyba zwichnięta. Ale było warto!

Przerdzewiała rura pękła. Wspiąłem się, położyłem na plecach i pchnąłem nogami sufit. Nie wiem, czy normalnie coś by to dało, lecz tu nie jest normalnie. Tu należy się kierować intuicją.

Woda za sekundę podtopi mi uszy, a im generatory. Pielęgniarki otwierają drzwi do wciąż rozszumianych klitek, niespecjalnie przejmując się nieskromnym wychowankiem Turowskim. Dyrektor woła do nich z podwórka. Zarządza... jarzębinową ewakuację? Źle słyszę?

Poleżę sobie na betonowej podłodze. Zimno scala się z bólem. Wyciągają wiertła, chociaż zaczynają od szpilek.

Aleksandra Andrus

9:51

Chlupot?

Marek próbuje przesunąć mnie w stronę schodów. Błagam, by przestał, by zabrał ból.

– Nie zostawię cię.

– Wróse – rżęzę. Woda dostaje mi się do uszu. Uspokaja.

– Wezwę pomoc. – Ledwo go słyszę.

Uśmiechem zachęcam do działania. Ucieka. I dobrze. Boże, wreszcie mam odrobinę przeciwczasu dla siebie.

Wyłowię mnie, wyciągną nóż, zakopią ciało, więc wrócę na trzecią turę. Raz jeszcze z chemioterapią, raz jeszcze z szansą dziewięć na dziesięć.

Tym razem musi się udać.

Matematycznie.

VII

Marek Rybaczek

9:49

Świszczy mi w skroniach, jakby do mózgu dostała się woda, jakby zapragnęła parować niczym z czajnika. Rozpocynam ucieczkę przed własnymi cieniami, które na długo pozostaną w piwnicy. Na dach nie pobiegnę. Schody do nieba atrakcyjne są tylko w horrorach. Czyli zostaje podwórko. Nieco większa pułapka, choć przynajmniej względnie sucha.

– Zostawić! – słyszę dyrektorskie krzyki. – Ewakuacja!

Pomóc ukochanej? Oto jest pytanie. Powinniśmy zginąć razem, po szekspirowsku, lecz jeśli się nie odrodzę? Przecież to samobójstwo. Lepiej uciec, poczekać na przedrodziny, by wyjaśnić sobie wszystko za trzecim, najszcześniejszym podejściem. Wspólnie dorośniemy, zaszachujemy białaczkę, narobimy dzieci. Przecież wyprodukują skuteczniejsze leki, gdy wyrwiemy się z przeciwczasu.

– Wybaczy. – Sumienie napycham kłamstwem.

Drzwi od klatki schodowej zatrząskują się za mną. Personelowi po raz kolejny odpieprzyło. Dyrektor wspiął się na jarzębinę wraz z tuzinem pielęgniarek. Tkwią tam zastygli, znieruchomieli. Maluchów nie widzę, pewnie przeszkadzałyby we wspinaczce. Zresztą i tak mkną po ostatniej prostej, z nieco przesuniętą przez Turowskiego linią mety. Zwariowali? Przecież woda do nich nie dojdzie. Powylewa się przez nieszczelności betonowego kotła – lufciki, szpary w drzwiach, dziury od kabli, piwniczne okna.

Mijam piaskownicę, której wnętrzości zamieniły się w błoto. Trzepak zaczyna rdzewieć, wiata śmietnikowa zalatuje algami. Przeskakuję przez coraz cięższe kałuże. Ziemia poci się ze strachu? Śnię?

Z bloku naprzeciwko wybiega woźny z papierosem pod wąsem, z ciałkiem kociaka w dłoniach. Macha padliną w lewo, bym poszedł za nim. Postępuje nerwowo, przestępuje z nogi na nogę. Wreszcie wpycha zwierzę do kieszeni waciaka.

– Idę – zachęcam sam siebie, głównie z braku innych opcji (bram nie sforsuję, nie skruszę ścian, nie polecę, chyba że na twarz).

Wchodzimy do dwuklatkowca. Przed nami schody, lecz woźny przyspiesza, jakby młodość spłynęła mu do nóg. Staram się nadążyć. Na czwartym piętrze z trudem łapię oddech, a to nie koniec wspinaczki, bo z paszczy wjazdu zwisa język drabiny. Woźny puszcza mnie przodem. Czuję dłoń na tyłku, oby w ramach asekuracji.

Papa lśni od wilgoci. Przy zewnętrznej krawędzi stoją strażnicy, zwrócenii plecami do nas w upiornym manekin challenge. Szeroko rozstawili nogi, chwycili się za dłonie, pospinali kajdankami, obciążyli więziennymi kulami na łańcuchach. Dostrzegam nawet ogromne, kowalskie gwoździe, wbite w stopy i upačkane zakrzepłą krwią! Ani drgną. Za nimi rozciąga się...

Czuję dłoń woźnego na ramieniu. Odwracam się, po czym przytulam do waciaka.

– Pustka – szepczę, bo ze strachu trudno poruszać ustami.

Mężczyzna przytakuje dla odmiany. Puszcza mnie i siada po turecku, przez co mamy oczy na tym samym poziomie. Wzdycha, wyciąga z kieszeni kotka (sztywnego, jakby zrobionego z obitego futrem drewna). Kładę dłoń na zwierzaku. Wyczuwam ciepło.

– Nie przedumarł jeszcze? – Z zaskoczenia nie myślę o nicości.

Staruszek dmucha mi dymem w twarz. Wciągam toksyny i nagle wiem, skąd bierze się nieruchomość personelu, nieelastyczność kotka. Generatory trafił szlag. Mniej lub bardziej metaforycznie napędzały ten cały burdel. Strażnicy, ci mocarni, pewni siebie mężczyźni z sąsiedztwa – dorośli, do cholery! – powinni ochraniać dzieci, zapobiec złu. Przy ich wyszkoleniu porażka nie wchodzi w grę. Bezsilność wykreślili ze słownika.

Spoglądam na mężczyznę, w dobrze mi znane oczy. Woźny uśmiecha się i odkleja wąsa, chociaż przysięgłbym, że jest prawdziwy, najprawdziwszy ze wszystkiego w tym wstecz-życiu. Pobrużdżona, wychudła twarz przypomina moją sprzed dekad.

Chciałbym ponownie spojrzeć w pustkę, lecz woźny przysuwa się bliżej i wolno kręci głową. Nicość jest blisko, bo tracę czucie. Przemielila strażników, wgryzła się w żelbeton, rozdarła papę, zajęła się podwórkiem, wodą, ciałami przyjaciół.

– Jesteś mną – pojmuję. – Dlatego nie zastygłeś.

Z dziecinną łatwością wymieniamy się uśmiechami. Starsze ja puszcza naszą młodszą twarz, po czym sięga po papierosa. Wpatruję się w rozżarzoną końcówkę. Zbliża się, poszerza, uspokaja jedynym światłem pośród pustki, która sięga po moje nogi, wspina się po plecach.

Serduszko gubi rytm.

Żar rozrasta się, podpala me rzęsy.

Wskakuję. Płonę w tunelu.

O kurczę, ogień.

(P)Rzeczywistość

– Profesorze Milgram! Profesorze Milgram, do cholery! Profesorze, to nie jest śmieszne. Służbowo przychodzę.

Naukowiec pojawił się tuż za krzykliwym wojskowym. Spośród bogatego zbioru ekscentryczności, to właśnie tą zdolnością pozornej teleportacji zasłynął na całą placówkę. Nagi, zgarbiony, niedomyty, ale rozbawiony do łez. Przynajmniej tym razem odpuścił sobie donośne „Bu!”.

– Mógłby pan spoważnieć, profesorze. Tak nie wypada, tak na golasa. Pacjenci wrócili, na introfonach o tym trąbią, a dyrektora projektu ani widu, ani słyhu. Nie było ich bite osiem godzin. USS „Eldrige” ma jednak zmieniony numer. – Mówił o okręcie wojskowym, który służył ich specyficznym celom badawczym od przeszło wieku. – Na prawej burcie zamiast pięćdziesiątki czwórki wyrysowano pięćdziesiątkę trójkę.

– Czyli klasycznie, tylko wstecz. Pewnie bez komplikacji. Nawet z numerami się zgadza.

– Jak to bez komplikacji? A kiedykolwiek obyło się bez komplikacji? – zdziwił się żołnierz, który chętniej poszedłby na jakiś front, zamiast przesiadywać z zastępem jajogłowych.

– Świat się nie rozpadł – rzucił Milgram. – Ergo bez komplikacji.

– Z trójki przeżył jeden – meldował gość, by nie palnąć komentarza z gatunku tych, których się później żałuje. – Dziewczynę rozerwało aż miło. Połowa po wewnętrznej, połowa po zewnętrznej stronie komina, środek wtopiony w metal, że o krwi nie wspomnę. Jakby ktoś słonia szlachtował. – Jednak wspomniał.

– Rozrzedzenie, również krwi. Normalna sprawa – skwitował rozmówca. – Który z dżentelmenów przetrwał? Na Turowskiego postawiłem stówkę. A pan?

– Profesorze, mieliśmy bez nazwisk, z ochroną danych osobowych – żołnierz skarcił Milgrama, po czym od razu przeprosił. – Obiekt z rakiem jelita grubego czwartego stopnia nie trafił na statek. Wylądował w oceanie. Nie zdążyliśmy pomóc. Sztorm i w ogóle.

– Czyli tym razem palacz miał najwięcej szczęścia. Jaką wersję mu przedstawiliście?

– Znaczy się, jaki wcisnęliśmy mu kit?

Profesor w takich momentach oddałby wiele, poszedłby nawet wykładać na uniwersytecie, byle nie pracować z tępymi osiłkami.

– Opcja z zamrażaniem, z eksperymentalną hipnozą czy z kuracją elektrowstrząsami? – doprecyzował.

– To intelektualista. – Prawidłowe wypowiedzenie tego słowa zajęło wojskowemu sporo czasu. Widać, że powtarzał za którymś z przełożonych. – Postawiliśmy na trudną opcję.

– Świetnie, zatem mrożenie wraz z terapią lęku przed śmiercią. Uwierzył?

– Proszę samemu przeczytać! – Żołnierz podał rozmówcy pamiętnik. Milgram otworzył od razu na ostatnich stronach, odszedł na dwa kroki.

Wprawionemu oku lektura nie zajęła dużo czasu:

Uciekłem, lecz nie mam się z czego cieszyć. Powraca pamięć z ostatnich tygodni przed hospitalizacją w Dolnośląskim Centrum Chorób Płuc, skąd wysłano mnie w daleką podróż za niemałe pieniądze. Czas jakby spowolnił. Tak ponoć bywa przed śmiercią. Ja chudnę, on puchnie. Niedługo się rozstaniemy. Z czterech wymiarów zostanie trójka.

Dom spokojnej młodości zalęgł się w mojej głowie na własną, pisemną prośbę. Igraszki mózgu zapoczątkowano hipnoterapią, która pozwoliła wyłuskać co istotniejsze traумы. Następnie skalibrowano pierwszorzędowną oraz asocjacyjną korę wzrokową... czy jakoś tak – nomenklaturę zżynam z ulotki szpitala wojskowego w Filadelfii (na okładce umieścili budynek The Philadelphia Naval Hospital – to wysokopienne monstrum w stylu art déco, co przytłacza pacjentów ogromem). Sam proces należy do niesamowicie interesujących. Wyświetlano na ekraniku tomografu litery: M, Ó, Z, G. Rezonansem magnetycznym prześledzono aktywność płata potylicznego. Magia nauki!

Kolejny krok stanowiło emitowanie siedmio-, dziesięcio- oraz dwudziestosekundowych filmików, które później odtwarzałem z pamięci, przy czym miała miejsce dalsza kalibracja. Po tygodniu lekarze ogłosili gotowość do odwrócenia procesu. Przystawili się na nadawanie – czekajcie, sięgam po ulotkę – poprzez pobudzenie warstwy ziarnistej. Wywołali obrazy, którym najbliższym było do marzeń sennych.

Na deser półroczna witrifikacja, czyli schłodzenie ciała do zaledwie dwóch stopni Celsjusza, oczywiście z krioprotektantami w żyłach oraz – w razie wu, bo zawsze coś może pójść nie tak – ablucje w ciekłym azocie, minus dwie seteczki na termometrze, zatrzymanie reakcji chemicznych organizmu, czyli posuwam cię sopłem w zrakowaciały zad, płaskonabłonkowcu!

Gasnę. Nowotwór pluje jadem, ja krwią.

Na dniach przeniosą mnie na umieralnię, uraczą THC, tramalem, ketonalem, kobaltem, z czasem morfiną, zaleją pytaniami niczym Turowski piwnicę. Piać będą nad umysłem, który z zaserwowanych obrazów oraz wspomnień posklejał namiastkę rzeczywistości, logiczne pęknięcia szpachlując latami fikcji. By się udało, najważniejsze jest ponoć chłodzenie, bo wtedy w pamięci powstaje gigantyczna wyrwa – znowu ulotka, podpisane: profesor Stanley Milgram (wklejone wraz z uspokajającym zdjęciem chudzielca w poszarzałym kitlu; ciekawe czego jest profesorem?).

Niestety, zamiast kipieć w tym doliczonym czasie szczęściem, zmarkotniałem. Młodniałem, unieszczęśliwiony perspektywą wieczności. Terapeutyczny parasen zaczął drzeć w posadach, aż wreszcie załamał generatory wodą. Wcisnąłem wyłącznik. Strzeliłem samobójczego hat-tricka. Tak mówią ci wojskowi medycy. Kipią optymizmem, jakbym mógł się nim ot tak zarazić. Dałem sobie tylko namącić w lepetynie. Przynajmniej zaprzyjaźniłem się ze śmiercią.

Ale mam plan! Solidny i prosty, bo tylko takie mi pozostały. Tuż przed tym, jak stanie mój biologiczny zegar, zapalę papierosa. Wkroczę w tunel prowadzący na kolejne podwórka lub zanurkuję w niebycie.

– Poetycko – pochwalił profesor Milgram. – I, wbrew pozorom, z optymizmem! Na przyszłość trzeba się trzymać wersji z witrifikacją, postanowione. Naukowy bełkot wymaga opanowania przez obiekt specjalistycznego słownictwa, do nauki właśnie, przez to nie ma mowy o zwątpieniu. A jak z polem? – dopytał, oddając pamiętnik.

– Że co? – zdziwił się żołnierz. – W dalszym ciągu niestateczne.

– Unitarne. – Milgram wyraźnie akcentował każdą głoskę. – Pan za to w dalszym ciągu nie rozumie, o co toczy się gra.

Rozmówca wbił wzrok w pamiętnikową okładkę. Pokręcił głową.

– Pracujemy nad rozrzedzeniem, nad transformacją materii, najprościej mówiąc. Pole unitarne doprowadza do zmian w strukturze cząsteczek. Pan też się z nich składa, to niech pan wyraźnie słucha. Proszę sobie wyobrazić, że jest pan w stanie kontrolować odległości między

tymi, z których jest pan zbudowany. Oddalać lub zbliżać je od siebie. Rozrzedzić się do tego stopnia, że aż stać się, w praktyce, niewidzialnym!

– Umrzeć? – Mężczyźnie ta wizja nie przypadła do gustu.

– Nie żartujmy sobie z poważnych badań! Mowa o niesamowitych koncepcjach! W odpowiednich warunkach, przy odpowiednio opanowanej procedurze, można by ukryć nawet całą planetę!

– To oni, te obiekty... – Dość długo szukał odpowiedniego słowa, bo nikt tutaj nie nazywał śmiertelnie chorych ludźmi i nie chodziło o ochronę danych. – Rozrzedzają się, a po ośmiu godzinach znów ścieśniają?

– Nie tylko! – Jeszcze mocniej podniecił się Milgram. – Ich psychika, panie drogi! Ich świadomość! Znika! Oni podróżują w czasie. Pełna kontrola tego procesu daje nam niewyobrażalne możliwości.

Żołnierz wpięty spoważniał, lecz po chwili parsknął śmiechem, przez co profesorowi oberwało się śliną. Milgram nie stracił jednak rezonu. Spokojnie wytarł twarz w rękaw munduru rozmówcy.

– Nie musi mi pan wierzyć. W nauce sceptycyzm jest nawet wskazany, poszanowania godny. Prowadzimy badania od tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, od wycieku jednego z obiektów, niejakiego Ala Bielka. Wtedy trzeba było przystopować, ale nie dziś. Naopowiadaliśmy dziennikarzom o kosmitach i tym podobne bzdury. Dali spokój. Od dekady działamy jednak na ogromną skalę. Jesteśmy o krok od odkrycia, przy którym wynalezienie koła, lokomotywy czy Internetu to niewiele znaczący drobiazg.

– Jeszcze czegoś panu nie powiedziałem, profesorze. Ten Rybaczek, ten od płuc...

– Tak? – Milgram udawał obojętność, ale z całych sił liczył na niesamowicie dobre wiadomości.

– On po napisaniu listu zniknął.

– Opanowanie. Kontrola rozrzedzenia – westchnął profesor i wreszcie, od długiego czasu, nie czuł się taki samotny.

Listopad 2016



rys. Zvirke

SZEPT

Damian Zdanowicz

(Gość Specjalny)

To w czasie, kiedy poniosłem całkowitą porażkę jako twórca, doszły mnie wieści o nowej artystce i wystawach jej „podwójnych dzieł”, które organizowano w miejscach obskurnych, oddalonych od znanych mi galerii sztuki. Z powodu emocjonalnej zapaści i próby całkowitej rejterady nawet z tych ochłapów towarzyskiego życia, które wciąż pozostawały moim udziałem (właściwie w tym czasie wystarczała mi samotność czterech ścian mojego pokoju), nie czułem chęci śledzenia sukcesu dziewczyny. Nie zmieniło się to i wtedy, gdy po pewnym czasie zaczęto opisywać jej dzieła już nie tylko jako „podwójne”, a jako „hermetyczne”, zupełnie jakby musiano uciec się do silniejszego epitetu w celu ściągnięcia mnie na jedno z tych przedstawień.

„Synteza rzeźby klasycznej i brukowej groteski, podkreślonej niekiedy zmianą surowca na pośledniejszy, oraz trzeciego czynnika, zupełnej nowości na tle wszystkiego, co dotychczas widzieliście. Innowacją, na ile jestem w stanie skonkretyzować swoje wrażenia, jest widoczna w dziełach Artystki niedościgniona wrażliwość na fluktuacje tej nieodgadnionej substancji – twórczej pneumy, boskiego tchnienia. Nie chodzi tu bynajmniej o kunszt wykonania, lecz funkcję pełnioną przez każde dzieło, począwszy od figur wolnostojących i reliefów, aż po lalki-idole z drewna i czerwonej gliny – wszystkie są punktami styku, przestrzenią alchemicznego złączenia obu światów, symmesowymi portalami, podwójnymi dziełami ujętymi w hermetyczną całość”.

Chociaż podobny bełkot dawał ledwie mgliste pojęcie o treści czy stylu twórczości rzeźbiarki, to dowodził, że do pewnego stopnia dzieliłem z nią zainteresowania. Fakt, że mimo tego nie stałem się wtedy widzem jej wystaw, niech świadczy o moim samopoczuciu. Nic nie mogło przebić się przez oleiste warstwy czarnych myśli, w których zapadałem się, pograżony w mroku małego pokoju, pograżony w beznadziei dotychczasowych porażek.

Nigdy nie poznałbym tej kobiety, gdyby jej zdjęcie nie wpadło przypadkiem w moje beczynne wówczas dłonie. Prędko, nie mając pod ręką nożyczek, które znalazłbym w piwnicy, gdzie miałem pracownię, a gdzie już nie schodziłem, przytłoczony ostatnią (ostateczną!) klęską własnej twórczości, wyrwałem fotografię z jednego z niszowych czasopism. W tamtym momencie nie posiadałem się z wdzięczności za to, że jego dystrybutorzy wciąż wysyłali swoje nieregularnie ukazujące się broszurki pod mój adres, chociaż dawno przestałem płacić za prenumeratę, a nawet, co chyba miało w tym wszystkim większe znaczenie, pojawiać się w artystycznych kręgach. Zdjęcie przełożyłem do ramki i powiesiłem na ścianie w miejsce pokrytego kurzem obrazka. Odsunąłem się o kilka kroków. Odetchnąłem głęboko i nieśmiało uniosłem wzrok.

Ta fotografia różniła się od zdjęć jej rzeźb, które zawsze podpisywano „bez nazwy”, czasem dodając słowo „grupowe”, i które nieodmiennie przedstawiały czarne figury na szarym tle, z konturami zgadywanymi przez nieporadne światło. Tym razem ciemności rozproszyła nagle iluminacja, wydobywająca trzy zupełnie puste, kamienne ściany, które natychmiast skojarzyłem z mniszą celą czy ustroniem pustelnika. W tej surowej, zapewne piwnicznej przestrzeni, stała kobieta. Jej uchwycona w trakcie obrotu twarz uległa drobnemu rozmyciu. Kobieta nie zerkała kątem oka w obiektyw, zupełnie jakby myślami znajdowała się zbyt daleko i nie mogła na czas udźwignąć ciężaru własnego spojrzenia. Zdawała się spoglądać na coś poza kadrem, a może nawet na coś poza otaczającymi ją ścianami, zupełnie nieskrępowana ich przytłaczającą bliskością. Nie było granic dla tego spojrzenia, przenikało

fotografię, a dalej, nawet ściany mojego pokoju. Jej czarny warkocz znikał w fałdach grubej odzieży o tym samym kolorze, zaś skóra odcinała się bielą na tle cienistej przestrzeni, przywodzącej na myśl porwaną, zniszczoną przez czas pajęczynę. Lekko rozchylone, wąskie usta odsłaniały zarys drobnych zębów. Odniosłem wrażenie, jakby w momencie, gdy fotograf nacisnął spust migawki, urwała wypowiedź w pół słowa.

Nawet w świetle tego, co już wiedziałem o artystce, miejsce i pora najbliższej wystawy okazały się dość nietypowe. Tym razem galerią jej dzieł stała się opuszczona rudera na skraju puszczy, kilka kilometrów za miastem, zaś otwarcie przewidziano na chwilę przed północą. Nie spodziewałem się tłumów, co w gruncie rzeczy mnie cieszyło. Akceptowałem niekorzystne okoliczności, dostrzegając w nich konsekwentną realizację określonego planu. Jak udało mi się dowiedzieć, moja artystka odsłaniała swoje rzeźby w stopniowo coraz to dziwniejszych miejscach, a więc walący się nieużytek, częściowo już pochłonięty przez okoliczną roślinność, a także późna pora wydarzenia, były zapewne jej artystycznie uzasadnionym zamysłem – konsekwentnie egzekwowanym krokiem na drodze sukcesu, albo raczej wywróconym na nice obrazie tej drogi – zdeformowanym odbiciu w krzywym zwierciadle.

Punkt zerowy jej kariery nie różnił się niczym od zwyczajowych początków, jakie znane są każdemu artyście tego rodzaju. Być może, jak wielu przed nią, najpierw udało się w monumentalne, jasno oświetlone przestrzenie prestiżowych galerii sztuki, gdzie czekały ją tylko drwiące uśmiechy i źle skrywany wstręt. Nie ma to większego znaczenia, bo ostatecznie, jak i cała reszta, trafiła w te dobrze mi znane miejsca, te śmietnikowe umiarkowanie, hospicja niespełnionych zamiarów, w które uciekaliśmy, gdy prawdziwe życie rozluźniało uchwyt i wypuszczało nas ze światła w ciepły mrok straconych wieczorów. Przemysłowe hale produkcyjne czy śmierdzące potem stare sale gimnastyczne zmieniały się wtedy, wypełniały się odpadami naszych umysłów, co noc ożywały podziemną strugą upokorzeń i absurdalnych uniesień. Dawaliśmy ponieść się tym wirom, nasze ciała napęczniałe złością i nadzieją, zmysły przytępione czym tylko się dało, lecz w największym stopniu wzajemnie tkanymi iluzjami.

Nie dziwi mnie zupełnie, że moja artystka „podwójności” prędko wypisała się z tych próżnych projektów i że poszukała alternatyw, innych szczebli na drabinie artystycznych osiągnięć. Jednakże w popularnym rozumieniu obrała złą drogę, bo zamiast piąć się w górę,

zaczęła schodzić w dół, na kolejne, dotąd nieznanne, poziomy obskurnego zdziwaczenia, gdzie towarzyszyło jej coraz mniej zwolenników, choć i tak więcej, niż można by się spodziewać.

Stojąc przed podwójnymi drzwiami dużego domu czy też stodoły, kilka kilometrów za miastem, i czekając na wystawę w milczącej grupie kilkudziesięciu osób, zastanawiałem się, czy wyboru miejsc dokonuje umyślnie. Być może to ciężar samej sztuki ściągał artystkę w dół drabiny, wbrew jej woli odciągał od jasnego centrum miasta na dzikie orbity podupadających pustostanów, dokąd kobieta została ostatecznie przywleczona poprzez zaplecza małych kawiarni, magazyny sklepów meblowych, podziemne parkingi szpitali, prywatne mieszkania, które spływały alkoholem (dym z opiumowych fajek unoszący się wokół posągów jak palone kapłańskie kadzidła), szkoły zamknięte nocą, a nawet cyrkowe namioty wypełnione przypadkową widownią (matki zasłaniające oczy swoich dzieci). Zastanawiałem się, na którym szczeblu jej zdegenerowanej kariery znajduje się drewniano-ceglany budynek, rozsadzany od wewnątrz eksplozją roślinności, i co jest po nim, jaki jeszcze rynsztok czeka na swój czas.

Kiedy wrota wreszcie otworzyła nam jakaś anonimowa postać, doskonale zlewająca się z cieniowym wnętrzem rudery, naszym oczom ukazała się pozornie pusta przestrzeń, rozjaśniana jedynie skupiskami kandelabrowych świec. Staliśmy w zbitej grupie, nie śmiejąc oddalić się od progu. Postać, która nas tu wpuściła, zniknęła. Po jakimś czasie dostrzegłem, że w dalszej części pomieszczenia zapala kolejne świece.

Nasze oczy szybko przyzwyczyły się do kontrastowego oświetlenia i z tego skłębienia mroku między świecznikami zaczęły wyławiać płynne niemal kształty. Czy ta postrzegana przez nas płynność była cechą samych kryjących się w mroku obiektów, czy może iluzją naszych wygłodniałych poruszenia zmysłów? Bardziej istotny niż odpowiedź na to pytanie wydawał mi się sam ruch tych zgęstniałych skupisk materii. Wyglądało to tak, jakby blade, wyłaniające się z ciemności dłonie zrywały z siebie cieniste błony, jakby starały przebić się ku światłu księżyca, które wlało się wraz z gapiami do opuszczonego budynku. W tym oddalonym od cywilizacji miejscu jestem oto świadkiem narodzin, pomyślałem, patrząc na okropne mocowanie się z drżącym uchwytem, jakim cień pętał dziesiątki marmurowobladych form.

Jeśli wcześniej nie mieliśmy śmiałości, by postąpić choć krok w głąb rudery, najwyraźniej przeczuwając okropieństwa kryjące przed naszym wzrokiem, to teraz kilku mniej odważnych amatorów sztuki zaczęło cofać się za próg budynku. Sam doświadczałem nieprzyjemnych sensacji, bo chociaż w pomieszczeniu paliło się coraz więcej świec, to ruch figur nie wykazywał oznak wygaszenia. Nawet te, po ciałach których pełzały już tylko resztki

cienistych strzępów, zdawały chylić się w naszą stronę, niebezpiecznie przybliżając moment koszmarnego nieprawdopodobieństwa. Lekkie drgania płomieni świec wystarczały, byśmy na wykrzywionych w grymasie walki obliczach dostrzegli ożywienie, prawdziwą nienawiść do początku swojego istnienia w tym upadłym miejscu.

W powietrzu unosiły się szepty, i choć to my byliśmy źródłem większości z nich, to mógłbym przysiąc, że część docierała do nas z głębi pomieszczenia, przekradała się pod ścianami do miejsca, w którym staliśmy i w żadnym wypadku nie była tylko echem naszych rozmów. W oczach innych też widziałem tę konsternację, gdy jakiś zimny głos, którego słów nie mogliśmy zrozumieć, znajdował nagle swoją drogę między nasze ciała i wdzierał się w jakby rozdartą klinem przestrzeń. Ilekroć się pojawiał, czułem mrowienie na skórze, chłód obcości. Nie dziwiłem się więc, że nasza grupa szybko pomniejszała się do zaledwie kilku postaci. Sam nie mogłem znieść tego, że w tak emocjonalny sposób zaangażowałem się w scenę, iż sugestywność tego otwarcia wyrwała mnie z bezpiecznej pozycji obserwatora. Nie wycofałem się chyba tylko z jednego powodu: ucieczka w tej chwili byłaby rezygnacją z czegoś, co pozostawało moim udziałem jeszcze przed przekroczeniem progu budynku. Tej wyższości, która charakteryzowała mnie, a której przecież brakowało każdej rzeźbie, każdej materii nieożywionej. Wystarczyło tylko opanować strach, żeby to odzyskać. Zamknąłem oczy.

Szepty utonęły gdzieś w kryształowym dźwięku trójkąta. Nerwowa kotłowanina za moimi plecami wreszcie zamarła. Pod powieki zaczęło wdzierać się światło. Kiedy na powrót je uniosłem, wewnątrz było już oświetlone, ostatnie cienie pełzały pokonane pod ścianami, w zagłębieniach witraży czy pod rozlatującymi się ze starości ławkami. Zauważyłem charakterystyczne punkty, które pozwoliły mi zidentyfikować nieużytek jako dawny kościół: konfesjonał, w którym rozpleniło się bujne zielsko, wyschnięte kropielnice, surowy kamień ołtarza. Wokół tego ostatniego, na podwyższeniu, a także wszędzie gdzie spojrzałem: wśród ławek, ustawione pod ścianami, w głównej nawie – stały dziesiątki rzeźb. Były to groteskowe przedstawienia ludzi, imitacje, które w czasie swoich narodzin próbowały wyrwać ciemności ludzkie kształty. Jednak metamorfoza okazała się nieudana, powstałe symulakry przeczyły kanonicznej koncepcji piękna. Harmonię zaburzały nadmiarowe kończyny, ślepe zaułki przyśpieszonej, w czerni po omacku działającej ewolucji, demoniczne główki wyklute z klatek piersiowych, mięśni ud czy ramion. Dodatkowe organy zostały wywleczone na zewnątrz ciała i zwisały jak organiczne narośle, nadmiarowe oczy patrzyły pomiędzy palców, pachwin, zagłębień, nieme usta krzyczały spod kolan, z tyłu głów. Z jednego ciała wystrzeliwały fraktalowo dwa następne, dając podstawę kolejnym czterem humanoidalnym

maszkarom, upodabniając figurę do upadłego anioła o splugawionych skrzydłach. Niektóre formy tworzyły połączone w bolesnej przemianie konglomeraty. Całe syjamskie rodziny, wrosłe w jeden organizm o wielu głowach i niepotrzebnych kończynach. Indywidualna substancja rozpuszczona w molochu, którego jedynym możliwym zadaniem było zebranie pojedynczych głosów w jeden piekielny chór męczenników. Niektóre rzeźby, jakby w ostatniej chwili zdając sobie sprawę z błędu narodzin i chcące z tego powodu wrócić do mroku, nosiły na sobie czarne płaszcze z kapturami, usiłując skryć groteskowość kształtów pod odzieniem.

Było w tym coś więcej niż tylko turpizm, uderzało coś więcej, niż ledwie kunszt wykonania. Abstrahując od piękna rzeźb, efektywność stojącej za nimi koncepcji przedstawiała swoją własną jakość. Wątpię, czy rozumiem to lepiej, niż ludzie, którzy podobnie jak ja znaleźli się wtedy w starym kościele, a teraz, gdy podążałem za kryształowym dźwiękiem trójkąta, padli na kolana lub legli krzyżem na pękniętych posadzkach kościelnej nawy. A przecież nawet oni nie potrafiliby, albo nie śmieliby znaleźć odpowiednich słów, bowiem ich reakcja brała się z niepojętego uniesienia. Wcześniej nie spotkałem się z opisami dobrze wyrażającymi doświadczenie poprzednich wystaw i z pewnością relacja żadnego z widzów tej wystawy nie będzie w stanie oddać pierwiastka niesamowitości, który kazał ludziom zwinąć się w małe, dygoczące kłębki.

Kierowany dźwiękiem trójkąta, dotarłem do stóp ołtarza. Klucząc między rzeźbami, z których większość kryła deformacje ciał pod odzieżą, stanąłem nagle przed smukłą sylwetką, po której płaszcz spływał naturalnie, nie zdradzając żadnych fizycznych zaburzeń. Postać w jednej bladej dłoni trzymała trójkąt, w drugiej pałeczkę. Trójkąt drgał delikatnie, wciąż wibrując dźwiękiem. Kierowany impulsem, chwyciłem go. W zapadłej ciszy artystka uniosła głowę. Spojrzała na mnie, a jej twarz zastygła w uśmiechu.

Grecy pokrywali swoje rzeźby kolorami, przez co, jak myślę, nie przeszkadzała mi intensywna barwa ulicznego neonu, która sączyła się przez okno mojego mieszkania i kładła na profilu artystki, przykrywając naturalną skromność marmurowej bieli warstwą czerwieni. Wydało mi się to akceptowalne na początku znajomości. Nie wątpiłem, że to nieco chorobliwe i duszne natężenie barw z czasem spłynie, tak jak spłynęło z rzeźb starożytnych Greków. Pozostanie tylko nagi marmur, doskonała, żywa forma, której pięknu niepotrzebna jest zmysłowość kolorów. Moje szczęście, gdy tak patrzyłem na nieruchomą postać zajmującą

skraj łóżka, mąciła tylko jedna myśl. Myślałem o tym, że prędzej czy później będę musiał przyznać się do własnej tożsamości, do swojej nieudolności jako twórca. Być może dojdzie nawet do tego, że będę zmuszony pokazać jej swoje ostateczne fiasko, z powodu mojego sentymentu tylko na wpół zniszczone i przez to tchnące całą skalą mojej porażki. Jednak sama obecność artystki wystarczała, żebym zapomniał o tym, co znajdowało się za drzwiami w piwnicy.

Wyciągnęła do mnie rękę, znowu uśmiechając się w ten sam sposób, co w kościele. Nie śpieszyłem się, a ona dostrzegła moją niechęć. Musiałem wytłumaczyć, że zachowanie pewnej odległości sprzyja podziwianiu dzieła sztuki. Z bliska pewne rzeczy się rozmywają. Chciała, żebym ją ogrzał, więc w półmroku pokoju dałem odnaleźć się jej dłoniom. Były lodowate. Pochylała się nade mną i szeptała, że się mylę, że nie mam o niczym pojęcia. Poprosiłem, żeby mi pokazała, ale ona powtarzała tylko jeden rozkaz: „Zawsze podziwiał mnie w ten sposób, właśnie w taki sposób”. Kołysała się nade mną, rozbłyskując czerwienią, jej czarny warkocz spływał między piersi. Cała drżała, zupełnie inaczej niż to sobie wyobrażałem, zupełnie nie tak. Wkrótce zacząłem dostrzegać krople potu występujące z jej ciała jak subtelne przejawy oszustwa. Przeniósłem wzrok na zdjęcie w ramce na ścianie. Wśród pojękiwań kobiety i skrzypienia łóżka, patrzyłem na te nieruchome, lekko rozchylone usta i dochodził mnie ich najdalszy, najlżejszy szmer, tchnący obietnicą tajemnic z całkiem innych miejsc.

Z początku myślałem, że w piwnicy będzie zbyt mało światła, by mogła urządzić tam swoją pracownię. Posługiwałem się tym argumentem, żeby trzymać ją z daleka od tego miejsca, ale była nieugięta – nieoczekiwana przeze mnie cecha charakteru, kolejna z szeregu codziennych niespodzianek. Wreszcie musiałem ustąpić, chyba że chciałem ryzykować utratę mojej artystki. W chwilach różnicy zdań czytałem z wyrazu jej twarzy, że są inne miejsca, do których może się udać, inni ludzie, którzy przyjmą ją tak, jak zrobiłem to ja. W ostateczności mogła nawet wrócić do tego mężczyzny, który zostawił na jej ciele siniaki (byłem wściekły, gdy to odkryłem, choć sam nie wiem: na niego, czy na nią).

A więc uległem, jak w tylu innych kwestiach. Nie domyślała się nawet skali wszystkich moich ustępstw! Wpuściłem ją do głównej przestrzeni mojej piwnicy, specjalnie powiększonej przez wyburzenie ściany dzielącej dwa pomieszczenia. W skład podziemnego królestwa, z którego abdykowałem na rzecz młodej rzeźbiarki, wchodziło jeszcze jedno

miejsce, oddzielone od głównej pracowni niskimi drzwiami. Klucz do niego zawsze nosiłem przy sobie, jak prawo do ostatniego bastionu, ostatniej tajemnicy, jak sekretne miejsce ze snu. O drzwiach nie rozmawialiśmy. Nie postawiłem żadnego zakazu, żeby nie rozbudzać jej ciekawości. Pewnie nawet nie wiedziała, że pomieszczenie należy do mnie.

Jej obecność powinna być spełnieniem moich marzeń, jedynym warunkiem szczęścia, jak myślałem przed tamtą nocą, gdy się poznaliśmy. A jednak nasza relacja zaczynała nabierać znanego mi charakteru typowej błazenady. Osobowość mojej towarzyszkii okazała się mniej „posągowa” niż powinna, w istocie pod wierzchnią warstwą, która tak mnie zachwycała – tą oderwaną od przyziemności fasadą, artystyczną maską – skrywała całe kopalnie głupstw, truchło przeżarte robactwem pospolitych absurdów. Jej głowa okazała się siedliskiem pasożytów, które znałem już ze spotkań z innymi kobietami. Zanim się obejrzałem, wciągnęła mnie w te wytarte role odgrywane do znudzenia od początków świata. Zmusiła mnie do tańca w rytm niesłyszanej przeze mnie muzyki. Postawiła przed zadaniem uczestniczenia w niekończących się zalotach, a konsekwencją niesprostania setce jej miałkich, codziennych zachcianek, oczekiwań i zawołanych próśb mogło być jej odejście. I chociaż zaczynałem nienawidzić tej cielesnej obecności krążącej po moim mieszkaniu, tych wyczekujących, sarnich oczu, ust z mlaskaniem przeżuwiających pożywienie, woniejących potem ubrań, to nie byłem gotowy na pożegnanie się z marzeniami, wciąż rozbudzonymi każdym spojrzeniem na lekko rozchylone usta kobiety na fotografii.

Nocami, kiedy wtajemniczała mnie w trywialne sekrety swojego ciała, które przecież nie były żadnymi sekretami, o wiele ciekawsze wydawały mi się słowa szeptane przez kobietę na fotografii, czy też słowa, które wydawało mi się, że słyszę, patrząc na kobietę na fotografii. Jej głos brzmiał inaczej niż ten należący do twórczego golema, tej cielesnej skorupy, której ciężar i posapywanie drażniły moje zmysły. Słowa były wypowiedane zbyt cicho, ginęły w innych dźwiękach. Ich strzępy zbierałem i łączyłem w całość przez dziesiątki nocy, po których zaczęło wydawać mi się, że wiem, co powinienem zrobić, czego chce ode mnie prawdziwa artystka albo jej prawdziwsza część.

Rano tego dnia jedliśmy spóźnione śniadanie. Oczy golema grzęzły gdzieś w szczelinowych pęknięciach chmur. Powiedziałem, słodząc jej kawę, czego nie robiła ze względu na obolałe dłonie, że zanoszą się na deszcz.

– Myślę o kolejnej wystawie – stwierdziła.

– Wybrałaś już miejsce? – zapytałem.

– Myślałam o twoim mieszkaniu. Jeśli pozbyć się gratów, w pracowni znajdzie się wystarczająco dużo miejsca.

– Nie na twoją wystawę – odpowiedziałem, mając w pamięci liczbę rzeźb w opuszczonym kościele.

– Tym razem planuję coś innego. Pojedynczą ekspozycję. Już prawie skończyłam.

Podniosła się i zostawiła mnie samego. Jeszcze długo po tym jak wyszła, śmiałem się pod nosem z jej naiwności, a raczej pomylnych planów jej chodzącego awatara. Te dziecinne zamiary, nieświadome dążenie do pokracznej sublimacji! Wiedziałem, że będzie to rzecz, o której ją dzisiaj poinformuję – powiem jej, samodzielnie kończąc dzieło, nad którym we trójkę pracowaliśmy przez ostatnie miesiące, powiem: „OTO jest prawdziwy cel twoich mrówczych zabiegów! Do tego dążyły twoje dłonie, skrzepowane golemowym intelektem! TO! Tego naprawdę zawsze szukałaś!”.

Siedziałem w pokoju przez następne godziny. Chmury za oknem czerniały, klucz kołysał się na rzemieniu, a w pokoju słyszałem drugi, lekki oddech. I wreszcie poczułem, że nadszedł czas zejść na dół i odegrać swoją rolę.

Była bardziej zaskoczona, niż myślałem, mając na uwadze jej artystyczną intuicję. Chociaż, będąc pozbawioną wskazań ducha, działała na wskroś cieleśnie, to jest niemalże po omacku, oczekiwałem przynajmniej szybkiego zrozumienia moich działań. Brak współpracy nie wpłynął jednak w żaden sposób na efekt końcowy. Może nawet wzmógł mój twórczy zapał.

Pracowałem dłużej, niż oczekiwałem, projekt rozrastał się w moich dłoniach w dość niekontrolowany sposób. Schodząc do piwnicy nie wiedziałem, czy ośmielę się użyć klucza, lecz po kilku godzinach, rozochocony osiąganymi rezultatami, postanowiłem otworzyć drzwi i połączyć oba projekty w jedną, może nie tyle wspólną, co harmonizującą całość. Kierowałem się instynktem, można powiedzieć, że nieco mnie poniosło. Dzieła chyba nie sposób już nazwać rzeźbą. Przypomina raczej... totem.

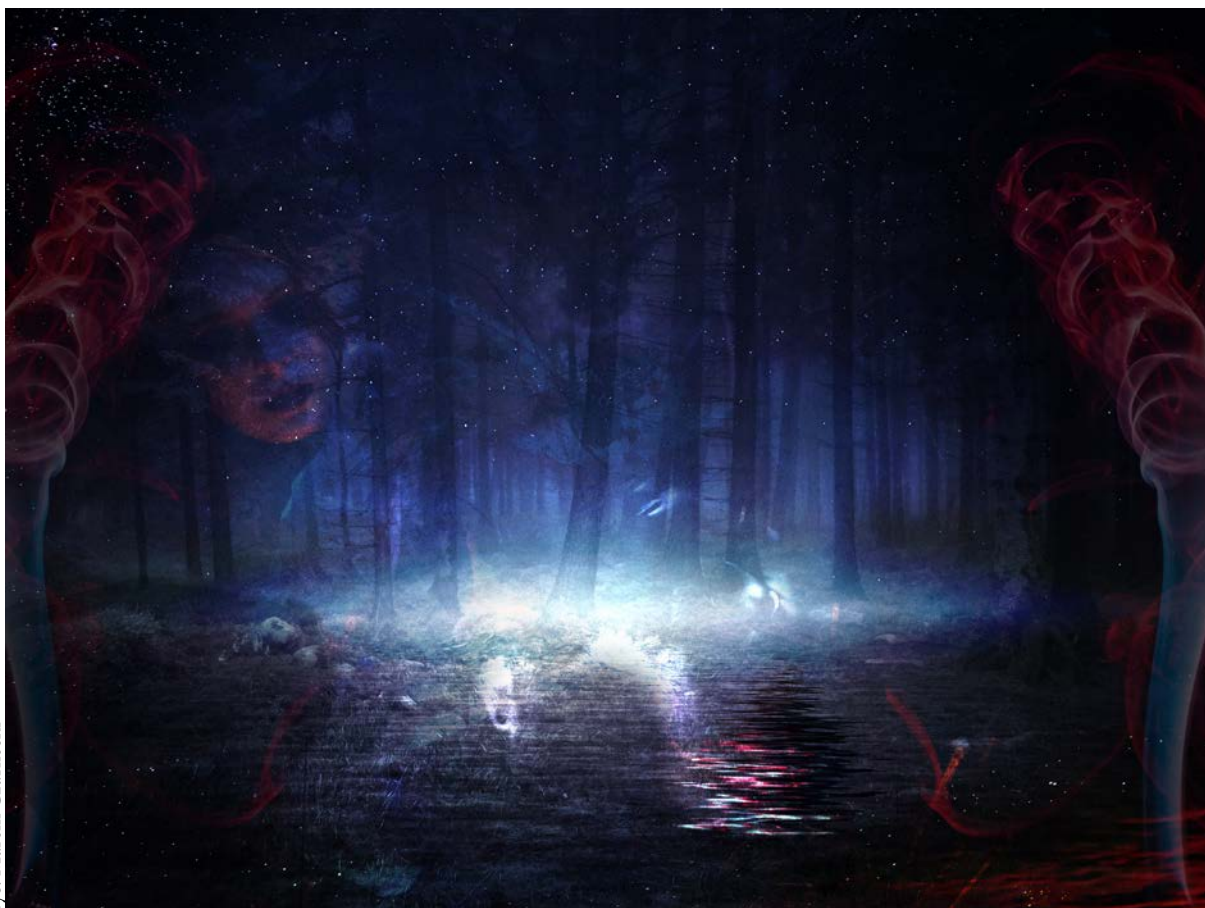
Kończąc pracę uznałem, że jestem winien mojemu golemowi upragnioną ekspozycję. Żeby widzowie mogli podziwiać naszą sztukę w pełnej okazałości, będę musiał pomyśleć na wyburzeniem sąsiednich ścian. Na chwilę obecną nie widzę innego sposobu. Już kiedy kończyłem pracę, mój twór zdawał się napierać na te miejsca w piwnicy, w których przebywałem. Zajmował coraz większe przestrzenie, ostatecznie niemalże wypychając mnie za drzwi. Oczywiście ta cecha mojej twórczości napawa mnie niebywałą dumą i cieszę się, widząc ją w nowym dziele. Co prawda pierwszy projekt, który okazał się fiaskiem, ten dotąd

trzymany pod kluczem, również wykazywał podobne odruchy, lecz były one bez porównania słabsze. Wtedy ledwie wyczuwało się atmosferę wrogości, nie było też mowy o niskim, niemal jedynie podskórnym odczuwanym dźwięku, przypominającym krzątanie w zasypiającym na zimę ulu.

Położyłem się w łóżku z uśmiechem na ustach, wspominając poszczególne etapy wykonanej pracy. Myślę, że golem ostatecznie dostrzeże piękno całkowitej sublimacji. A nawet jeśli nie, pozostaje jeszcze druga, właściwsza część mojej artystki. Ta, dla której podjąłem się twórczego wysiłku, moja muza, moja inspiracja. W całym ciele czuję przyjemne wyczerpanie. Każdy mięsień krzyczy o bólu.

Powinna być wdzięczna. Obie powinny. Dlaczego więc bębnienie deszczu o szyby i dach – te oklaski niewidzialnych obserwatorów moich działań nabrały odcienia ironii i ostatecznie poderwały mnie z łóżka, popchnęły do spisania tej relacji? Czy po kilku minutach nie powinno przestać padać? Dlaczego ten martwy świat wciąż pozostaje martwy? Aplauz trwa już zbyt długo, niemal wyczekuję, aż monotonię dźwięku przerwie czyjś śmiech, czyjeś parskanie. Czekam na wściekłość gromu. Lecz ostateczną drwiną jest monotonia tych oklasków, żadnego śmiechu, żadnego gromu. Czy można tak bardzo pomylić się w ocenie własnej pracy? W pokoju jest ciemno, księżyc dopiero wynurza się z nowiu. W tych nielicznych promieniach, które przedzierają się przez chmury i, wpadając do środka, kładą się na rozrzuconych po stole kartkach papieru, wydaje mi się, że kobieta na fotografii odwróciła się do mnie tyłem, to znowu, że skrywa twarz w dłoniach lub wytrzeszcza w przerażeniu oczy, patrząc prosto na mnie. Czy mogłem tak bardzo się pomylić?

Wstałem od stołu i, idąc przez pokój z drżącą dłonią wyciągniętą w nieprzyjazną ciemność, natrafiłem na włącznik światła. Oślepiająca biel znikła po chwili w znajome formy, do których przywiązał mnie ten świat, wycofała się w jeden punkt na ścianie, by tam ostatecznie zszarzeć w pusty już wycinek z gazety.



ŚWIĄTYNIA

(finałowe opowiadanie z konkursu *W mroku gwiazd*)

Maria Kowalska

Mam dwadzieścia pięć lat i życie połamane jak patyk – zmurszały i uschnięty, bezceremonialnie przełamany na pół błyskawicą losu. Oczyma pamięci widzę siebie siedzącego w tym wielkim domu, tym razem pustym, głuchym i zupełnie mi obcym, jak gdyby wraz z jej rychłą śmiercią całe życie, barwy i odgłosy starego domostwa odeszły w zapomnienie. Przepelnione niegdyś miłością mury stały się teraz zaledwie pustą skorupą chowającą echo dawnych dni, już minionych i majaczących jeno bolesnymi obrazami w mej zrozpaczonej głowie. Siedzę i zatapiam spojrzenie w mroku nocy, która wypełnia każdy pokój

i każdy kąt, ogarnia każdą najmniejszą rzecz kojarzącą mi się z nią – jej nocne koszule splewające bielą jedwabiu z blaszanych wieszaków, jej lustro w rzeźbionej ramie i wysadzana kamieniami szkatułkę pełną fantazyjnej biżuterii, której już nigdy nie będzie dane przyozdobić jasną skórę mojej ukochanej. Cisza jest nie do zniesienia, wwierca się swoimi niemymi krzykami w czaszkę, pełnie przewodami słuchowymi i przypomina mi o mojej samotności.

Powoli podnoszę się z fotela, a odgłos odskakującej sprężyny przecina ciszę tak jak ostrze przesywa na wskroś wiotkie ciało ludzkie. Wywołuje w skroniach gwałtowne ukłucie silnego bólu i długo jeszcze pulsuje w mojej głowie przenikliwym dźwiękiem, tak bardzo realnym, że aż niepasującym do otaczającej mnie chwili. Podchodzę do okna i spoglądam na rozświetloną blaskiem gwiazd ścieżkę biegnącą między kwiatowymi rabatami i dalej, przemykającą przez kutą bramę, prześlizgującą się wśród wysokich traw i chowającą się w oddali między drzewami wiekowego lasu, który pnie się po wysokim wzgórzu. Jasna, łagodna linia ścieżyny jako jedyna zdaje się nie być mi w tej chwili wrogą. Jakaś niepojęta, senna powłoka otacza jej prosty dukt i zaprasza do siebie, zachęca do podążenia jej śladem – daleko, jak najdalej od tego domostwa. Czuję, iż chce, bym pognał za nią w ciemne bory osnute mgłą wieczorną i zatracił tam swoje żale. Półświadomie kreślę palcem po wilgotnej szybie, pozostawiając na niej rozedrgane ślady naśladujące bieg owej ścieżki. Przez krótką chwilę dostrzegam w oknie odbicie zmarnowanego człowieka. Pod oczyma widnieją sine półksiężyce, a czoło przecinają głębokie bruzdy, które nieprzychylnie dodają mu lat. Wyschnięta linia zaciśniętych ust odznacza się posiniąłą czerwienią na tle bladego lica. Szybko odwracam wzrok, gdyż widok owego cienia, który był niegdyś człowiekiem, jest dla mnie zbyt bolesny.

I znów czerń – przede mną, dookoła, we mnie samym. Wszechobecna i nieprzenikniona, wręcz namacalna. Przypomina ciemną smołę, która równomiernie, po brzegi wypełnia mój dom. Czuję nieskończenie głęboką bezradność i klęskę mojego jestestwa. Rozedrgana dusza pragnie wydostać się z ograniczającej ją, dalece nieidealnej cielesnej klatki. Gdyby tylko zdołała wyrwać się z mej piersi na zewnątrz, zapewne pognałaby natychmiast wzwyż, poszukując ukojenia i zatracenia wśród bezmiaru niebiańskiego granatu.

Coś niepokojącego gnieździ się w środku i nie daje mi spokoju, uczucie, którego nie doświadczyłem nigdy przedtem. Niemoc, zupełne wyczerpanie i niezgłębione otchłanie beznadziejności budują we mnie nowego człowieka, mieszają się i wyciągają niepoznane dotąd pokłady emocji i myśli. Z jednej strony czuję nieposkromiony strach, z drugiej jednak

odczuwam swego rodzaju podniecenie, które przenika mnie do szpiku i pulsuje w każdej z drżących kończyn. Podniecenie pchające mnie na zewnątrz, do tej ścieżki, którą przecież chadzałem już po wielokroć. Tym razem czuję jednak, że powiodłaby mnie gdzieś o wiele dalej, poza znajome mi obszary rzeczywistości.

Potrząsam obolałą głową i zrzucam te myśli na dalszy plan. Ponownie zaczynam snuć się po pustych przestrzeniach domu niczym jeden z wielu obecnych tutaj cieni. Wchodząc do salonu, mijam kominek przyozdobiony zestawem delfickiej ceramiki – obecnie ponurej i zmatowiałej. W palenisku zalega jeno szary popiół pozostały po ostatnim walcu radosnych płomieni. Kiedy to było? Zdaje się, jakby wieki temu... Radość opuściła mnie na dobre, mam wrażenie, iż nawet bezpowrotnie. To bolesne uczucie niemocy nie pozwala mi myśleć inaczej. Trzyma mnie w bezdennym przekonaniu o nieuchronności mojego losu, życia jako nieszczęśnik pogrążony w wiecznej żałobie. Nie widzę najmniejszej nadziei na poprawę moich nastrojów ni sensu dalszej walki. Mój zapał, jak to zmurszałe drewno w kominku, zapłonął w mgnieniu oka, lecz równie szybko zgasł, zamienił się w sypki popiół i już nic więcej nie da się z niego stworzyć. Jak mawiają: z prochu powstałeś i w proch się obrócisz – czasem nawet szybciej niż myślisz.

Mój wzrok powoli przyzwyczaja się do ciemności, ale niestety nie umysł, ten nie przyzwyczai się chyba nigdy. Ciemność już zawsze będzie dlań symbolem samotności, przeciwieństwem tego ciepłego światła, którym emanowała moja Sofia. Zaczynam dostrzegać coraz więcej przedmiotów, choć nawet pozbawiony wzroku mógłbym bez wahania bezbłędnie wskazać ich właściwe miejsca. Co jednak ciekawe, widzę przed sobą coś jeszcze – wijącą się jasną linię znikającą daleko, w końcu salonu. Gdy tylko mrugnę, pojawia się wyraźnie, zaś po otworzeniu oczu nakłada się na wszystko dokoła, jak gdybym oglądał kliszę fotograficzną wystawioną na podwójną ekspozycję. Im mocniej mrugam, tym wyraźniej widzę nałożony obraz. Prawie natychmiast poznaję ścieżkę, w którą wcześniej wpatrywałem się z taką intensywnością. Czyżby powidoki...? Najprawdopodobniej, chociaż nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że jest w nich coś niepojętego i tajemniczego, coś nie z tego świata.

Biorę głęboki wdech i szeroko otwieram frontowe drzwi. Uderza mnie mroźne, wilgotne powietrze, które natychmiast porywa całe ciepło z holu. Moje ciało pokrywa się gęsią skórką, jednakże nie czuję przejmującego zimna. Jedyne dyskomfort, jaki jestem w stanie teraz odczuwać, to ten psychiczny. Moje fizyczne ciało jakby odcięło się ode mnie

zupełnie. Patrzę przed siebie, na drogę, pozornie zwyczajną, a tak niezwykłą w blasku gwiazd. W rękę ściskam latarnię. Teraz, gdy stoję na progu, już wiem, że wyjście z tego domu będzie najlepszym możliwym rozwiązaniem.

Stawiam pierwszy krok, a za nim następny. Ścieżka sama niesie mnie wprzód i dyktuje kolejne ruchy. Mijam wraz z nią kwiatowe rabaty, przechodzę przez kutą bramę, podążam między wysokimi trawami, które kołyszą się i falują pod naporem jesiennego wiatru. Jak zahipnotyzowany idę przed siebie, nie oglądając się ni razu w tył. Moje gardło zaciska się coraz mocniej, dolna warga zaczyna drżeć, a do oczu napływają ciepłe łzy. Zaczynam rozumieć swoją nieodpartą chęć pójścia tą drogą. Boję się tego wszystkiego, co mnie teraz otacza i... uciekam. Po prostu. Strach przed tym, co zostało z dawnych chwil, jest zbyt przytłaczający i nie potrafię mu zaradzić.

Ciemne wzgórze pochłonięte przez gęsty las jest coraz bliżej. Tam też ścieżka przybiera ciemniejszą, brunatną barwę. Między potężnymi drzewami będę pozostawiony sam sobie w mroku i jedynie światło latarni będzie mi oświetlać dalszą drogę. Nigdy jeszcze nie zapuszczałem się w ów bór po zmroku i rychłe spotkanie z jego nocnym wcieleniem wywołuje we mnie niemały przestrah. To jednak nic w porównaniu ze strachem towarzyszącym mi w moim własnym domu.

Ścieżka wspina się łagodnie po nierównym zboczu. Wchodzę coraz wyżej i coraz głębiej pomiędzy okazałe pnie przypominające romańskie kolumny o masywnych, nieregularnych trzonach zwieńczonych bajkowym łukiem gałęzi. Te, niczym powykręcane starczą chorobą paluchy, gołe i odrażające, splecione w ciasny warkocz, tworzą sklepienie tej leśnej świątyni. Odcinają dostęp do świata zewnętrznego i budują hermetyczną przestrzeń wypełnioną sacrum nieskazitelnej przyrody.

Stąпам po dywanie suchych, oszronionych liści, których kolorowe barwy powoli odchodzą w zapomnienie. Co jakiś czas mijam spoczywające gdzieś truchła drzew powalonych pchnięciem nieubłaganego czasu, porastające burym mchem i grzybami o fantastycznych kształtach. Wszystko to trwa nieruchomo, jakby zastygłe w osobnej czasoprzestrzeni, która wytworzyła swój własny rytm tylko i wyłącznie w tym miejscu. Można by uwierzyć, iż nie jest to zwyczajny las, a rzeczywiście nasycona jakąś duchową energią świątynia. Czy też może raczej mauzoleum...

A to co takiego? Przede mną, na wysokości oczu, podrygują maleńkie światełka. Świetliki? Ognie świętego Elma? A może kolejne powidoki? Przybliżam się i skupiam wzrok. Ogień w mojej latarni drży niespokojnie, jakby bojąc się swoich świetlnych pobratymców. Wyciągam rękę w stronę tego przedziwnego zjawiska, gdy nagle, tuż za mną, rozlega się

potężny hałas. Coś jakby trzask łamiącego się wpół drzewa rażonego piorunem. Odwracam się do źródła dźwięku i zastygam w bezruchu, upodabniając się do nieruchomej flory, która mnie otacza. Nie widzę jednak nic, co mogło wywołać ów hałas. No właśnie. Nie widzę zupełnie nic. Droga, którą zostawiłem za sobą, jest teraz osnuta gęstą mgłą. Biały opar doszczętnie połknął całą okazałość starego lasu. Mam wrażenie, jakby wszystko, co dotychczas widziałem, zostało bezpowrotnie wymazane z rzeczywistości, przestało istnieć, ot tak. Pozostała jedynie biała pustka, która pożarła wszystko to, co kiedyś było mi bliską codziennością.

Wśród mgły rozlega się niski pomruk, wciąż też słyszę echo wcześniejszego trzasku. Mocniej ściskam rączkę latarni i wykonuję kilka ostrożnych kroków w tył. Mgła zdaje się podążać za mną, odcinając mi drogę powrotną, jak gdyby przewidziała moje wahania i starała się dopilnować, bym wypełnił podsuwane mi przez podświadomość rozwiązania. Odwracam się na pięcie i szybszym krokiem ruszam przez ciemniejący korytarz wyłożony martwymi liśćmi. Czuję wypieki na twarzy, choć z tyłu wciąż, co rusz, mroźny wiatr smaga mój odsłonięty kark. Mam wrażenie, iż to sama Śmierć nadchodzi we mgle i dyszy mi za plecami. Tylko czeka na odpowiedni moment, by unieść swą kosę i z satysfakcją zanurzyć ją w moim marnym ciele.

Znów przyspieszam kroku. Depczę drobne gałązki, które łamią się z nieprzyjemnym chrupnięciem pod podeszwami moich butów niczym kruche kości porzucone w masowej mogile. Ocieram się o szorstką korę drzew coraz ciaśniej otaczających ścieżkę. Gałęzie drapią mnie po twarzy i pozostawiają na niej płytkie rany, z których zaczyna sączyć się krew. Nie zwracam na to uwagi.

Ściana drzew staje się coraz gęstsza i węższa. Zaczyna mnie przytłaczać, powoli tracę oddech. Spoglądam w górę – nade mną unosi się jedynie wysokie sklepienie oplecione skręconymi żebrami i gurtami. Spomiędzy nich wyzierają na mnie kolejne migoczące ogniki przypominające wpatrzone we mnie ślepie dzikich bestii, być może diabelskich kroksztynów czy maskaronów. Gałęzie coraz bardziej przypominają ludzkie palce zakończone ostrymi jak brzytwa paznokciami, które ranią coraz dotkliwiej. Z ziemi wystają grube korzenie, pojawiają się nagle i bez ostrzeżenia tuż przede mną, co rusz więc potykam się o nie i tracę równowagę.

Zaczynam biec. Objam się o otaczające mnie drzewa, potykam się już nawet o własne, niezgrabne nogi. Mgła goni mnie nieustannie, bez chwili wytchnienia, zawsze jest tuż za mną. Gdybym tylko wyciągnął w jej kierunku rękę, zapewne pożarłaby i ją, pozostawiając jedynie uschnięty w łokciu kikut. Słyszę dobiegające z niej tajemnicze głosy, szepty, pomruki, czasem wrzaski, a wyobraźnia podsuwa mi coraz barwniejsze i mroczniejsze

wizje, o których aż strach mówić.

Droga nadal pnie się w górę, coraz wyżej i wyżej. Moje stopy ślizgają się na liściach i zaczepiają o zachłanne korzenie wystające już dość wysoko ponad powierzchnię twardej ziemi. Moja latarnia zaczyna dogasać, a ja boję się na samą myśl o tym, co będzie, gdy wszystko pogrąży się w nieprzeniknionym mroku.

Pędzę przed siebie. Śmiesznie przerażony i tak śmiesznie mały wobec potęgi natury. Wspinam się na szczyt wzgórza i nie myślę o tym, co będzie dalej. Mam przed oczami obrazy, sytuacje z przeszłości. Widzę siebie, widzę moją Sofię. Widzę wszystko to, co było dobre, i to, co zamieniło się w koszmar. Widzę ją stojącą, zamyśloną i widzę nóż w swojej dłoni. Och, dlaczego wtedy trzymałem ten nóż? Dlaczego znów pojawiają się te wizje? Te męczące mnie, koszmarnie głosy i wpatrujące się we mnie oczy? Chcę już zapomnieć. Chcę uciec od tego wszystkiego. Chcę uciec od mroku tego domu, ciemności ogarniającej wszystkie jej rzeczy i otulającej jej wiotkie ciało spoczywające w ogrodzie, przy tej kojąco jasnej ścieżce, która prowadzi mnie teraz w górę ku mojemu przeznaczeniu.

Wybiegam na szczyt, gdzie drzewa przerzedzają się. Moim oczom ukazuje się rozgwieżdżone niebo. Pełen nadziei wybiegam mu naprzeciw. Dotarłem do jaśniejącego prezbiterium tej piekielnej świątyni. Pod stopami czuję pustkę i powiew kojącego powietrza. Pode mną, daleko w dole, migocze zimna toń wody. Zaczynam spadać, a za mną pełnie mgła. Zamykam oczy. Zaraz przestanę czuć i przestanę pamiętać, złożony w ofierze na ołtarzu natury.

Miałem dwadzieścia pięć lat i życie połamane jak patyk. Teraz zostanie z niego już tylko marny pył.



SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

W VIDEOGRAF POLECA

Po lekturze *Teatru lalek* pacjenci zaczną omijać gabinety terapeutyczne szerokim łukiem. Niezwykle oryginalny pomysł. Autor trzyma czytelnika w niepewności do samego końca. Polecam.

Piotr Rozmus, autor thrillerów



Dowiedz się więcej

Kup online



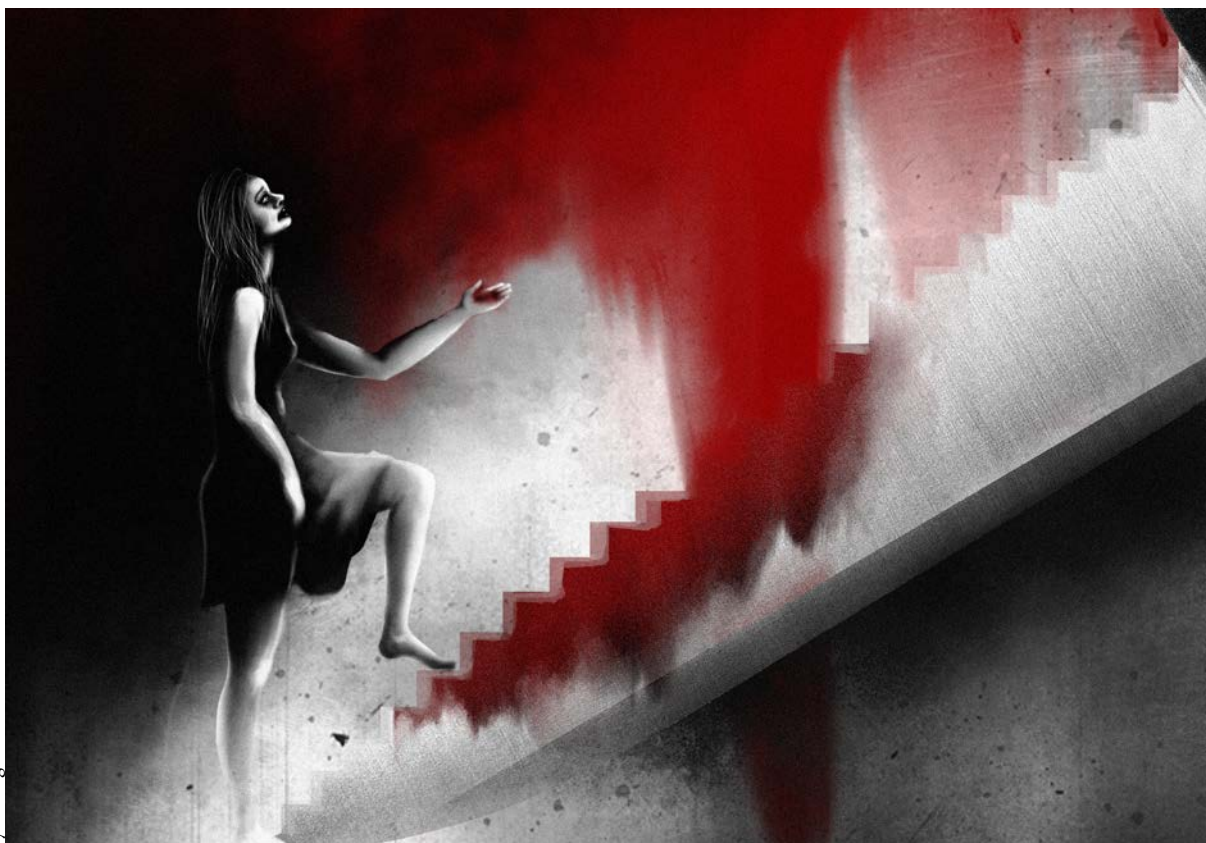
Strona
autorska



Darmowy fragment
w formacie epub



W twojej skórze mi do twarzy...



TRATWA W KAŁUŻY KRWI

Adam Loraj

Pchnęła metalowe drzwi i znalazła się w wąskiej klatce schodowej, gdzie powietrze wypełnione było smrodem uryny. Domyśliła się, że znowu któryś z sąsiadów, zapewne pan Jan Nowicki spod czwórki, zapomniał zamknąć wejścia na zatrask i dzięki temu kolejny menel miał okazję przespać się w ich bloku, korzystając przy tym z wygody wypróżnienia się przy zejściu do piwnicy. Nie miała jednak sił denerwować się tym. W innych okolicznościach doprowadziłoby ją to do furii, poszłaby do sąsiada i opieprzyła go tak, by wszyscy sąsiedzi słyszeli. Nie zrobiła jednak tego. Przystąpiła niepewnie w stronę windy i widząc zawieszoną na niej białą karteczkę, weszła na pierwszy stopień schodów. Była pewna, że jest na niej

zamieszczona informacja o awarii windy i przeprosiny z gwarancją szybkiej naprawy. Jak w filmie, przemknęło jej przez głowę z rezygnacją. Czekala ją długa wędrówka na szóste piętro. Na półpiętrze zdjęła czarne, eleganckie buty na szpilkach. Po nogach przeszedł przyjemny dreszcz, który rozluźnił napięte mięśnie łydek. Od schodów bił chłód, lecz nie przeszkadzało to jej. Wręcz przeciwnie. Igiełki mrozu, wbijające się w spód jej stóp, zagłuszały liczne fale gorąca mające swój początek w głowie dziewczyny. Przebyła czwarte piętro i sięgnęła do torebki, rozpięła zamek błyskawiczny i przegrzebując się przez paczkę chusteczek, telefon i podręczną kosmetyczkę, zahaczyła palcami o pęk kluczy do mieszkania. Wchodząc na następne półpiętro, wyciągnęła je i upuściła niezdarnie. Zakłęła pod nosem. Metal zagrzechotał i upadł, posyłając echo po całej klatce schodowej. Ciągnąc wiązanekę wulgaryzmów, niechętnie acz energicznie przykucnęła, w czym przeszkadzała jej czarna sukienka, którą nosiła. Pozostała w tej pozie.

Z następnego stopnia skapywały krople szkarłatnej krwi.

Kap.

Kap.

Kap.

Kolejne krople nagromadzały się, tworząc niewielkich rozmiarów kałużę, w której znalazły się klucze. Podniosła wzrok. Strumyk krwi spływał z piętra wyżej, lecz widziała wyraźnie, że to nie tam znajduje się źródło posoki. Wyprostowała się z wolna i opierając o balustradę, wznowiła swój pochód, bacznie przyglądając się mieniającej się w bladożółtym świetle lamp krwi. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Na piątym piętrze schyliła się, robiąc krok, i przejechała palcem po spływającym strumyku. Ciesz była ciepła i lepka. Czubek palca przyłożyła do ust i posmakowała. To była krew, skrzywiła się, czując metaliczno-gorzki posmak na powierzchni języka. Po pokonaniu kolejnego półpiętra dostrzegła, że wstęga krwi wypływa spod drzwi od jej mieszkania. Zatrzymała się i wpatrywała, jak przez niewielką szparę we framudze wydostaje się szkarłatna cieś. Nie miała sił, by zastanawiać się, jak to możliwe. Dzisiejszy dzień był wystarczająco przytłaczający, by miała się przejąć jeszcze czymś tak błahym. Przekręciła klucz w zamku i pchnęła odrzwia. Przekroczyła próg.

Mrugnęła, wpadając w ciemność.

Leżała w łóżku przykryta kołdrą pod samą brodę, z dreszczami i palącą jej ciało gorączką. Mrużyła oczy, gdyż promienie letniego słońca wpadające przez okna oślepiały ją i drażniły wyostrzony wzrok. Najlepiej byłoby dla niej, jakby słońce przestało całkowicie

świecić. Zgasło. Najchętniej znalazłaby się w objęciach nocy. Nie, pomyślała, w jego objęciach.

Kap.

Kap.

Kap.

Krew wciąż sączyła się z jej serca.

Płat skóry, będący jeszcze niedawno jej piersią, wychodził spod pierzyny i zwijał się na podłodze. Oddychała płytko, czując w powietrzu smród palącej się siarki. Zerknęła na bok. Szklanka z wodą znajdowała się na stoliku w aneksie kuchennym. Zbyt daleko, by do niej dosięgła, a nogi zdawały się nie należeć już do niej. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz z zaschniętego gardła wydobył się piskliwy jęk niemający nic wspólnego z jakimkolwiek słowem. Machnęła dłonią w stronę kuchni. Z tapet na ścianach zaczęły wyrastać postacie, które dopiero po wydostaniu się z objęć materiału nabrały szczegółów. Każda z istot miała te same rysy twarzy, sylwetki i strój; niebieskie, luźne jeansy i czarne polo. Pod brązowymi, lśniącymi oczyma majaczyły zmarszczki zmęczenia, a pod nosem i ustami kępy czarnego zarostu. Każda z postaci uśmiechała się kącikami ust, wpatrując się tępo w leżącą na łóżku Dagmarę. Młody chłopak w stu kopiach zajmował całą przestrzeń niewielkiego mieszkania. Jeden wyszedł wprost na łóżko i teraz stał, górując nad dziewczyną. Jak jedno ciało wszyscy odwrócili głowy w stronę szklanki wody. Postać najbliższej niej sięgnęła po nią i podała następną kopii. Ta kolejnej, aż szklanka nie zawisła tuż nad Dagmarą. Dziewczyna uniosła się na łokciach, czując jak praca serca przyśpiesza, a sam organ napiera na żebra, tworzące swoistą klatkę. Strużka zimnej wody spłynęła jej do gardła. Oblizwała wysuszone usta i spojrzała z wyrzutem na stojącego nad nią chłopaka.

– Dlaczego mi to zrobiłeś? – spytała szeptem. Sto kopii zaczęło wchodzić w ściany i znikać. Tylko ta jedna postać, oryginał, miała nadzieję, wciąż stała tuż obok niej. Wreszcie pozostali tylko we dwoje.

Miała nadzieję, że teraz chłopak odważy się na odpowiedź. Miast tego pochylił się i ucałował rozpalone czoło dziewczyny i przecesał przetłuszczone włosy opadające na poduszkę. Biło od niego chłodem i delikatną nutką spalonego drewna. Wyprostował się, przeszedł do kuchni i z szafki nad zlewem wyciągnął woskową świeczkę. Postawił ją na stoliku. Jego ruchy wydawały się płynne, jakby przechodziły przez gęstą mgłę. Z pudełeczka przy kuchence pochwycił pudełko zapalek. Wyciągnął jedną, pociągnął po boku pudełka i podpalił knot. W mieszkaniu w jednej chwili uniósł się zapach topionego wosku. Dagmara lubiła ten aromat, wręcz uwielbiała. Kojarzył się on z długimi wieczorami przechodzącymi

w nocie, kiedy to bez żadnych zmartwień rozmawiała i całowała się z Adrianem. Jednak te chwile już nie wrócą, przypomniała sobie, patrząc na swojego ukochanego, który spoglądał na wąty język ognia wzrokiem człowieka zahipnotyzowanego. Rozchylił usta, wyszeptał coś bezgłośnie i nieoczekiwanie wyciągnął dłoń, zawieszając ją tuż nad wątłym płomykiem.

– Nie! – wydusiła Dagmara, ale było już za późno. Opalona, prawie brązowa skóra Adriana przeszła w popielatą szarość. Płomień dosięgł czubka palca chłopaka i całe ciało zapłonęło, a następnie rozwiało się, zamieniając w pył. Szare drobinki uleciały przez okno wraz z podmuchem, jakby to mieszkanie robiło głęboki wydech.

Dziewczyna pokręciła głową, patrząc wciąż na miejsce, gdzie jeszcze przed paroma sekundami stał Adrian. Wyłącznie pojedyncze drobinki pyłu zdradzały jego wcześniejszą obecność.

Zaczęła słyszeć szum morza dobierający zza ścian. Co jakiś czas do regularnych uderzeń fal dołączał nagły huk, który mroził krew w żyłach. W mroku, w którym skąpał się pokoi, czuła się obserwowana, serce zabiło jej mocniej. Zorientowała się, że nawet powietrze zmieniło swój aromat. Ze stęchłego stało się świeże, unoszące zapach soli morskiej. To tylko sen, pomyślała z wątpliwościami.

Obudziła się cała zlaną potem. Wstała natychmiast. Czarna sukienka leżąca na podłodze mogła być jednocześnie cieniem dziewczyny. Dagmara przeszła do łazienki, wzięła szybki prysznic, ubrała się i wyszła z dusznych oparów mieszkania. Pomimo panującego porannego chłodu nie odczuwała zimna. Wspomnienia ze snu rozpałały ciało i koncentrowały myśli na jednym obrazie, który musiała zobaczyć, by się przekonać, że wszystko to było wyłącznie senną marą. Wsiadła do srebrnego citroena i włączyła się do ruchu. Po zaledwie dziesięciu minutach jazdy zaparkowała przy zielonej budce na parkingu przylegającym do cmentarza. Nieliczni, przeważnie starsze osoby, patrzyli na nią z nutą oburzenia. Szła żwawo, nie oglądała się wokół siebie. Jej buty stukotały o asfaltowe płytki. Skręciła w lewo w alejkę i dotarłszy na jej koniec, przeszła pomiędzy dwa groby. Za nimi znajdował się kopiec kwiatów, wieńców i różnokolorowych błyszczących zniczy. A to wszystko pod rozłożystą koroną dębu. Podniosła wzrok na złote napisy wygrawerowane na marmurowej płycie. Udekorowane litery *Ś.P.* i imię jej ukochanego, *Adrian*.

Szary grób wydawał się zaprzeczać temu wszystkiemu, co widziała, i potwierdzać śmierć chłopaka.

Nagle zakręciło się Dagmarze w głowie. Osunęła się i oparła o grób. Marmur pod naporem dziewczyny zaczął pękać i zgniatać się do wewnątrz, jakby działała na niego ogromna siła. Odepchnęła się, nie chcąc raz jeszcze zsyłać tego samego losu na Adriana. Czarne szczeliny przypominające układ krwionośny ciągnęły się przez całą płytę nagrobną i wydawały się łączyć w miejscu, gdzie została złożona urna z prochami. Roztrzęsiona, upadła na mokrą glebę i skurczyła się w sobie, przybierając pozycję embrionalną z podciągniętymi tuż pod brodę kolanami. Ziemia przyjęła ją. Pochłonęła i wciągnęła w swe czeluści, aż nie wypluła jej tuż przed szarym blokiem. Dagmara wstała, umorusana błotem. W ustach miała metaliczny, krwawy posmak. Weszła na szóste piętro i przekroczyła próg swojego mieszkania.

Wewnątrz wciąż szumiało.

Wspomnienie spaceru tuż nad brzegiem Morza Adriatyckiego uderzyło niespodziewanie. Oczami wyobraźni widziała rozlewającą się czerwoną kulę, która nadawała horyzontowi pomarańczowego i granatowego koloru. Pamiętała doskonale ciepło dłoni, jaka ją wtedy obejmowała. Dotyk sprawiał, że czuła się bezpieczna i kochana. To samo ciepło promieniowało ze ścian. Spojrzała na kremową tapetę w brązowe prążki. Pulsowała regularnie i wydawało się, że coś pod nią przepływa. Morze, pomyślała Dagmara i ruszyła zwawym krokiem w stronę łóżka. Chwyciła mebel i przesunęła go na sam środek pomieszczenia, podwijając tym samym dywan. Następnie wkroczyła do aneksu kuchennego i wywalila na podłogę szufladę ze sztućcami. Podniosła lśniący nóż i przeszła do niewielkiego pokoju dziennego, który spełniał również rolę sypialni i salonu. Sprawdziła, w jakiej odległości od ściany znajduje się łóżko. Zaledwie dwa kroki, czyli jeden sus. Stała pod ścianą i wskoczyła na sprężysty materac, upewniając się, że da radę dostatecznie szybko pokonać tę odległość. W prawej pięści dzierżyła nóż. Przytuliła się do ciepłej tapety i przeciągając wolną dłoń po chropowatej powierzchni, zamachnęła się drugą ręką i wbiła ząbkowate ostrze w ścianę. Usłyszała ciche mlaśnięcie, a powierzchnia wyraźnie zafalowała. Uśmiechnęła się, odsłaniając zadbane białe zęby.

– Zaczekaj na mnie – powiedziała zachrypniętym głosem i dźgnęła ścianę raz jeszcze. Później kolejny raz i tak do momentu, aż nie wycięła sporych rozmiarów kwadrat tapety. Odwinęła go i jej oczom ukazała się żywa, czerwona tkanka. Pod pierwszą warstwą mięśni ciągnęły się korytarze żył, przez które płynęła życiodajna krew.

Pracowała przez długie godziny. Ostrze wygięło się i nie nadawało się do dalszego użytku. Nie poddała się jednak. Łamiąc sobie paznokcie na twardej tkance, wreszcie dotarła do niebieskiej nitki. Serce łomotało jej w piersi, kiedy dotknęła rytmicznie pulsującej żyły

o barwie spokojnego nieba. Nie wahała się ani chwili. Chwyła ją i energicznym szarpnięciem przerwała. Krew zaczęła tryskać, zalewając całe mieszkanie. Zgodnie z planem wskoczyła na łóżko i trzymając się krawędzi zaczęła dryfować. Mebel uniósł się na tafli spienionej posoki. Oddychała szybko, skupiając się, by tylko nie puścić trzymanego łóżka. Przełknęła kulę wyrosłą w gardle.

Łóżko załamało się, połknięte przez morze krwi. Zanurkowała i dotarła do dna. Dusila się, nie mogąc zaczerpnąć powietrza. Wciąż jednak kurczowo trzymała się mebla. Czuła, jak łóżko łamie się wraz z nią. Kręgosłup pęka na dwie części, a czaszka zostaje powoli zgnieciona. Wypuściła resztkę parzącego powietrza. Jej świadomość gasła, kiedy poczuła na swoim czole chłodny powiew wiatru. Wahała się tylko parę sekund. Otworzyła oczy. Znajdowała się w nieograniczonym przez horyzont świetle składającym się wyłącznie z bezkresnej kałuży krwi. Cieszyć mieniła się milionem odcieni czerwieni; od czystego szkarłatu, przez brunatny, po malinowy. W dali migotała czarna, koścista konstrukcja. Wieża rozdierająca szkarłatno-czarny nieboskłon z niebieskim, pulsującym punktem u szczytu. Dagmara, wpatrując się w ten punkt, zanurzyła ręce po łokcie w ciepłej posoce i zaczęła wiosłować. Zauważyła przy tym, że sama nie posiada już skóry. Ta unosiła się na falach i oddalała z każdą sekundą. Dziewczyna składała się wyłącznie z mięśni i stawów, które napinały się przy każdym pchnięciu.

– Płynę do ciebie, ukochany. Płynę do ciebie, ukochany.

Powtarzała, chociaż ból był nie do zniesienia. Krew wydawała się żrącym kwasem, który topił pozostałą Dagmarze tkankę. Zdała sobie sprawę z tego, że traciła ciało. Dłonie zawisły jej na otwartych żyłach, z których spływała krew zasilająca morze.

– Płynę do ciebie, ukochany.

Pani Magdalena zakryła usta, tłumiąc jęk przerażenia i blokując dostęp nozdrzy do ostrego zapachu krwi, ropy i uryny. Patrzyła, jak jej mąż klęka przy córce i drżącymi dłońmi rozsuwa przyklejone do czoła włosy, by spojrzeć dziewczynie w nieobecne oczy. Mówił coś do niej, wrzeszczał na żonę, by ta zadzwoniła po karetkę. Płakał i prosił, by to nie działa się naprawdę. Dagmara jednak wciąż powtarzała tę jedną frazę niczym mantrę. Jej głos przeszedł w charczenie, ale pani Magdalena doskonale rozumiała słowa córki. *Płynę do ciebie, ukochany.* Jakby na potwierdzenie tych słów dziewczyna machnęła zwisającą poza łóżko chudą dłonią. W miejscu nadgarstka wystawały przerwane żyły, z których obficie sączyła się

krw, spływała po palcach Dagmary i udowadniając delikatną pochyłość podłogi, płynęła wąskim strumykiem ku drzwiom wyjściowym.

Nagle w umyśle matki, pod wpływem słów córki, pojawiła się irracjonalna myśl. Dopłynęła, pomyślała i spojrzała na drobne, zakrwawione ciało zaczynające drgać od konwulsji. Za oknami rozbrzmiała syrena karetki. Było już za późno.



U BRAM RAJSKIEGO OGRODU

(finałowe opowiadanie z konkursu *W mroku gwiazd*)

Marcin Grablewski

Mam dwadzieścia pięć lat i życie połamane jak patyk... Ostatnie chwile odmierza złoty pył w zakurzonej klepsydrze. I nie ma dla mnie jutra – bo jak straceniec wybrałem czarne groty Śmierci, własne serce darując jej na tacy... Nie ma też wczoraj – bo wszystko, co przed chwilą jeszcze było tak realne, jawi się teraz marą senną, majakiem szaleńca, który nawet własnego imienia z niezachwianą pewnością wypowiedzieć nie jest w stanie... A dziś

jest już tylko dźwiękiem kropli deszczu grających swoją monotonną melodię po dachach i murach mojego więzienia.

Im więcej rozmyślałam o tym, co zrobiłam i jak kręta ścieżka przywiodła mnie do zapleśniałej celi, w której spędzić mi przyjdzie ostatnie chwile na tym łez padole, tym bardziej i rozum i serce domagają się odpowiedzi. Gdzie był Bóg??? Gdzie podziewał się ów miłosierny Demiurg, który tak bardzo umiłował wszystkie swoje dzieci? Czemu na rozpaczliwe wołanie niespokojnego serca mego nie odpowiedział? Czemu pozwolił próżno żale wytrącać w słone łzy, które płynęły z oczu, jednakowo żłobiąc ścieżki w mej duszy? Czemu, gdy stąpałam w mrokach samotności jak zagubiona owca, nie było mi dane usłyszeć głosu mojego Pasterza? Ja w młodym wieku przecież, odbierając słuszne nauki wiary, rozpałam swe serce, by Mu służyć i ze szczerym zapalem uczestniczyłem we wszystkich misteriach, by owo Sacrum jak najpiękniej celebrować. Nie miałem jednak dość powołania, by włożyć szaty poświęcone i w pierwszym szeregu walczyć za Bożą Sprawę. A Bóg mój, jakkolwiek litościwy i kochający, musiał w chwili gniewu postawę moją ocenić jako postawę tchórza, który schowany w najciemniejszym kącie drży, by oko żadne na nim nie spoczęło. I dziś, leżąc wśród pleśni i robactwa, odliczając ostatnie chwile, widzę i zaczynam rozumieć, jak daleko od Pańskiego stołu zostałem przez to odtracony. I rozpaczam i śmieję się z losu mego, którego przewrotnych kolei nie sposób mi było przewidzieć ani nieuchronności jego przeciwdziałać. Jedynie swoje zapalczywe łaknienie wiedzy rad bym poskromił, gdyby dane mi było cofnąć się w czasie i przestrzeni. Wszak prostacka nieświadomość świata, o ile w mniemaniu moim urąga gatunkowi homo sapiens, jest źródłem błogości i spokoju. Nie zajmuje myśli, nie kotłuje duszy, nie zatrzuwa snów. Odcięcie się od metafizycznej strony bytu i skupienie na rzeczach przyziemnych jest codziennym pokarmem dla milionów. Ci zaś, którzy sycą się z innych źródeł i dbają o strawę dla umysłu na równi ze strawą dla ciała, mogą stać się kapłanami rajskiego ogrodu. Ogrodu, którego piękno cieszyć może wtajemniczonych i godnych jego podziwiania, a który ukryty jest przed zmęczonym wzrokiem profanów. I ja profanem owym byłem przez większość mojego krótkiego życia, mimo iż duch mój wicherzył się i miotał, łaknąc tych ukrytych tajemnic. Aż w końcu pojawiła się ONA...

Ciężko mi znaleźć słowa, by opisać, jak wielkie odcisnęła na mnie piętno swoim jestestwem. Pierwszym spojrzeniem rozkochała mnie w sobie i zawładnęła moją duszą tak łatwo, jak gdyby owijała na palcu kosmyk swoich złotych włosów. Jej lazururowe oczy jawiły mi się jako górskie jeziora, w które bez chwili namysłu chciałem się rzucić i tonąć jak wiedziony bezmyślnym szałem samobójca. Jej różane usta, mimo że początkowo milczące, kusily tajemnie, jak gdyby ktoś rozszalała moc żywiołu zaklął w drżącą skałę. Jej kształty,

niemalże zbyt idealne, przywodziły na myśl starożytne posągi Gracji, a kobiece atrybuty sprawiały, że krew w żyłach zamieniała się we wrzące strumienie lawy, które rozpałały bezlitośnie wszystkie członki mojego ciała. Każdej nocy, gdy padałem w objęcia Morfeusza, jej postać wypełniała każdą chwilę sennych fantazji. Za dnia zaś, mimo iż podświadomość trzymana była na postronku rozumu, co parę chwil skupienia moje myśli dryfowały w jej stronę. I byłbym pewnie oszalał niebawem, gdyby myśli moje i fantazje pozostały w sferze imaginacji i nie odnalazły drogi ni sposobności do urzeczywistnienia. Ale los przewrotny daje niekiedy możliwość zażycia chwili błogości ikarowego lotu, nim lotnik ów nieszczęsny zda sobie sprawę z nieuchronności śmiertelnego upadku. Tak też było i ze mną i dziś, patrząc z perspektywy czasu, widzę wyraźnie, że słońce, do którego tak bardzo chciałem się zbliżyć, bliższe było ciemności bezgwiazdnej nocy niż wielbiącemu Boga złotemu okręgowi. Wówczas jednak, oślepiony jego mrocznym światłem jak ćma wabiona płomieniem, zmierzałem coraz dalej i zatapiałem się coraz głębiej... Największy udział miała w tym ONA – Kapłanka, która odsłoniła przede mną istnienie rajskiego ogrodu. Poczułem się jak dziecię wiedzione przez swą niezaspokojoną ciekawość i odkrywające sekrety świata. Jednak wiedza, którą mi przekazywała, zdawała się z tego świata nie pochodzić, a radość ze skutecznego jej praktykowania było jak kielich ambrozji dla wygłodniałej duszy. Ciało też ucztowało... Kapłanka okazała się szczodra i każdej nocy fizycznie celebrowaliśmy misterium rajskich tajemnic... Była ona, czasem wraz z nią jeszcze dwie inne... Były jady i trucizny, pite, spożywane, sączone do ust i żył... Wprowadzały w oniryczny stan, w którym celebracje owe zdawały się nie mieć końca. Otępiony umysł ustępował wyostrzonym zmysłom, a rozdarte szaty człowieczeństwa odsłaniały nieposkromione dzikości i zwierzęce żądze. Wybuchwały one wtedy z ogromną mocą, jak gdyby miały być iskrą tworzącą całe galaktyki nowych światów. Miliardy brylantowych gwiazd wypełniały atrament nieba, a wszystko wirowało coraz szybciej i szybciej, aby skończyć swoje trwanie w implozji małej śmierci... Tak w owym czasie czułem i myślałem. Teraz, kiedy drzę z zimna, które z wilgocią zatechłej celi zdaje się wnikać pod skórę i szronem okrywać każdą komórkę mojego ciała, mam świadomość, że uniesienia, które wcześniej przeżywałem, nie były niczym więcej jak zwierzęcymi, plugawymi aktami godnymi brudnych nierządnic i ich pijanej, śmierdzącej klienteli. I pozostałyby dla nich zarezerwowane, gdyby nie hipnotyzująca moc, która mną owładnęła. Moc, którą Kapłance przekazywało samo źródło, główna tajemnica owego ogrodu, którego sekrety zacząłem odkrywać. A źródłem tym był ON...

Uczucie pustki przez długi czas wypełniało moją duszę i serce, kiedy to poczułem się odtrąconym bękartem rozgniewanego Boga. Nie wiedziałem, co czynić i w jaki sposób

wypełnić ową pustkę – byłem jak okręt bez steru i kompasu, bezwiednie dryfujący w nieznaną dal... Kiedy poznałem JA, roztoczyła przede mną wizję ogrodu, w którym bije źródło wiedzy i prawdy. Czulem narastające podniecenie, gdy krok po kroku zbliżałem się do niego, już nie jako profan, ale oświecony i wtajemniczony. Mimo tego rozum domagał się odpowiedzi – czym lub kim jest owo źródło. Zdradziła mi wtedy, że to starożytny Mędrzec. Nazwała go niosącym światło, albowiem od zarania dziejów wskazywał drogę błędzącym. Natchnieni jego duchem, powiadała, nie muszą czekać na światło słońca, by kontynuować swoje podróże, dusza ich bowiem świecić potrafi swoim własnym blaskiem, a kiedy trzeba – skryć się w ciemnościach. Niepokój targający mym duchem zdał się ustępować, a jego miejsce zaczęła wypełniać niecierpliwa tęsknota. Tęsknota za tym, by jak najprędzej stanąć oko w oko z mędrcelem i zostać namaszczoneym na kolejnego kapłana jego ogrodu. Im bliżej było mi do obiecanej chwili spotkania, tym bardziej myśli o niej zaczęły wypełniać zarówno świadomą, jak i podświadomą część mojego umysłu. Co noc zacząłem śnić ten sam sen. Widziałem samotną skałę na środku bezbrzeżnego oceanu. Targana sztormem woda była smoliście czarna, tak samo jak połacie nieboskłonu. Jedna jedyna gwiazda jaśniała na nim i chyba tylko za jej udziałem można było rozróżnić jakiegokolwiek kształty w czarnym aksamicie ciemności spowijającym wszystko dokoła. Na skale siedziała skrzydlata postać. Łańcuchy skubały jej nogi, więżąc ją w tej osobliwej turmie. Mimo szalejącego sztormu, którego huk przygniatał swoją mocą, dało się słyszeć jej złowieszczy krzyk. Nieziemski głos przecinał odgłosy żywiołu bez najmniejszego problemu. Jego złowieszczy, pełny żalu i cierpienia ton świdrował w uszach i zdawał się potężnieć z chwili na chwilę. Postać rozpostarła swoje czarne skrzydła i z rękoma wyciągniętymi w stronę owej gwiazdy próbowała poderwać się do lotu. Łańcuchy jednak nie pozwoliły jej wzlecieć i targnęły naprężonym ciałem. Krzyk eksplodował wściekle, ogłuszając aż do bólu. Sztorm ucichł nagle i wzburzone tonie uspokoiły się i wygładziły. Wiatr ustał i zapadła cisza. Całkowicie niezmacona dzwoniła teraz w uszach, wyraźnie kontrastując z wściekłym hukiem fal, który jeszcze przed chwilą wypełniał powietrze. Postać odwróciła się i spojrzała w moją stronę. Ciężko jest znaleźć odpowiednie słowa, by opisać dokładnie jej wygląd. By wyrazić, jak wielkie wrażenie wywierało jej złowieszcze piękno, bijące chłodem marmurowego posągu, ukoronowane dwoma potężnymi, czarnymi jak u nietoperza skrzydłami. Gorejące, opalizujące oczy posłały mi przeszywające spojrzenie, które sprawiło, że krew w żyłach zmieniła mi się znowu w strumienie lawy. Postać zdawała się szeptać coś bezgłośnie i choć nie byłem w stanie rozpoznać jej słów, czulem jak bardzo każde z nich na mnie oddziaływało. Budziłem się rozpalony i roztrzęsiony, nie do końca zdając sobie sprawę

z tego, czy sen ów był jedynie marą, czy działo się to wszystko naprawdę i moce owego mędrca przeniosły mnie z powrotem do mojego domu i pozostawiły dygocącego w splamionej pościeli... Zbliżał się dzień, w którym Kapłanka obiecała mi wprowadzenie w grono namaszczonej. Misternie przygotowywałem się na ową chwilę, gromadząc tajemnicze artefakty, których znaczenia do końca nie byłem jeszcze w stanie pojąć. Zdobyłem też na jej polecenie odpowiednie do przeprowadzenia obrzędów odzienie – czarny habit z kapturem skrojony na wzór tych noszonych przez zakonników. Miał zostać przyozdobiony naszyjnikiem z okiem wykonanym z opalu, symbolizującym wszechwiedzące spojrzenie Mędrca. Przygotowując się do obrzędu, wdziałem owe ozdobione szaty i uczyniłem zadość ludzkiej ciekawości i pysze, stając w nich przed lustrem. Widok, który ujrzałem, obudził we mnie od razu sentymentalne wspomnienie. Wspomnienie siebie sprzed paru lat, gdy przywdziawszy białą albę i opasawszy się cingulum, służyłem Bogu. Temu, który później odtrącił mnie i o mnie zapomniał. Jakże biednie i godnie pożałowania wtedy się prezentowałem! Teraz, w czarnym habicie, nosząc na sobie symbol Mędrca, wyglądałem na prawdziwie wywyższonego. Plułem szpetnie, symbolicznie odcinając się od swojej przeszłości. Już tylko chwile dzieliły mnie od przekroczenia bram ogrodu tajemnic. Wkroczyłem do pomieszczenia, w którym miał się odbyć rytuał. Tonęło w półmroku. Jedynie płomyki czarnych świec drżały lekko jak brzoźowe liście poruszane wiosennym wiatrem, wypełniając pokój delikatną poświatą. Ołtarz zajmował jego centralne miejsce, idealnie wpasowując się w wyrysowane na podłodze starożytne symbole. Po chwili weszła Kapłanka, prowadząc ze sobą dwie uczennice. Były to te same dziewczęta, które wcześniej uczestniczyły w naszych cielesnych ucztach. Pierwsza z nich wyglądała na złkniętą – wodziła dokoła szeroko rozszerzonymi oczyma, a kąciki jej ust lekko drżały. Druga nieobecny wzrokiem patrzyła przed siebie – kropelki zielonego płynu zastygłe w kąciakach ust zdradzały, że napojona została wcześniej jednym z tajemniczych naparów. Zrzuciła szaty i ułożyła się na ołtarzu, szeroko rozpościerając ręce i nogi. Kapłanka ustawiła się z drugą uczennicą po prawej stronie ołtarza, ja zaś zająłem miejsce po lewej. Ciało ofiarowanej zaczęły przyozdabiać symbole, głos wypowiadający zaklęcia falował, wznosząc się i opadając w zapamiętałej melorecytacji. Dłonie wzniosły do góry kielich, a donośny głos inwokował w jednym z martwych języków, wzywając Mędrca. Powietrze w pokoju zgęstniało i mógłbym przysiąc, że usłyszałem wtedy echa huraganu i złowieszczonego krzyku – tego samego, który śniłem każdej nocy. Ofiarowana zaczęła wic się na ołtarzu w ekstatycznej gorączce. Kapłanka ujęła moje dłonie i spłotła je wraz ze swoimi na rękojeści ozdobnego sztyletu, którego sztych skierowała prosto w serce ofiarowanej. Pchnęła z całej siły... Ponownie ujrzałem samotną

wyspę pośrodku wzburzonego oceanu. Tak jak wcześniej skrzydlata postać wyciągnęła dłonie ku samotnej gwiazdzie i wzbiła się w powietrze. Tym razem jednak okowy, które ją więziły, pękły z głuchym trzaskiem. Sztorm uderzył z jeszcze większą mocą, grzebiąc w sobie samotną skałę, jak również mnie samego i zagłuszając szum jej skrzydeł. Ryk wściekłego żywiołu przerodził się w wysoki wibrujący pisk, który przywrócił mi zmysły. Należał on do drugiej uczennicy – krzycząc ile sił w płucach, wybiegła z pokoju. Moje dłonie nadal kurczowo trzymały sztylet, który prawie po samą rękojeść tkwił w piersi ofiarowanej. Ciepłe strużki krwi skapywały z mojej twarzy, wprost na lekko drgające jeszcze ciało. Jej twarz zamarała w nieopisanej rozkoszy, niemniej grymas ten wzbudził we mnie paniczny strach. Chciałem rzucić się do ucieczki, lecz sparaliżowany strachem nie mogłem wykonać najmniejszego ruchu. Uwięziony przez niewidzialną siłę, patrzyłem na gasnące przede mną życie. Gdy dziewczyna wydała z siebie ostatnie tchnienie, paraliż ustąpił, czarna mgła okryła wszystko, a moje bezwładne ciało padło u boku ołtarza...

Przenikliwie zimno ukuło dotkliwie i wydarło mnie z objęć niespokojnego snu. Zza zakratowanego okna mojej celi dochodził niespieszny, równomierny stukot młota. Wysiłkiem zbolątych mięśni uniosłem się i spojrzałem na podwórze przez zakratowane okno celi. Na zewnątrz, deska po desce, stawiana była szubienica. Ot i godny tron budują dla strażnika ogrodu, pomyślałem, a usta moje skrzywiły się bezwiednie w gorzkim uśmiechu. Świadomość nieuchronności przyszłych zdarzeń nie nurtowała mnie już i nie napawała strachem. Więc może lepiej mi będzie stąd odejść, bo nie ma już tu dla mnie dość radości ni cierpień, których przeżywanie byłoby dla mnie intrygujące. Jedynie myśli o Kapłance potrafiły jeszcze krzesać iskry w ciemności mojej duszy. Poczulem się nawet jak ów Mędrzec na skałę, tęskniący do swojej ukochanej (tak, po przekroczeniu bram ogrodu zrozumiałem znaczenie owych snów i wizji, które mnie nawiedzały). Sięgałem w górę, w stronę jej gwiazdy i gdyby nie skuwały mnie okowy tego świata, wzleciałbym i połączył się z nią na wieczność w rajskim ogrodzie, gdzie dane jej jest teraz przebywać. A Bóg, który odrzucił mnie, gdy byłem tylko marnym człowiekiem, może dziś patrzeć zazdrośnie. Stałem się kimś więcej niż marną rzeczą, stworzoną rzekomo na jego obraz i podobieństwo...

Drzwi celi otwarły się z jękiem, weszli do niej strażnicy i pochwycili siedzącego na pryczy młodzieńca. Wyciągnęli go na podwórze, oddając w ręce kata. Ten skrępował mu ręce sznurem i wprowadził na szubienicę. Stojący obok ksiądz modlił się, lecz gdy słowa modlitwy zaczęły opowiadać o Bożej miłości i zbawieniu, skazany odepchnął go pogardliwie, splunął i wszedł na stojący pod pętlą schodek. Kat założył mu pętlę na szyję, sprawdził wszystko raz jeszcze, po czym wykopał podwyższenie spod nóg skazanego. Sznur napiął się

pod ciężarem ciała, a szum wiatru, który swoim pędem omiatał właśnie więzienne podwórze,
przyniósł ze sobą echo złowieszczego śmiechu i trzepot skrzydeł...



rys. Zvyrtke

WRZUTNIA NOCNA

Jakub Tyszkowski

W pozostałych oknach panowała ciemność. Jedyne w tym, w mieszkaniu na drugim piętrze, było włączone światło.

Widziałem je, będąc po przeciwnej stronie ulicy. Wyszedłem na balkon na szluga. Tylko o czwartej nad ranem mogłem to zrobić i nie słyszeć, że umrę na raka, że dzieci widzą, że śmierdzą. Zapaliłem i już.

Nie pamiętam, czy wtedy, kiedy za pierwszym razem zobaczyłem mieszkanie na drugim piętrze, ktoś tam był. Zbliżał się świt i jak skończyłem palić, martwiłem się tylko tym, że zaraz muszę wstawać.

Spałem dwie godziny, zadzwonił budzik. Poczułem chęć wsadzenia sobie czegoś do gęby, a jedynym, co miałem pod ręką, był szlug.

– Znowu palisz. – Usłyszałem, kiedy siłowałem się z zapalniczką. – Wiesz, że każdy papieros skraca twoje życie o jedenaście minut?

– Mogłabyś zrozumieć.

Westchnąłem z ulgą, czując w przelyku posmak czerwonych marlboro.

– Mogłabyś zrozumieć, że tego potrzebuję.

– Nie wiem, jak można potrzebować trucizny.

Potem było jak zawsze. Nie odzywaliśmy się do siebie. Wziąłem prysznic, bo zaraz praca; ona przygotowywała dzieci do szkoły. Nie pocałowaliśmy się na pożegnanie.

Jadąc obwodnicą, wypaliłem kolejne dwa. Jeśli trafiłbym na korek, cztery.

W robocie palili wszyscy. Przy przekładaniu palet, na dworze, można to było robić bez przerwy. Nie liczyłem ile, po co, ale na długiej przerwie poszedłem do kiosku po nową paczkę. To czwarta w tym miesiącu – zaczynał się drugi tydzień.

Do końca dnia opróżniłem połowę paczki. Jeśli dzieci by się nie słuchały, wypaliłbym trzy czwarte. Jeśli zasnąłbym przed telewizorem, zaoszczędziłbym kilka sztuk na potem. Razem z papierosami lubiłem pić piwo. Nawet chmiel najgorszej jakości, taki z przeceny w Żabce, przyprawiony tytoniem miał lepszy smak.

Ona wróciła późno. Wyczułem alkohol. Nic intensywnego. Po trzech lampkach wina też bym tak pachniał.

Poszliśmy spać odwrócenymi do siebie plecami. Nie uprawialiśmy seksu, odkąd urodziła. Widząc jej ciało, nie czułem takiej potrzeby.

Zerwaliśmy się równocześnie, gdy rozległ się krzyk. W bladym świetle ulicznej latarni zobaczyłem jej twarz i przez chwilę byłem przekonany, że ona tak...

– Co to było?

Cisza brzmiała nienaturalnie. Tykał zegar, na drugim krańcu kosmosu wyły syreny policyjne.

– Pewnie u sąsiadów – powiedziałem, choć nie mieliśmy pojęcia, kim byli ludzie mieszkający w naszej kamienicy. – Idź spać.

Zobaczyłem, co u dzieci. Napilem się wody z kranu. Odląłem się.

Potrzebowałem zrobić coś jeszcze. Oczekałem, dopóki nie rozległo się chrapanie i wyszedłem na balkon. Wsadziłem do gęby papierosa, byłem syty.

Wtedy znów je zobaczyłem.

W mieszkaniu po przeciwnej stronie ulicy, na wysokości drugiego piętra, paliło się światło. Okno na wpół uchylone. Pokój nie miał rolet, tylko ciężkie, szare firany, przez które prześwitywały kontury mebli. W chwili, kiedy zmrużyłem oczy, by widzieć lepiej, czyjaś ręka wysunęła się spomiędzy tych firan i zamknęła okno. Zanim to zrobiła, usłyszałem niski głos mówiący:

– *Ustach. Pamiętaj o ustach.*

Wziąłem kolejnego papierosa. Przedostatniego z paczki. Nie wiedziałem, co myśleć o sytuacji. Nie chciałem wyjść na paranoika, ale czy krzyk nie dochodził właśnie stamtąd?

Ostatniego zapaliłem na lepszy sen.

Miałem już wracać do mieszkania, kiedy na ulicy rozległy się kroki. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że z klatki naprzeciwko wychodzą trzy postacie. Byli to ubrani na czarno mężczyźni, twarze mieli zakryte kołnierzami. Śledziłem ich, aż doszli do skrzyżowania. Tam się rozdzielili.

W mieszkaniu na drugim piętrze zapanowała ciemność.

Ona poszła do pracy, dzieci do szkoły, ja zostałem w domu. Wytaszczyłem na balkon stolik, postawiłem nań kratę piwa i tak zaopatrzony obserwowałem mieszkanie na drugim piętrze. W świetle dnia nie różniło się od innych mieszkań w kamienicy naprzeciwko.

Ocknąłem się, kiedy nade mną stała ona, a zza pleców patrzyły się dzieci. Najwyraźniej chmiel mnie uspił, bo zapadł już zmierzch.

– Czemu ty nie jesteś w pracy? Wyrzucili cię? Jak ty w ogóle wyglądasz? Stary dziad siedzi na balkonie i żłopie piwsko. Nie wstyd ci przed dziećmi? Jaki ty im wzór dajesz? Jak ty chcesz je wychować?

Zamiast odpowiedzieć, złapałem ją za biodra i przesunąłem nieco w prawo, by mieć widok na mieszkanie na drugim piętrze.

Przegapiłem moment. Za szarymi firanami paliło się już światło.

– Co ty robisz? Czy ty się dobrze czujesz? Dzieci, idźcie do pokoju. Nie patrzcie na tatę.

Podrapałem się po głowie. Zastanawiałem się, jaki wykonać następny ruch.

– Boże, to pewnie te papierochy tak działają. Mózg ci wyzarły, człowieku. Idź się lecz, póki jeszcze można.

Za radą wyszedłem z mieszkania.

Stałem przed wejściem do kamienicy kwadrans, paląc papierosy i obgryzając paznokcie. Kiedy poczułem ból, a z palców zaczęła lecieć krew, zebrałem się w sobie i wkroczyłem do budynku. Klatka schodowa nie różniła się niczym od tej, w której znajdowało się moje mieszkanie. Takie same odrapane ściany, dyskretna woń moczu, suchy zapach pyłu i intensywny swąd bigosu, unoszące się w powietrzu.

Stawiając kolejne kroki, zastanawiałem się, co ja, do kurwy nędzy, wyprawiam? Jestem paranoikiem, pomyślałem, kiedy drzwi do mieszkania na drugim piętrze pojawiły się przed moimi oczami. Jestem paranoikiem i jak weń zapukam, otworzy mi kobiecina z wałkami we włosach, z tyłu będą krzyczeć dzieci, a ja wyjdę na idiotę.

Otworzono natychmiast, jakby za wizjerem znajdowało się oko i wypatrywało mojego nadejścia.

Skórę na twarzy owiał mi chłodny, zgniły podmuch. Mężczyzna w czarnym płaszczu nakazał prędko wejść do środka.

– Straszny przeciąg. Mamy. Wejdz.

Kiedy znalazłem się we wnętrzu, rozległo się coś jak szczęknięcie kłódki po zamknięciu ogromnej bramy.

– Na ciebie. Czekaliśmy – powiedział mężczyzna, pokazując dłonią, że mam iść za nim.

Powierzchnie w mieszkaniu były pokryte czarną, brezentową folią malarską. Po każdym kroku następował szelest przypominający trzepot skrzydeł owada. W rogach ścian płonęły chińskie lampiony, rzucając brudne, brązowe światło na znajdujące się na folii odpryski. Kiedy się na nich stanęło, podeszwa buta z trudem się odklejała.

Weszliśmy do pokoju, które widziałem ze swojego balkonu. Było tu więcej lampionów, przez uchylone okno wlatywało świeże powietrze. Wokół stołu stali dwaj mężczyźni w czerni. Na blacie, w brezentowym worze, znajdowało się ciało – tego kształtu nie dało się pomylić z żadnym innym.

– Każdy tu trafia – przemówił mężczyzna, który wcześniej otworzył mi drzwi – Prędzej czy później. Sfrustrowani życiem, w nieudanych związkach, poniżej oczekiwań rodziny, dotknięci nieszczęściem. Każdy tu trafia.

Pokiwałem głową, aby kontynuował.

– Tutaj swojego ciężaru. Pozbyć się możesz. Poczuc ulgę. Chociaż tyle daje nam mieszkanie na drugim piętrze.

Zrozumiałem, że jeden z mężczyzn i ciało w brezencie byli sobie bliscy. Człowiek ten miał zaciśnięte pięści, a z kącików oczu leciały mu łzy.

– Jestem gotów – powiedział.

W jednej ze ścian znajdowała się kwadratowa kłapa. Podobna do tych, za jakimi trzyma się ciała w prosektorium. Mężczyzna pociągnął za uchwyt i ze środka buchnął odór zgnilizny, samotności, zimna, ciemności. Zatoczyłem się, próbując ustać na nogach i nie zemdleć.

– Okno. Zamknij, bo jeszcze ktoś poczuje.

Zbliżyłem się do otworu w ścianie i zajrzałem do wewnątrz. Była to pustka, otchłań, dziura bez końca. Wyczuwałem niepojętą umysłem przestrzeń, którą spowijała ciężka mgła mroku. Wiatry, które się przez nią przetaczały, przywiewały do kłapy odór śmierci. Światło z chińskiego lampionu rozpraszało ciemności na odległość kilku metrów. Nabrałem wrażenia, że nieco dalej, zza granicy światła, coś obserwuje moją głowę, wychylającą się przez otwór w pustce.

– Co to jest? – wychrypiałem.

Wówczas drugi z mężczyzn podniósł ciało w brezencie i zdecydowanym ruchem cisnął je przez otwór w ścianie. Usłyszeliśmy, jak brezent rozwija się w locie, ale jestem pewien, że obojętnie, jak długo byśmy nie czekali, nigdy nie usłyszelibyśmy, jak ciało spada na dno otchłani.

– Wreszcie pozbyłem się suki – powiedział mężczyzna, na jego twarzy ujrzałem ulgę.

– Od początku małżeństwa zatruwała życie mi i mojej kochanej. Wreszcie pozbyłem się tej jebanej mamuśki.

Pozostali mężczyźni pokleпали go po plecach. Zamknęliśmy kłapę w ścianie, pogasiliśmy lampiony i wyszliśmy z mieszkania na drugim piętrze. Oznajmiłem moim towarzyszom, że wkrótce ich znów odwiedzę. Przyprawdę gościa.

Było w okolicy czwartej nad ranem, kiedy potrząsnąłem jej ramieniem. Obudziła się, zobaczyła moją twarz, wykrzywiła się z niesmakiem i przekręciła się na drugi bok.

– Daj mi, kurwa, spać. Zaraz wstaję do pracy.

Powiedziałem, żeby się ubierała, bo wychodzimy.

– Co takiego? – Jej głos stał się przytomny.

– Posłuchaj. Żebyście byli szczęśliwi, ty i dzieci, chciałbym – powiedziałem. – Ciężarem dla was. Jestem. Bezużyteczny. Z nałogami. Nie kocham. Dla rodziny. Lżej będzie, jeśli zniknę. Dla was. Dla świata. Dlatego znalazłem rozwiązanie. Wyjście. Przez dziurę w mieszkaniu na drugim piętrze. Zabiorę cię tam. Zakryjesz mnie brezentem. Wrzucisz. Do otchłani bez dna. I ulgę poczujesz. Tylko proszę o jedno cię. Zatkaj mi. Usta. Pamiętaj o ustach. Kiedy znajdę się w środku, oszaleję na widok tego, co zobaczę.



SPOOKY STUFF



SPOOKYSTUFFSHOP



SŁOWIAŃSKIE KOSZMARY

W SPRZEDAŻY

KOSZMARY SŁOWIAŃSKIEJ TOŻSAMOŚCI

(wstęp antologii *Słowiańskie Koszmary*)

Witold Jabłoński

Horror słowiański? Powie ktoś, że to sprzeczność sama w sobie. Wszak Słowiańszczyzna to kraina błogiej sielanki, nieskażonej okrucieństwem, mroczną magią czy demonizmem... Tak właśnie ujmuje ten temat klasycyzujący Literat w III części *Dziadów* Adama Mickiewicza:

*Nasz naród się prostotą, gościnnością chlubi,
Nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie lubi...*

I konkluduje sławetną maksymą:

Sławianie, my lubim sielanki.

Chociaż słowa te padają w kontekście ironicznym, a Mickiewicz nie stronił bynajmniej w swoich dziełach od „scen okropnych, gwałtownych”, trzeba jednak stwierdzić, że sam wieszcz przyłożył również rękę do powielania powyższego schematu, o czym opowiemy za chwilę.

Skąd wzięły się te – w znacznej mierze fałszywe – przeświadczenia? Odpowiedź znajdziemy u progu epoki romantyzmu. To właśnie wtedy urodzony w Morągu (wówczas Mohrunge) uczony niemiecki Johann Gottfried Herder w swych *Myślach o filozofii dziejów* stworzył wizję łagodnych, idyllicznych Słowian, żyjących niczym pasterze mitycznej helleńskiej Arkadii: „warzyli sól, tkali płótno, sycili miód, sadzili drzewa owocowe, wiodąc

na swój sposób życie radosne, wypełnione muzyką” (cytuje za: Maria Janion, *Niesamowita Słowiańszczyzna*, Kraków 2006). Owa idealna społeczność miała jednak w takim ujęciu istotną wadę: wskutek swej wrodzonej łagodności dawała się łatwo podbijać i zniewalać. Trzeba zaznaczyć, że niemiecki filozof, pisząc to, miał jak najlepsze intencje. Przejęty współczuciem dla pokonanych, pozbawionych przez zaborców własnej państwowości Polaków, wykreował obraz pięknego, nieszczęśliwego ludu, gnębnego przez silniejszych, agresywnych najeźdźców. Nie szczędził przy tym słów krytyki swym rodakom, stwierdzając: „słowiańskie niedobitki w Niemczech każą nam myśleć o tym, co Hiszpanie uczynili z Peruwiańczykami [Inkami – WJ]”, ukazywał zatem Germanów w roli okrutnych, bezwzględnych konkwistadorów i kolonizatorów. Upiększona, przesłodzona wizja Słowiańszczyzny stała się niezwykle głośna i szeroko rozpowszechniona, również w polskim piśmiennictwie historycznym, będąc dla elity naszego społeczeństwa dość wygodnym usprawiedliwieniem klęski utraty niepodległości i ukojeniem porozbiorowej traumy.

Idylliczną fantazję podchwyciła i rozbudowała część polskich literatów, począwszy od programu ideowego Kazimierza Brodzińskiego (prawdopodobnie pierwowzór mickiewiczowskiego Literata) oraz wielu historyków doby romantyzmu. Wizja ta miała wszakże drugie, znacznie mniej dla nas przyjemne dno: ukazywała wprawdzie „polskich” Słowian jako lud pokojowo nastawiony i pracowity, ale przy tym niezdolny do stworzenia wyższej kultury. Dopiero gdy Słowianie zostali podbici przez sprawniejszych organizacyjnie i zaawansowanych cywilizacyjnie najeźdźców, (w zależności od ujęcia poszczególnych badaczy, mogło chodzić o Germanów lub Celtów), potrafili rzekomo zbudować pierwociny własnego państwa, a i to tylko dlatego, że znajdowali się pod „światłymi” rządami zdobywców. W taki właśnie sposób wytworzyła się sławetna „teoria najazdu”, pokutująca do dzisiaj w rozmaitych pseudonaukowych opracowaniach, chociaż obecnie zasługę stworzenia polskiego państwa przypisuje się wikingom, od których miał ponoć wywodzić się Mieszko I.

Także Adam Mickiewicz w „naukowych” wykładach paryskich podkreślał prymitywizm dawnych Słowian, mający się wyrażać między innymi brakiem twórczości poetyckiej, w tym eposów, czy niemożnością wymyślenia własnego panteonu bogów i mitologii (pomijam już kuriozalną tezę poety i części ówczesnych historyków, z Joachimem Lelewelem na czele, że pierwotni Słowianie byli... monoteistami!). W wykładzie VII stwierdzał: „...u Słowian nie

było wcale czci oddawanej bogom, a jeśli była, istniała tylko na ziemiach pogranicznych. (...) Rzecz oczywista jednak, że ów kult był jeno wytworem wpływów obcych. Tak więc **Słowianie tylko naśladowali** [podkreślenie moje – WJ] ...stykali się bowiem z Północą i Południem, z ludami o wysoce rozwiniętej mitologii”. W tym samym odczycie wyraził też przekonanie, że „Słowianie nie znali i nie uprawiali żadnej sztuki... Pomiędzy tymi bożkami jest kilka słowiańskich, wyrzeźbionych w drzewie, (...) ale według wzorów dostarczonych przez mitologię normandzką czy skandynawską”. Uporczywie lansowana przez narodowego wieszczka i największe autorytety historyczne epoki wizja wszechstronnie prymitywnej, biernej i wtórnej kulturowo Słowiańszczyzny wywarła niezwykle trwałe piętno zarówno w polskiej historiografii, jak i w literaturze. Jeszcze bowiem w dwudziestowiecznych pracach historycznych, pomimo postępującego rozwoju odkryć archeologicznych i dotarcia do nieznanych wcześniej materiałów źródłowych, możemy znaleźć podobnie kontrowersyjne, niesprawiedliwe i krzywdzące oceny. Na przykład z opracowania Henryka Łowmiańskiego *Religia Słowian i jej upadek* (Warszawa 1986) dowiadujemy się, iż Świątowitz z Arkony był naśladowaniem świętego Wita (!), a szczeciński Trzygłów zobrazowaniem chrześcijańskiej Trójcy (!!!). Gdyby nie wybitne skądinąd zasługi wymienionego historyka, należałoby skomentować: bzdura bzdurę pogania...

Literackie wizje i „naukowe” hipotezy, wsparte dodatkowo brakiem dostępnych źródeł, powielają zatem aż do niedawna obraz Słowian jako z gruntu dobrych, poczciwych i pracowitych, wszelako niezdolnych do stworzenia rodzimej mitologii, państwowości, czy wyżej zorganizowanych struktur i hierarchii społecznych. Według tak zarysowanego planu dziejów byli to więc ludzie ciemni i ubodzy myślowo, niemający własnych bogów ani ich wizerunków, świątyń, grodów, wojowników, kapłanów, ani też rodzimej kultury i sztuki, gdyż czerpanej jedynie z importu. „Dobrze, że przynajmniej umieli trafić łyżką do gęby (przy założeniu, że wiedzieli, co to łyżka)”, ironizował Dariusz Seweryn w znakomitej pracy *Prehistoria – średniowiecze – romantyzm. W kręgu indoeuropejskich tematów mitologicznych...* (Warszawa 2014), z której zaczerpnąłem powyższe cytaty. Można by ten żarcik rozwinąć, stwierdzając, że do zejścia z drzew skłoniło naszych praprzodków dopiero polanie wodą święconą. Albo stwierdzić jak Andrzej Sapkowski w eseju *Piróg albo Nie ma złota w Szarych Górach* (1993): „...przed rokiem 966 niczego u nas nie było, tylko chaos,

czern i pustka, mrok, który rozjaśnił nam dopiero rzymski krzyż”. Na takim tle historycznym, przenikniętym wpajaniem nam przez dwa wieki kompleksem niższości i przekonaniem o kulturotwórczej niemocy, narodził się stopniowo koszmarny stereotyp wąsatych, płowowłosych matolek w siermięgach i łukowych łapciach, beztrąsko pływających po łąkach, co radośnie i rzekomo „bezkolizyjnie” przyjęli nową religię „miłości i pokoju”. W pewnym stopniu ten idiotyczny i zafalszowany obraz naszej tradycji funkcjonuje do dzisiaj, wywołując twórczy paraliż u artystów pragnących czerpać z przedchrześcijańskiej kultury słowiańskiej. Również władze kultury w PRL upierali się, że Słowiańszczyzna była „ludowa” i na ową (zresztą źle pojętą) „ludowość” kładli największy nacisk, robiąc z niej przasną i infantylną cepeliadę. Na szczęście nowsze prace wybitnych mitoznawców, jak *Mitologia Słowian* Aleksandra Gieysztor (wydanie III, Warszawa 2006) czy *Religia Słowian* Andrzeja Szyjewskiego (Kraków 2003), a także Jacka Banaszkiewicza *Podanie o Popielu i Piaście...* (wydanie II, Warszawa 2010) w znacznym stopniu zweryfikowały i zdezaktualizowały przytoczone wcześniej błędne założenia i szkodliwe w skutkach twierdzenia i tezy.

Naturalnie taka wizja samych siebie i tak pomyślana autopromocja (by nie rzec: autoparodia) nie były dobrym podglebiem do wytworzenia się w naszej literaturze choćby załączków powieści grozy opartych na rodzimej demonologii. Prekursorskie dla romantycznej literatury angielskiej i niemieckiej były tak zwane powieści gotyckie i opowieści niesamowite, czerpiące z bogatej spuścizny ludowych baśni. W literaturze polskiego romantyzmu podobne dążenia przyniosły, niestety, mizerne rezultaty. Maria Janion, omawiając w *Gorączce romantycznej* (wydanie II, Gdańsk 2007) młodzieńcze powieści Zygmunta Krasieńskiego, zauważa specyficzny niedowład naszej twórczości: „zamki są niby rodzime (...), ale upiory je zamieszkujące – wyraźnie importowane, jakbyśmy mieli za mało własnych duchów, rezydujących na zamkach”. W dalszej części wywodu przekonująco uzasadnia nikłość naszych na tym polu dokonań: „Idzie tu przede wszystkim o obudzone [w epoce romantyzmu – WJ] zainteresowanie demoniczną stroną natury ludzkiej. Gawędziarz szlachecki nie miał – i trudno tego od niego wymagać – do niej szczególnego nabożeństwa. (...) Nasz opowiadacz mógł się fascynować diabłami i robił to, ale nie był podatny na satanizm. Dialogi z nieczystą siłą stanowiły pokaz wzajemnych przechytrzeń, nie pojawiała

się w nich filozoficzna problematyka bytu. W ogóle z powodów, o których jeszcze za chwilę, satanizm romantyczny w Polsce prawie wykluczyć się nie mógł” – stwierdza stanowczo uczona i dalej konkluduje: „Kultura polska nie mogła dopuścić do siebie... decydującej dla gotycyzmu kontaminacji Piękna i Zła. Nie mogła przyjąć do wiadomości, że zło może być piękne, a piękno złe. Nie chciała tolerować pewnego typu złowroziej, ponurej piękności buntowników zrewoltowanym przeciw wszelkim prawom boskim i ludzkim [czyli atrakcyjnych, pociągających demonów – WJ]. Kultura szlachecka ze swoim dobrodusznym nastawieniem do życia, prostolinijnością stylu gawędowego i upodobaniem w rubasznej cudowności, nie zrodziła warunków ani na stworzenie, ani na przyjęcie gotycyzmu”.

Ustalenia badaczki nie napawają więc optymizmem. Znowu nasza słowiańska „pocziwość”, nasze upodobanie do sielanki zablokowały rozwój ważnej gałęzi literackiej! Czyżby nawiązując do rodzimej tradycji romantycznej skazani jesteśmy wyłącznie na blade Świtezianki, duchy Jasiów „przy swej Karusi”, ewentualnie najbardziej chyba udany słowiański thriller, to jest Lilie tegoż autora? Pewnym wsparciem mogłaby być bez wątpienia twórczość Juliusza Słowackiego, który w okrutnych dramatycznych baśniach (Balladyna, Lilla Weneda) i poematach (Król-Duch) próbował wskrzesić mit i epos słowiański. Powiedzmy sobie otwarcie, że podobnych wzorców nasza klasyka literacka nie dostarcza zbyt wiele. Jednak warto nadmienić, że cytowana wcześniej autorka niezwykle interesująco zanalizowała w eseju Polacy i ich wampiry (Wobec zła, Chotomów 1989) niesamowitą „pieśń wampiryczną” Konrada z III części Dziadów („Pieśń ma być już w grobie, już chłodna...”). Autorka omawia ją następująco: „Pieśń Konrada – czarownika, proroka, szamana, wampira – technicznie obcością pierwotną, wampiryczną. Nie da się jej ani oswoić, ani złagodzić, ani podrobić: to nie jest ogólnie uprawiana przez romantyków literacka stylizacja, na folklor’ (...). Pieśń Konrada poraża dzikością i obcością. Ujawnia straszny, szalony zew zemsty, słyhać go w niej, jak wycie wampirów i wilkołaków. Czujemy, że Mickiewicz stanął tu wobec jakiejś ostateczności i zmierzył się z nią poza domeną moralności chrześcijańskiej [podkreślenia Autorki – WJ]”. Tak interpretując utwór, Maria Janion powołuje się na samego Mickiewicza: „Wiara w upiory wyszła z łona ludu słowiańskiego... Są dowody, że wszystkie baśnie o upiorach mają wspólny początek, że pochodzą od ludów słowiańskich” (wykład VIII); Aleksandra Brucknera: „Najciekawsze wytwory fantazji słowiańskiej, wcale nie tak

sielankowo nastrojonej, jakby się na zasadzie Starej baśni Kraszewskiego wydawało, to upiory i wilkołaki” (Mitologia słowiańska i polska, Warszawa 1980); a także Kazimierza Moszyńskiego: „właśnie w dorzeczu dolnej Wisły do ostatnich czasów znajdowało się wybitne ognisko wampiryzmu” (Kultura ludowa Słowian, Warszawa 1967). Wielka uczona daje w ten sposób wyrazisty trop literacki młodym autorom, na który warto zwrócić uwagę i na pewno nie należy go lekceważyć.

Mam nadzieję, że powyższy wywód historyczno-literacki wystarczająco dobrze uzasadnia, czemu uważam wydaną rok wcześniej antologię Krew zapomnianych bogów oraz niniejszą, Słowiańskie koszmary, za wydarzenia na naszym gruncie bezprecedensowe, nowatorskie i przełomowe. Młodzi twórcy poruszają się na jeszcze słabo zbadanym, nieomal dziewiczym terenie, a jednak, działając w odmiennych warunkach niż ich literaccy antenaci, wyzbywają się dawnych kompleksów i zahamowań, czerpiąc bez wahania z przebogatego źródła rodzimej demonologii. Świat słowiański nie jest w ich utworach, jak we wcześniejszej polskiej literaturze, prząsny, poczciwy i infantylny, lecz stanowi wybuchową mieszankę tajemniczości i grozy, demonizmu i okrucieństwa. Świadczy to o chęci przełamania wielowiekowego szkodliwego szablonu, ale też o poszukiwaniu nowego stylu „swojskości”, nowego paradygmatu Słowiańszczyzny i odmiennego wzorca kulturowego, odwołującego się do przedchrześcijańskiej tradycji. Duże zainteresowanie, jakim cieszy się taka literatura, świadczy o ogromnym zapotrzebowaniu na podobną tematykę i o społecznym oczekiwaniu na wypełnienie „słowiańskiej luki” w naszej kulturowej tożsamości.

Najogólniej można stwierdzić, że młodzi autorzy radzą sobie z niełatwym przecież zadaniem na dwa sposoby. Jedni, jak Dagmara Adwentowska, Maciej Szymczak, Agnieszka Kwiatkowska, Piotr Ferens, Katarzyna Bromirska i Mikołaj Rybacki, eksplorują świat prasłowiański w duchu fantazy historycznej, dochodząc niekiedy do niezwykle zaskakujących spostrzeżeń i wniosków, wykraczających poza nasz historyczny szablon. Drudzy, jak Anna Musiałowicz, Marta Krajewska, Tomasz Krzywik, Mariusz Orzeł Wojteczek, Honza Vojtisek, Flora Woźnica, Sandra Gatt Osińska, Krzysztof T. Dąbrowski, Grzegorz Kopiec, czy Michał Stonawski, zderzają realia współczesne, a nawet futurystyczną postapokalipsę z odradzającym się niespodzianie, a raczej „wiecznie żywym” światem słowiańskich upiorów i demonów, czego efekty bywają naprawdę wstrząsające, by nie rzec piorunujące. Celowo nie zdradzam

fabuł utworów, mam bowiem świadomość, że w dobrym horrorze liczą się przede wszystkim umiejętności sprawnego budowania napięcia, jak też zaskakujących zwrotów akcji. Na ile zaś powiodły się autorom owe twórcze eksperymenty, najlepiej niech Czytelnik przekona się sam. Pozostaje jedynie żywić nadzieję, że horror słowiański, stosunkowo mało reprezentatywny dotychczas gatunek, zdobędzie dla siebie trwałe miejsce w polskiej literaturze.

DUCH NIEPOKORNY

RZECZ O TADEUSZU MICIŃSKIM

Mariusz „Orzeł” Wojteczek

Tadeusz Miciński był artystą w każdym calu. Obecnie nieco zapomniany, zepchnięty na ubocze za sprawą takich epokowych poetów, jak Stanisław Przybyszewski i Kazimierz Przerwa-Tetmajer – mocniej zakorzenionych w zbiorowej świadomości społecznej – niemniej nadal będący przykładem twórcy wybitnego. Nie tylko dorównującego wyżej wymienionym, ale i przewyższającego ich pod wieloma względami.

O jego życiu tak naprawdę niewiele wiadomo. Większość informacji kryje się w gąszczu plotek i sprzecznych doniesień. Jak pisał badacz twórczości Micińskiego, Wojciech Gutowski:

Biografia jednego z najwybitniejszych poetów (...) Młodej Polski zawiera nadal wiele „białych plam”, a próby jej uporządkowania (...) trudno uznać za badawczy sukces.

Być może przyczyniła się do tego sama autokreacja Micińskiego, pozującego zapamiętane na maga, mistyka, postać na wskroś tajemniczą, obcującą z „drugą stroną” i kryjącą się w cieniu. Z jednej strony to poza doskonale wpisująca się w nurt ówczesnej fascynacji okultyzmem i spirytyzmem, z drugiej – niewątpliwie pokłosie rozległych studiów artysty w tym zakresie. I kiedy jego przyjaciel Stanisław Przybyszewski zdaje się być bardziej kuglarzem, kreującym się na wybitnego znawcę wiedzy tajemnej (choć z pewnością pewien zakres owej wiedzy posiadał), Miciński jawi się jako postać naprawdę dogłębnie zaznajomiona z tematyką. Pozostający w cieniu „głośniejszych”, acz z pewnością nie bardziej utalentowanych twórców, Miciński był artystą tyleż wybitnym, co niedocenianym. Nie tyle przez dawniejszych, co współczesnych krytyków i odbiorców. A doprawdy warto przybliżyć tę nietuzinkową postać, która już w swoich czasach wzbudzała wiele kontrowersji.

Tadeusz Miciński urodził się 9 listopada 1873 roku w Łodzi. Zdobył gruntowne wykształcenie, studiował najpierw historię w Krakowie (na Uniwersytecie Jagiellońskim), a później filozofię w Lipsku i Berlinie. I to Berlin właśnie zdawał się być miejscem dla przyszłości Micińskiego przełomowym. Tam bowiem poznał Stanisława Przybyszewskiego, z którym połączyła

go wieloletnia przyjaźń. Obaj zainteresowani mistycyzmem, demonologią i satanizmem wspólnie studiowali opracowania z tych tematów, przy czym – o czym wspomniałem wcześniej – to Miciński właśnie zdobył na tym polu wiedzę szerszą, dokładniejszą. Przybyszewski pozostał umiejętnym kreatorem własnej legendy, spychając nieco w cień swojego przyjaciela. Być może dlatego właśnie to Przybyszewski stał się symbolem swoich czasów i ówczesnej artystycznej bohemy, a nie Miciński, który przecież nie tylko nie odstawał od niego talentem (będąc prekursorem surrealizmu i nowego ujęcia symbolizmu), ale i kontrowersyjnym stylem bycia?

W Berlinie Miciński spotkał jeszcze jedną ważną dla swych późniejszych losów postać – Wincentego Lutosławskiego, polskiego filozofa i działacza narodowego, który umożliwił artyście wyjazd do Hiszpanii, gdzie ten zetknął się (i mocno zainteresował) z hiszpańskim mistycyzmem, filozofią platońską oraz tamtejszą sztuką (głównie autorstwa Francisco de Goya), co niewątpliwie wywarło znaczący wpływ na kształtowanie jego poglądów i późniejsze, twórcze poszukiwania.

Po powrocie do Polski Miciński zamieszkał w Warszawie, która niedługo później, w okresie międzywojnia, stała się stolicą mediumizmu i spirytyzmu. Sceptyczny do całego zjawiska Antoni Słonimski tak opisywał ówczesne warszawskie środowisko w jednej ze swoich „Kronik tygodniowych”:

Warszawa jest jednym z najbardziej mistycznych miast w Europie. Nie wszyscy wiedzą o tem, że stolica nasza, posiadając tak mało wartości realnych, eksportuje jednak na cały świat astrologów, medja spirytystyczne i cudotwórców. Niestety, eksport jest, jak widać, za mały, bo dosyć zostaje jeszcze tego tałalajstwa dla nas.

Słowa Słonimskiego mocno krytycznie odnoszą się do obecnych w ówczesnym środowisku warszawskim „krzewicieli zjawisk paranormalnych”, których artyści młodopolscy byli niejako prekursorami, agitatorami fascynacji ich działalnością – jednak nie bez przyczyny. Mnożyli się oni bowiem w tamtym czasie w stolicy, niejednokrotnie będąc sprytnymi hochsztaplerami, wyczuwającymi łatwy pieniądz od naiwnych, złaknionych astralnych doświadczeń jednostek.

A choć największą popularność tendencje te zyskały w okresie międzywojennym, to jednak już początkiem wieku były bardzo popularnym trendem społecznym, mocno wpisującym się w zakres zainteresowań polskiej bohemy artystycznej, w tym i Micińskiego.

Miciński poetycko debiutował w 1906 roku w „Ateneum” poematem „Łazarze”. W tym samym roku wystawiony został jego dramat naturalistyczny "Marcin Łuba", napisany wspólnie z Ignacym Maciejowskim-Sewerem.

Pierwszy tomik poezji, „W mroku gwiazd”, ukazał się drukiem w 1902 roku i został entuzjastycznie przyjęty przez ówczesną krytykę literacką, dając autorowi szerokie możliwości

autokreacji artystycznej. Ów zbiór zresztą stanowi główny zręb twórczości poetyckiej Micińskiego, kreśląc i kształtując główne wątki rozwoju jego pracy twórczej.

Warto w tym miejscu nadmienić, że poeta wykazywał bardzo silną fascynację satanizmem.

Jednak ówczesne podejście do Szatana (mimo niewątpliwych kontrowersji, jakie wzbudzało w kraju silnie katolickim) znacząco odbiegało od obecnego postrzegania tematu i nie ciążyło na nim tak wiele negatywnych czy makabrycznych wręcz konotacji i powiązań.

W obliczu *fin de siecle*, w atmosferze ogólnej, artystycznej rezygnacji związanej ze zbliżającym się przełomem wieków, satanizm stawał się doskonałym wręcz wyznacznikiem artystycznych nastrojów i chęci wyrwania się z materialistycznych oków pozytywizmu, na wskroś przepełnionego realizmem.

Już Stanisław Przybyszewski w swojej twórczości (m.in. „Dzieciach Szatana” i „Synagodze Szatana”) prezentuje tezę, jakoby Szatan miał być starszy niż Bóg – a więc tym samym potężniejszy – który stworzył sobie boską postać jako antytezę, jeszcze mocniej ukazująca jego szatańską potęgę. Szatan u Micińskiego jednak jest zgoła inny. Warto przywołać wiersz „Lucifer”, gdzie postać Szatana jako upadłego anioła, który zbuntował się przeciw Bogu, jawi się jako jednostka niepewna, zagubiona. Miciński nie podkreśla jej potęgi, mocy sprawczej (jak to czynił Przybyszewski) ale bardziej akcentuje zagubienie i słabość istoty, jednocześnie nie określając jej jednoznacznie jako złej. Szatan w wierszu to postać, której winą jest bunt przeciw zastałemu porządkowi, chęć zmian, ale też niezrozumienie otaczającego świata. Postać z „Lucifera” to doskonała ilustracja nie tylko artystycznych fascynacji Micińskiego, ale też znakomita alegoria artysty z okresu *fin de siecle* – równie zagubionego, przepełnionego goryczą i rezygnacją oraz obawami związanymi z przełomem wieków.

*Jam ciemny jest wśród wichrów płomień boży,
lejący z jękiem w dal — jak głuchy dzwon północy —
ja w mrokach gór zapalam czerwień zorzy
iskrą mych bólów, gwiazdą mej bezmocy.*

*Ja komet król — a duch się we mnie wichrzy
jak pył pustyni w zwiewną piramidę —
ja piorun burz — a od grobowca cichszy
mogił swych kryję trupiość i ohydę.*

Miciński tym samym zdaje się być głosem artystycznego pokolenia, który przez historię

został niejako wyparty. Jego miejsce zajął bardziej „ugładzony” literacko Jan Kasprówic, autor młodopolskiego hymnu „Dies irae”, który może i głosi zbliżone Micińskiemu, dekadentystyczne założenia, jednak nie odnosi się tak bezpośrednio do gloryfikacji satanizmu, a więc bardziej jest akceptowalny.

Siłą twórczości Micińskiego zdaje się być bardzo mocno akcentowany indywidualizm, podparty jego zamiłowaniem do demonologii i mistycyzmu. Twórczość poety stanie się w pewnym sensie antytezą klasycyzującej tendencji prezentowanej przez Leopolda Staffa, dla którego świadomość jest nadrzędną siłą, która może (i powinna) zawładnąć zmysłami, podświadomością, instynktem. Nie uciszać ich, ale okiełznać, wykorzystać do kształtowania świata.

Miciński w tomie „W mroku gwiazd” przedstawia propozycję alternatywną do prezentowanych przez Staffa w tomie „Sny o potędze” poglądów. Miciński zdaje się przyznawać do własnej porażki nad zapanowaniem nad emocją, wyobraźnią, podświadomością. Superego abdykuje na rzecz głębi *mare tenebrarum*, na którego falach dusza ludzka zdaje się być łódką poniewieraną przez wzburzone wody. To zresztą częsty motyw w poezji Micińskiego – łódź wydana na pastwę żywiołom morza, zdana na łaskę rozgniewanej natury. Podobnie będzie z obrazem ruin czy wulkanu.

Te wszystkie cechy składają się na obraz jednostki zagubionej, rozbitej, przeświadczonej o swojej zależności względem mocy, wobec których jest bezsilna, którymi nijak nie może zawładnąć ani ich okiełznać. Pozostaje jedynie poddać się tej mrocznej fali.

Twórczość Micińskiego okazuje się być początkiem osi, na której leży cała twórczość młodopolska – a na przeciwległym jej końcu jest właśnie klasycystyczny realizm Staffa.

Pomiędzy nimi znajdzie się miejsce i dla wspomnianego Kasprówicza, który, owszem, buntuje się wobec Boga, ale jego bunt jest wyrazem błagalnej rozpacz, próby znalezienia winnego całego ludzkiego cierpienia, a nie gloryfikacji boskiej antytezy, jak to ma miejsce u Micińskiego. Miciński rezygnuje z przyglądania się problemom zbiorowości, odchodzi od manifestowania odczuć społecznej masowości, a skupia się na podejściu indywidualnym, na postrzeganiu świata przez pryzmat jednostki i jej odczuć.

Co ciekawe, Miciński zaczyna od poezji narodowo-mistycznej, która odwołuje się bezpośrednio do popowstaniowej literatury romantycznej, dla której ujęcie patriotyzmu było bardziej mityczno-sakralne, niż pozytywistycznie społeczno-utilitytarne.

Konkursowe opowiadanie artysty, „Nauczycielka” z roku 1986, będące jednocześnie jego prozatorskim debiutem, powstało właśnie w tonie patriotycznej służby dla zbiorowości. I choć całe późniejsze życie Micińskiego związane jest z działalnością patriotyczną, to jednak artystycznie zdaje się on sam upadać, jak jego bohater – Lucyfer. Nie podołał brzemieniu narodowo-mesjanistycznej zbiorowości i ucieka w indywidualne rozważania na temat cierpienia jednostki jako

takiej.

To wzbudza w samym autorze gniew i kształtuje u niego poczucie swoistego kompleksu emocjonalnego: sacrum – świętokradztwo – poczucie winy, będącego w dużej mierze wynikiem odrotu artystycznego od patriotycznego zaangażowania. Podobne zresztą wątki znajdziemy w publikacjach Stanisława Przybyszewskiego, którego prace mocno wpłynęły na kształt twórczości Micińskiego.

Nie można zapomnieć, że, pomimo odejścia od wątków patriotycznych w twórczości, Miciński nigdy nie zrezygnował z działalności na rzecz narodowych dążeń Polski. Był aktywnym działaczem wielu organizacji patriotycznych, głównie wywodzących się z kręgów artystycznych. Uczestniczył w zjeździe niepodległościowym, zwołanym przez Piłsudskiego w Zakopanem w 1912 roku, a po wybuchu I wojny światowej przebywał w Rosji, na Ukrainie i Białorusi. Był oficerem oświatowym w korpusie J. Dowbora-Muśnickiego.

Jego śmierć owiana jest tajemnicą. Zginął w drodze do Polski, najprawdopodobniej w lutym 1918 roku. Oficjalna wersja brzmi, że został zamordowany w celach rabunkowych, przez chłopów, w czasie powrotu do kraju. Jednak wiele pogłosek mówi o tym, że był to mord polityczny, zlecony przez Feliksa Dzierżyńskiego. Prawdy zapewne nie dowiemy się nigdy. Grób Tadeusza Micińskiego znajduje się w osadzie Małe Małynicze pod Czertykowem.

Tadeusz Miciński już za życia kreował się na postać tajemniczą, izolującą się od społeczeństwa. Wzbudzał kontrowersje nie tylko trudną, obrazoburczą twórczością, ale i sposobem bycia. Ubierał się w staromodny sposób, tworzył jedynie w ciemnościach, a na zdjęciach zazwyczaj przyjmował dziwaczne pozy. Chciał uchodzić za człowieka związanego z „tamta stroną”, do czego rozległa wiedza z tematu ezoteryki i demonologii z pewnością się przyczyniała. Bardziej wycofany społecznie niż Stanisław Przybyszewski, niekwestionowany król ówczesnej bohemy artystycznej, z całą pewnością pozostawił po sobie imponującą twórczość, która do dziś rozpała umysły i znajduje często zakorzenienie w kulturze masowej, zwłaszcza w muzyce.

Z tekstów Micińskiego korzystały w swoich nagraniach m.in. takie zespoły, jak Kat (z Romanem Kostrzewskim), Behemoth, Lux Occulta czy Radogost.

rys. Izabela Wojciechowska



RÓŻA UPIORNA

(fragment powieści *Xiqdz Faust*)

Tadeusz Miciński

Z kardynałem Metastasio żyłem w pewnej zażyłości; lubiły mnie jego damy, mimo iż byłem tylko kapitanem gwardji papieskiej. Trzeba panu wiedzieć, że niedarmo Włosi nazywali go, również jak króla Wiktora Emanuela – ojcami narodu. Tak, kardynał zbyt lubił dobre związanie torsu kobiecego z silnemi biodrami bachanckiej Menady. Do tego była już

dotądkiem głowa piękna i mądra tryumfatorce na rydwanie. – (Nie, w żaden sposób nie oczekiwał Piotr podobnego związania misterjum o upiorach z torsem Menady! Ale słuchał, wsparłszy się o górny cokół kominka i stojąc w chłodnym półcieniu. Ogień przenikał różnobarwny witrażowy ekran szybek, oprawnych w żelazne ramy – rzucał migoty na biblioteczną komnatę, igrał klejnotami na starych voluminach, na rozwieszanej skórze jawajskiego boa, i lśnił jak na baśniowych tarczach – na emaljowanych starych misach z Faenzy).

– Rozpustnik, szalawiła wołyński, którzy to obywateli, jak wiadomo, wogóle nie odznaczali się za mych czasów ani patryjotyzmem, ani uczonością, ale zato bałagulstwem i niby tężyzną... W tym jednym byłem odrębny, że zdążyłem otrzymać doktoraty przyrodniczy, matematyczny i filozoficzny.

Słowem, ja, hrabia Apolinary – o nazwisko mniejsza i tu pan mego nazwiska od nikogo się nie do- wiesz – spotykałem się nieraz z kardynałem we czwórce przy sarkofagu Attisa, ubranym we fijołki. Sarkofag ten służył nam za stół biesiadny nocami w kardynalskim ogrodzie przy Villa Doria Pamphili. Hm... (olbrzymi kłęb dymu wyrzucił ksiądz ze swej fajki).

Razu jednego szedłem pustą uliczką na Trastevere za fortecą Anioła. Ulica pusta; szabla ma wesoło dzwoniła, to znów milkła na brukowcach, porośtych trawą. Nie było ani jednego przechodnia. Mrok, cisza głucha, mimo iż rzędy pałaców starodawnych bywają jeszcze i teraz miejscem hucznych karnawałów...

Balsamiczny wieczór niósł zapach pinji, które mroczyły niby pagody. Jednocześnie jednak wionął mokry zabójczy wiew od wspaniałych łąk na maremmach, które ciągną się od Rzymu wzdłuż morza. W takiej świeżości wonnej myśl o śmierci zaczęła kołatać cichutko – do zapomnianej maleńkiej furty mojej Jaźni.

Nie było nikogo na ulicy. Nie płonęły tu latarnie. W niektórych oknach mżył blask, ale zakryte były persianami, czyli po naszymu – żaluzjami.

Wtym – upadła róża do mych stóp. Tchnęła wonią tak silną, że napowietrzną drogę, którą leciała, przepoiła też aromatem.

Podjąłem, w mroku jej nie widząc – ale musiała być szkarłatna. Ukryłem ją na piersi, patrząc jednocześnie ku oknu, z którego mogła upaść. Pałac pogrążony był w mroku. Błysło nagle światło w oknie parterowym – stała z latarnią w ręce za kratami dama nadzwyczajnej urody.

Obyczajem, praktykowanym przez młodzież arystokratyczną rzymską, zachowującą jeszcze tradycje hiszpańskie, rzuciłem płaszcz bogato wygalonowany

w smugę światła, padającą na bruk.

Ugiąłem kolano przed Piękną i, dotknąwszy kapeluszem ziemi, zacząłem mówić jakąś nagłą improwizacją zachwytu i próśb.

Ku zdziwieniu memu dama odrzekła mi po hiszpańsku:

– Teraz jestem samotna, miej łaskę do mnie przyjsć...

Nie trzeba mi było powtórzyć. Staroświecka z brązu kołatka, utwierdzona nad klamką, przedstawiała nad gniazdem węzów lecącego Feniksa.

Zniknął blask od okna. W ciemnościach drzwi rozchyliły się za naciśnięciem niewidzialnej sprężyny, gdym ujął i machinalnie przekręcił kołatkę. Szedłem omackiem w mroku.

Dziwny, przecudny głos zawołał na mnie po imieniu wysoko nad schodami.

– Señor Apolline.

Nigdy w życiu nie słyszałem podobnie fijołkowego głosu. Zdawało się, że to zadźwiękła fontanna, spadając z czaszy złotej w amforę kryształną. Taki niezemny głos mają na wiosnę lodowce górskie, gdy metaliczne dźwięki ich łączą się z mową czarodziejek.

Szedłem zwolna po schodach, przygniatało mnie wzruszenie.

Na drugim piętrze już było jaśniej, drzwi od rozświetlonej sali otwarte.

Postać damy wwiodła mię do wspaniałej komnaty, gdzie sufit wykładany grubemi taflami rzeźbionego czarnego dębu czy hebanu, boczne ściany okryte arrasami – bardzo staroświeckimi.

Moja dama ubrana w strój, jaki widzimy na obrazach Welaskeza.

Na szczęście mówiłem biegle po hiszpańsku.

Powitała mię skinieniem róży tak ponsowej, że aż czarnej.

Uprzejmie wskazała miejsce naprzeciw siebie.

Zająłem jedno z krzeseł gotyckich, podobnych do tronu i konfesjonału zarazem.

Na stole lśniła wspaniała zastawa z kryształów i najdroższych fajansów emaljowanych, talerze były z grubego srebra.

Znając etykietę hiszpańską, nie ważyłem się przekroczyć jej realnemi pytaniami, lecz, jedząc zamorskie i dziwnie po staroświecku, korzennie zaprawne potrawy – mówiliśmy na temat mistyki i miłości.

Mało pomnę z tej rozmowy, prowadzonej w upojeniu wszystkich zmysłów, oczekujących najwyższego momentu – jeden tylko dwuwiersz, który mi rzekła wśród mnóstwa rzeczy przedziwnych ta Doña:

*La muerte y el amor, pasando el camino,
la noche los tomará en una posada.*

To znaczy – jeśli pan nie rozumiesz po hiszpańsku –

– Tak, zapewne? – rzekł Piotr:

*– Śmierć i miłość płynęły w gondoli –
noc ich ogarnęła w ciemnych odmętach. –*

– Hm... masz pan wyobraźnię na niekorzyść filologii. Wiersz znaczy poprostu:

*Śmierć i miłość chodziły jedną drogą –
noc ich zastała w karczmie.*

Dość, że następnego dnia –

– Jak to, kapitan przebył tam całą noc?

– Nie byłem jeszcze księdzem. Zresztą, cóż mam rozwlekać? Czy to, że potrawy zmieniały się szybko, że podawałem sam – biorąc je z niszy, w której obracało się okno ślepe – tj. takie, że służba dalej będąca widzieć nas nie mogła.

Najlżejszy szelest nie zdradzał niczyjej obecności.

Po deserach, które były istną objatą na cześć boga Komusa, po winach – gdzie piliśmy Cherez i Gatta, który podobny, ale wyborniejszy od szampana – nie musuje i nie oszałamia. – Przeszliśmy do salonu, zdobnego w olbrzymie, matowe, staroweneckie lustra. Na kominku palił się ogień. Podeszliśmy do wieżycowego ekieru, w którym ściany i sufit były wyłożone lustrami.

Tu stały taburety, maurytański stolik, wykładany tęczą perłowej masy.

Moja nieznajoma usiadła tu, rozświecona blaskiem płonącego kominka.

Ujrzałem ze zdumieniem, iż wszędzie na ścianach, na podłodze, na suficie – odbijała się postać jej, owiana lucyferycznym czarem grozy i żądz.

Wzięła mandolinę i śpiewała mi pieśni cudowne.

Niepodobna tego przełożyć, bo jest to już złączone z melodją. Rozmawia szatan z mniszką :

*Noc mej duszy wychodzi za horyzonty tam –
gdzie wyje mrok wśród piekła bram.
Oto jesteśmy w Hadesach już goście –
i zamiast płaczu, mamy radoście...
Złam krzyża jarzmo! miła kochanko –
Nad głuchą gwiazdy tu lśnią Ananką.
– Zrzuć, potworze, swój czarny
habit i maskę!
Wejdz, miłuj – świat jest mi cmentarny!... –
– Zgasimy ziemię swych skrzydeł podmuchem!
w gwiaździstej szermierce
wypromieniaj łaskę:
Jestem Twym duchem –
Tyś jest me serce!*

Następnego dnia wyszedłem, śpiesząc na wartę przed komnatą Jego Świątobliwości.
Potym zaś o godz. 9 miałem eskortować papieża na mszę, którą odprawi wobec wielkiego tłumu unickich pielgrzymów.

Kodeks służbowy w Watykanie jest bardzo surowy, będąc całkowicie na honorze oparty.

Wtym na końcu ulicy spostrzegam, że nie mam przy boku szabli.

Niepodobna bez niej odbyć warty w papieskich pokojach.

Wprawdzie możnaby kupić po drodze, ale – co za wstyd! Kapitanem będąc, który za najmniejsze przekroczenie lub choćby dystrakcję karał miesiącem twierdzy w Zamku Anioła!...

Biegłem nazad.

Zacząłem dobijać się do drzwi.

Milczenie.

Kołatam coraz mocniej, nareszcie już z całych sił, myśląc, że w pałacu tym jest tylko moje Bóstwo i że jeszcze nie udała się na spoczynek.

Milczenie. Wściekle echa mych szamotań potężnemu dźwierzami okutemi w bronz – mogłyby zbudzić niedźwiedzia ze snu zimowego, cóż dopiero miłośnicę!

Nakoniec – najmniej po kwadransie – wyobrazić me zniecierpliwienie – wyszedł z sąsiedniego domu starzec trzęsący się.

Pęk kluczów miał u pasa.

– A to dla czego Wasza Wielmożność rozwała tu bramę?

– Zostawiłem tam szablę.

– Kiedy?

– Kwadrans temu.

– Być nie może.

– *Carajo, tonto, porco di Bacco, bougre de canaille, vieux saltimbanque!* – ryknąłem wściekły, klnąc wszystkimi językami – kiedy ja, kapitan gwardji, mówię, to znaczy, że tak jest! ty wieżo z kości starego rekina!

– A jednak to być nie może – odparł starzec z flegmą – pałac niezamieszkały od lat trzystu, należał do pewnej księżny hiszpańskiej. Obecnie jest własnością ostatniego jej potomka, który nigdy tu nie był, a mieszka w więzieniu dożywotnim pono aż w Czili – za jakąś nadzwyczajną zbrodnię. I nikt tu nie wchodził od czasu, kiedy byłem jeszcze młody, ani ja sam, bo mi to w klasztorze pod przysięgą zakazano.

Oslupiałem, wglądając się w poważne, bezwarunkowo nie kłamujące rysy starca.

Więc obłąkany?

I prosiłem już bardzo uprzejmie, ale zdecydowanie, aby poszukał klucza i pałac mi otworzył.

Po namyśle wstrząsnął głową.

– Ha, śmierć moja się zbliża... mogę Waszą Wielmożność przekonać, i sam zobaczę, czy wszystko w porządku. Tu nocami bywają dziwne rumory... muzykę słycać orkiestry, a czasem jakby sto osób tańcowało... Papieże tu chodzą i odbywają się straszne igrzyska. I tu przychodzi djabeł w postaci kobiety.

– Idźmy, *vamosi andiamo!* – odparłem niecierpliwie na to snowidzenie starca.

Z mozołem przekręcił klucz w zardzewiałym zamku, bo Feniks ów nad gniazdem węzy tym razem jakoś nie otwierał. -

– Tasama sień – mruknąłem, wchodząc – szabla ma będzie tam na górze. Trzeba ostrożnie iść, aby śpiącej już zapewne Pani nie obudzić.

– Niema tu żyjących – odparł z mocą starzec. – Widzisz, kapitanie, kurzu jest tu więcej niż cal na schodach. Ale ba... *corpo delia Madonna!* – tu są ślady stóp – akurat właśnie Waszej Wielmożności... Wmieszała się nieczysta siła, albo pan jesteś złoczyńcą, który ma podrobiony klucz! –

Zostawiłem zrzędzącego furtjana, przeskakując naraz po kilka schodów, aby uprzedzić damę o niespodzianym najściu.

Stanąłem na drugim piętrze. Rozwarłem naościę drzwi, nie otrzymując odpowiedzi na zastukanie.

Nazwałbym pewien rodzaj mistycznego strachu mrozem Komandora, bo zmieniłem się w statwę.

Wszakże sala była pustą zupełnie, a że tasama – mogłem przysiąc, wobec arrasów, mających przy wieczerzy oglądane motywy rycerskie: bój z Maurami, herby królestw Kastylii i Aragonu.

Stół i krzesła te same gotyckie – nie było tylko nakrycia do wieczerzy.

Ale to zrozumiałe. Uprzątnięto. Na zapyłonej grubą warstwą posadzce – istotnie, chyba od wieków niezmiatanej – ślady mych stóp! Wiodły, okrążając w wielu miejscach stół. Krokami równymi jak w lunacji – aż do końca drugiego salonu widoczną linią szedł ów ktoś.

W salonie tym nie było już ognia na kominku, wiatr gwizdał.

Podszedłem do wieżowego ekieru, wyłożonego lustrami. Tam nie było maurytańskiego stolika jedynie szabla ma stała w kącie.

Gdyby mnie nagła purpurowa błyskawica uderzyła z sufitu, nie byłbym tak wstrząśniony. Jestem w labiryncie mroków. Żadnej nici w tej Abrakadabrze i jeśli nie dojdę zaraz do sypialni pięknej Nieznajomej – to położę krzyż nad swym umysłem. Zresztą nie zdawałem jeszcze sobie sprawy ze znaczenia tych przeżyć.

– Kto mnie zwiódł?! – wybuchłem, biegnąc po salach pustych z szablą gołą, gotowy przebić.

W ten sposób salę i komnatę poprzednią przebiegłem, lecz nigdzie dostać się nie mogłem, gdyż wszystkie drzwi były zaryglowane i zamknięte olbrzymimi kłódkami. Ale rdza w nich i pajęczyny świadczą dostatecznie, że zdawna nie były otwierane.

W ciągu zresztą kwadransa, jak zniknąć mogły wszystkie meble, całe urządzenie komnat?...

Gdzie ich mieszkanka?...

Sięgnąłem do piersi po różę – wydobyłem białą, ale z wyraźnymi plamami krwi.

To łatwo objaśnić: palce mogły być zadraśnięte przy rozwieraniu tych dźwierz – mruknąłem.

Woń róży upajająca i infernalnie cudna – w jednej chwili ożywiła we mnie wspomnienie i kategoryczną pewność, że ja naprawdę tuliłem tu żywą Nieznajomą.

Wyszedłem z pałacu.

Ulica – Rzym i ja, hrabia Apolinary – kapitan gwardji – obłąkany, czy nawrócony?

Zanadto czułem szaloną niezgasłą rozkosz w mych żyłach, aby wątpić, iż przeżywałem chwile z Wenerą piekieł.

Nie wróciłem już do Watykanu. Szablę mą zawiesiłem nad ołtarzem pierwszego spotkanego kościółka.

Wstąpiłem na nowicjat do najsurowszego klasztoru i zrobiłem ślub, że będę księdzem. Co prawda, nieraz tego żałowałem, bo jeśli człowiek nie może się pomieścić w świecie, to cóż dopiero w sutannie?

Sprawdziłem potym w kronice historii, że mieszkała w tym pałacu księżna hiszpańska – miłośnica Cezarego Bordžia, która królowi neapolitańskiemu pomogła kochanka swego przywabić i uwięzić.

Ciemno, kominek przygasł. Wtym głównia, wypadając, rozrzuciła krwawe fontanny iskier.

Rozchyliła się. brama miłości, którą w misterjach Mitry przedstawiano z lichego metalu – cyny.

Taką może była miłość służebnic Afrodyty cypryjskiej, jadącej na wspaniałym dwukolnym rydwanie z czarnego hebanu, wykładanym mozajką z koralu, złota i szmaragdów – rydwan pędził nad morzem wśród leśnych gęstwiny, a ciągniony był przez mitycznego jelenia. Służebnice Afrodyty cynowym węzłem spajały ze sobą ciała ludzkie...

Lecz taką nie jest miłość natur prostych a głębokich... i Piotr pod wrażeniem opowieści przypomniał sobie ów cudny śpiew hiszpański – zdało się mu, że gdyby umiłowana kobieta tak zaśpiewała, umarłby u jej nóg...

O ven, arna... eres aima, soy corazon!

Umarłby dla świata... Poniósłby ją Piotr nad jeziora amerykańskie Ontario lub Eri, jak mu to jeszcze cudniło się z opowieści Mayne Reida – zbudowałby tam chatę i żyłby tam... z nią...

Lecz Polska? A więc później dopiero, dokonawszy już swego czynu w Polsce, miałby prawo tam wśród lasów olbrzymich, nad wodospadami – żyć z umiłowaną...

Otrząsnął się – i pomyślał: za kilka dni sznur złamie kręgi mej szyi i zagaśnie moje życie. Nie trzeba zniewieściać woli swej marzeniem. Wierzyłem w upiorka Polski – z nim spędzałem chwile ekstazy. Halucynacje... rewolucjonisty!...

Ozwał się głośno, starając się nadać inny bieg myślom rozpaczonym swego serca.

– Więc tylko dwa wnioski, jeden – że przywidzenie – nagły ostry napad obłądki, który kapitanowi, wiodącemu życie rozpustne, kazał nawrócić się i powiesić szablę na ołtarzu, szablę wcale zresztą niekaraną staniem w kącie. Taki wybuch ascezy znany.

– A drugie – zapytał uważnie ksiądz.

– Trudne do przypuszczenia: jakiś upiór, istota zagrobowa, przybrałszy postać żyjącą...

Lecz to jest absurd. Poprostu ksiądz jest poetą, psychikiem, skłonny do autosugestji.

Idąc jednej nocy mroczną ulicą Rzymu i stanąwszy pod opuszczonym pałacem, ujrzał gwiazdę, odbitą w jednym z nierozświetlonych okien.

Przekręciwszy w sposób wypadkowy zamek u bramy – wszedł – i w mroku młody kapitan przeżył halucynację wywołaną przez żądzę miłości, wizje Inferna... W ojczyźnie Danta i u stóp świątyni katolickiego fetyszyzmu – o to nie trudno...

Zaśmiał się ksiądz, puszczając kłęby dymu.

– Życie nie daje objaśnień i ja ich nie dam. Musiało to być silne przeżycie, jeśliś uczynił ślub, trwający przez całe lata, liczne jeszcze od owej epoki.

– Niestety, uczył się ksiądz już związany sutanną później – kiedy przyszła chłodna refleksja?

– Któż waćpanu prawo daje tak do mnie kołatać ?! Nie zostawiłeś wszakże u mnie swej szabli! – rzekł zimno, odpychającym głosem ksiądz. – Jeśli waćpana nie uważam za łotra, jak wszyscy współcześni ziomkowie, to nie mam jeszcze żadnych danych do przyjmowania za sędzie.

– Przywykłem w więzieniu, że się zna tylko dwie kategorie: wrogów i braci – odrzekł hardo Piotr. – Dziękuję za opowieść. W porę pożegnać będę musiał.

Ksiądz może pożałował porywczego słowa, ale jak każdy bardzo już rozwinięty umysł – gniewała go spotkana w kimś mechaniczność myślenia. Nie żądał ślepej wiary dla swej opowieści, ale może oczekiwał radości w Piotrze, iż życie przedstawia wszelką możliwość... Więc odrzekł mu, nie zważając na jego powstanie.

– Cóż to za ścieśnienie świata w te dwie kategorie? jeszcze jest cały miliard ludzi nam obojętnych, ale którzy przedstawiają nieużyty skarb naszego życia. Bo któż ręczy, czy ten obojętny w danej chwili człowiek nie będzie za godzin kilka bliższy nam od brata? Zresztą są jeszcze ludzie samotni, wędrowcy ku krainom dalszym niż ludzkość i tych nie da się zawrzeć w żadną kategorię.

W Piotrze żyła utajona potrzeba wyrwania się z cieśni pozytywizmu, ale chciał to uczynić drogą podstaw naukowych. I nagle zrozumiawszy, że ksiądz Faust daje mu w osobie swej tę możliwość Wiedzy – zadrzał. Wyciągnął ręce, jak człowiek zamurowany w grobie ku zbawcy.

– Darujcie mi – rzekł ze wzruszeniem – jestem lampą, która szybko zagaśnie. Jeśli możecie – Wy, dziwny Panie, rozewrzeć przede mną jedną za drugimi owe bramy wtajemniczeń – bramy Mitry – ach, wtedy żyć będę życiem Waszym, niewątpliwie dostojnym, uleczę na rydwanie waszej myśli w głębinę świata mi nieznanego. Nikt nie żądał od nikogo większej łaski, niż ja teraz. Żądam najgłębszych skarbów, które zebraliście w życiu, które chowacie być może dla siebie czy dla swego Boga. Może dla dalekich pokoleń chcieliście zawrzeć w księgę, która byłaby zbiornikiem wiedzy duchowej w katedrze narodu. Mówię mistycznie już, bo dla czegoż mam trzymać się tej zgniłej gałęzi pozytywizmu, która, łamiąc się, strąca mię w otchłań bezgranicznego mroku?

Nie lękam się zgonu. Owszem, patrzę weń, jako w najwyższe wtajemniczenie. Nie dałbym sobie śmiertelnych godzin odjąć za cenę życia wiecznego.

Chcę umrzeć, ale w pełni zachwytu i przerażenia, przebywszy wszystkie stopnie grozy, zamyśleń, wielkich błyskawic, sfinksowych zagadnień. –

Znam bramę z ołowiu.

Przebyliśmy teraz bramę Afrodyty upiornej. Brama to nie z cyny. Metal fałszywy. Spaja i pogrąża ciężarem. Brama to z rubinu; narodziła Was, jak matka w purpurze żądy. Prowadźcie mię – wy, dawny mędrzec Eleuzyjski ze swym adeptem. Godny jestem być nim. Przysięgam. Można mi wierzyć. Mam duszę rozpaczną, ale świecą w niej oczy mądrości i jasnowidzeń. Tylko zbyt daleko jeszcze ode mnie – i nie będę miał czasu już ku moim własnym Oczom iść.

Więc prowadź mię Ty, Sokratesie polski, lub może zacieśniam Was znowu – bo Sokrates był realistą...

– I ja jestem realistą. Realizm ten jednak wewnętrzny, którego nie ujmujemy przez zmysły. Znał to Sokrates w swym daj monie – i nazywał ten głos wewnętrzny – pójściem za swym bogiem... *Sequere deum*. Ale muszę zrobić zastrzeżenie: W misterjach uczeń zwał się mistos, a wyższy, mający już dar kontemplacji – był to epoptos, nie adept. Nazwa ta przysługiwała w średnich wiekach tym, którzy już władali tajemnicą przemiany kruszców w złoto (filozoficznym kamieniem) lub życiowym eliksirem. Jeśli mnie zaszczytasz tytułem Mistagoga, sam weź pochodnię intuicji, gdyż bez niej będziemy roztrącać się w mroku o rzeczy Niewyrażalne. Nie będę mógł prowadzić Cię, jak to sobie wymarzyłeś, przez bramy w tym porządku misterjów indyjsko-irańskich.

Wprawdzie mógłbym dobrać z mego życia różnych opowieści i misternie podprowadzić je pod ten schemat. Byłaby to literatura, sztuczność nadobna i może poniekąd bawiąca umysł.

Ale życie nie wiedzie przez bramy ani te, ani w tym porządku, ani w tej liczbie. Oto nasuwa się mi opowieść...

– Wiem, że z tych opowieści będzie niejedna spiżową, żelazną, ze złota... lub nawet Bramą ze szmaragdu – szepnął cicho Piotr.

– Dopiero jest godzina ósma – mamy przed sobą, długą, zimową noc.

I oto nasuwa się mi życie moje w powstaniu, do którego wstąpiłem wkrótce po tym przejściu z Upiorną Różą.

PARTNERZY





YES



NO

SHRED PERSPECTIVES WORKS
DESIGN



DARK ART
AND DESIGN

GOOD BYE



Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

